

ROBERT LUDLUM

WEEKEND Z OSTERMANEM

Część pierwsza
NIEDZIELNE POPOŁUDNIE

Saddle Valley w stanie New Jersey to miasteczko przez duże M. Takie przynajmniej wrażenie odnieśli przedsiębiorcy budowlani, którzy - zaalarmowani głosami podupadającej wyższej klasy średniej z Manhattanu - najechali tutejsze lasy w końcu lat trzydziestych.

Wita Was

SADDLE VALLEY

RADA MIEJSKA ZAŁOŻONA W 1862

głosi napis umieszczony na podobnej do tarczy białej tablicy przy Valley Road. "Wita Was" napisane jest mniejszymi literami niż cała reszta, ponieważ tak naprawdę Saddle Valley wcale nie wita chętnie ludzi z zewnątrz - zwłaszcza niedzielnych kierowców, którzy chcieliby pogapić się na strzygących trawę mieszkańców miasteczka. W niedzielne popołudnie ulice patrolują na ogół dwa wozy miejscowej policji. Charakterystyczne jest również, że znak przy Valley Road nie głosi wcale

SADDLE VALLEY, NEW JERSEY ani nawet

SADDLE VALLEY, N.J. ale po prostu

SADDLE VALLEY

Miasteczko nie uznaje nad sobą wyższej władzy; rządzi się własnymi prawami. Odizolowane, bezpieczne, nie skalane brudem tego świata.

Tego niedzielnego popołudnia, w ostatnią niedzielę lipca, jeden z dwóch wozów miejscowej policji wydawał się patrolować okolicę z wyjątkową skrupulatnością. Biały, pomalowany w niebieskie pasy samochód krążył po uliczkach miasteczka szybciej niż zwykle. Przejechał z jednego końca Saddle Valley na drugi, zahaczając pod drodze o dzielnicę willową i objeżdżając ze wszystkich stron rozległe, urządzone ze smakiem jednoakrowe rezydencje.

Ten konkretny wóz patrolowy zauważyło w tę konkretną niedzielę kilku mieszkańców miasteczka.

I o to właśnie chodziło.

Taki był plan.

John Tanner sprzątał swój mieszczący dwa samochody garaż, nasłuchując jednym uchem głosów dochodzących od strony basenu. Miał na sobie stare wytarte szorty, wczorajszą koszulę i założone na gołe nogi tenisówki. Jego dwunastoletni syn, Raymond, gościł właśnie kilku kolegów i Tanner wychodził co jakiś czas na podjazd i rzucał okiem na mieszczące się za domem patio, chcąc się upewnić, że dzieciakom nic się nie stało. Dokładnie rzecz biorąc, wychodził tam tylko wtedy, kiedy poziom krzyków obniżał się do tonu normalnej rozmowy - albo kiedy zapadała cisza.

Zona Tannera, Alice, zachodziła do niego z irytującą regularnością z mieszczącą się obok pralni, żeby powiedzieć, co ma wyrzucić w następnej kolejności. John nienawidził pozbywać się czegokolwiek i gromadząca się w rezultacie jego manii sterta bezużytecznych gratów działała jej na nerwy. Tym razem wskazała ręką zepsuty roztrząsacz nawozu, który od kilku tygodni stał z tyłu garażu.

John zauważył jej gest.

- Mógłbym postawić go na żeliwnym postumencie i sprzedać Muzeum Sztuki Nowoczesnej - powiedział. - Pamiątka minionych krzywd. Okres przed nastaniem epoki ogrodników.

Alice Tanner roześmiała się. Jej mąż po raz któryś z rzędu stwierdził - tak jak czynił to od wielu lat - że Alice ładnie się śmieje.

- Zostawię go przy krawężniku. W poniedziałek zabierają śmieci - powiedziała, sięgając ręką po roztrząsacz.

- W porządku. Sam to zrobię.

- Nie, nie zrobisz. Rozmyślisz się w połowie podjazdu.

Tanner złapał roztrząsacz i przeniósł go nad kosiarką firmy Briggs

and Stratton, a Alice prześlizgnęła się bokiem obok małego triumpha, który uważała z dumą za symbol swego statusu. Kiedy wytoczyła roztrząsacz na podjazd, odpadło od niego prawe koło. Oboje się roześmieli.

- To przemawia za dobiciem targu z muzeum. Po prostu nie sposób tego wyrzucić.

Alice podniosła wzrok i przestała się śmiać. W odległości czterdziestu jardów od ich domu przejeżdżał powoli Orchard Drive biały policyjny samochód.

-Gestapo nie spuszcza dzisiaj po południu z oka swoich podopiecznych - powiedziała.

-Co mówisz? - zapytał Tanner, podnosząc kółko i wrzucając je do środka roztrzasaacza.

-Obrońcy ładu i porządku nie mają wolnego dnia. Drugi albo trzeci raz przejeżdżają obok naszego domu.

Tanner rzucił okiem na przejeżdżający samochód. Siedzący za kierownicą policjant, Jenkins, odwzajemnił jego spojrzenie. Nie podniósł jednak ręki ani nie skinął głową na powitanie. Tak jakby się w ogóle nie znali. A przecież byli dobrymi znajomymi, prawie przyjaciółmi.

- Może pies za głośno szczekał wczorajszej nocy?

-Opiekunka nic nie mówiła.

-Za półtora dolara za godzinę też bym nic nie mówił.

-Zajmij się lepiej tym roztrzasaaczem, kochanie - poprosiła Alice, zapominając o wozu patrolowym. - Teraz, kiedy odpadło koło, to typowa męska robota. Ja zobaczę, co słyhać u dzieci.

Tanner powlókł roztrzasaacz do krawężnika i zmrużył oczy, oslepiiony odbitym promieniem słońca. Biegąca na zachód Orchard Drive skręcała w lewo, mijając mały zagajnik, za którym w odległości kilkudziesięciu jardów mieszkali najbliżsi sąsiedzi Tannerów, Scanlanowie.

Słońce odbijało się od wypolerowanej karoserii białego samochodu.

Stał zaparkowany na poboczu, nie dalej jak sześćdziesiąt jardów od Tannera.

Dwaj policjanci wyglądali przez tylną szybę, wlepiając oczy, był tego pewien, dokładnie w niego. Przez sekundę albo dwie stał bez ruchu, a potem ruszył w stronę samochodu. W tej samej chwili policjanci odwrócili się i samochód odjechał.

Tanner, zbity z tropu, patrzył przez moment za nimi, a potem wrócił powoli do domu.

Samochód policyjny ruszył ostro w stronę Peachtree Lane, a z powrotem zwolnił do dwudziestu kilku mil na godzinę.

Richard Tremayne siedział w klimatyzowanym salonie, oglądając Metsów, którzy tracili właśnie zdobytą wcześniej sześciopunktową przewagę. Zasłony przy wielkim panoramicznym oknie były szeroko rozsunięte. Nagle Tremayne wstał z fotela i podszedł do okna. Na drodze znów pojawił się policyjny samochód. Tyle że tym razem ledwie się toczył.

- Hej, Ginny! - zawołał do żony. - Pozwól na chwilę.

Virginia Tremayne zbiegła z gracją po trzech prowadzących do salonu schodkach.

-O co chodzi? Nie powiesz chyba, że zawołałeś mnie, bo twoi Metsi czy Jetsi strzelili gola.

-Wczoraj, kiedy odwiedzili nas John i Alice... chyba specjalnie nie rozrabialiśmy? To znaczy, nie zachowywaliście się zbyt głośno, prawda?

-Urznięliście się obaj w trupa. Ale zachowywaliście się sympatycznie. Dlaczego pytasz?

-Wiem, żeśmy się zalali. To był ciężki tydzień. Ale nie robiliśmy żadnych głupstw?

-Oczywiście, że nie. Adwokaci i dziennikarze to wzór wszelkich cnót. Dlaczego pytasz?

-Ta cholerna policja piąty raz przejechała obok domu.

-O! - Virginia poczuła nagły ucisk w żołądku. - Jesteś pewien?

-W takim słońcu nie sposób pomylić ich samochodu z innym.

-Tak, chyba nie sposób... Powiedziałaś, że to był paskudny tydzień. Czy ten okropny człowiek mógłby próbować...?

- Och, Jezu, nie. Mówiłem, żebyś o tym zapomniała. To zwykły krzykacz. Traktuje tę sprawę zbyt osobiście. Tremayne wciąż wyglądał przez okno. Policyjny samochód powoli się oddalał.

- Ale trochę cię przestraszył, prawda? Sam się do tego przyznałeś.

Twierdził, że ma koneksje.

Tremayne odwrócił się powoli i zmierzył uważnym wzrokiem żonę.

-Wszyscy mamy jakieś koneksje, prawda? Niektórzy aż w Szwajcarii.

-Proszę cię, Dick. To absurd.

-Oczywiście. Policja odjechała... najprawdopodobniej nic się nie stało. Szykują się pewnie do następnej zwyczajki cen w październiku. Sprawdzają, jakie domy nadają się na sprzedaż. Sukinsyny! Zarabiają więcej niż ja w pięć lat po ukończeniu wydziału prawa.

-Za dużo wczoraj wypiliśmy i wszystko cię drażni. Tak mi się przynajmniej wydaje.

-Chyba masz rację.

Virginia obserwowała męża. Znowu wyglądał przez okno.

-Pokojówka chce mieć w srode wychodne - powiedziała. - Zjemy coś na mieście, dobrze?

-Oczywiście - odparł, nie odwracając się.

Ruszyła w stronę holu. W połowie drogi obejrzała się i zobaczyła, że się w nią wpatruje. Czoło miał zroszone potem. A w pokoju było całkiem chłodno.

Policyjny samochód skierował się na wschód, w kierunku Route Five, autostrady numer pięć, stanowiącej główne połączenie Saddle Valley z odległym o dwadzieścia sześć mil Manhattanem. Zatrzymał się na poboczu drogi w miejscu, z którego rozciągał się widok na zjazd numer 10A. Policjant siedzący obok kierowcy wyjął ze schowka lornetkę i zaczął obserwować zjeżdżające z autostrady samochody. Na lornetce widniał znak firmy Zeiss-Ikon.

Po kilku minutach dotknął rękawa Jenkinsa. Ten wyjrzał przez otwarte okienko, dał znak sąsiadowi, żeby oddał mu lornetkę, i przystawił ją do oczu, śledząc samochód wskazany przez kolegę.

- Zgadza się - powiedział.

Zapalił silnik i ruszył na południe. Po chwili podniósł mikrofon radiotelefonu.

-Zgłasza się wóz numer dwa - powiedział. - Jedziemy na południe Register Road. Przed nami zielony ford, limuzyna. Rejestracja nowojorska. W środku czarnuchy albo Portorykańczycy.

-Słyszę cię, numer dwa - zaskrzyphiało w głośniku. - Przepędźcie ich, gdzie pieprz rośnie.

-Nie ma problemu. Rozłączam się.

Skręcił w lewo i wjechał powoli długą drogą wjazdową na Route Five. Znalazłszy się na autostradzie wcisnął gaz do dechy i samochód skoczył do przodu na gładkiej nawierzchni. Po sześćdziesięciu sekundach na liczniku pokazały się dziewięćdziesiąt dwie mile.

Po czterech minutach samochód zwolnił, wchodząc w długi zakręt. Kilkaset jardów dalej stały na poboczu dwie budki telefoniczne. Od aluminium i szkła odbijały się jaskrawe promienie lipcowego słońca.

Samochód zatrzymał się. Towarzysz Jenkinsa otworzył drzwi i wysiadł.

-Masz dziesiątka? - zapytał.

-O Jezusie, McDermott! - zawołał, śmiejąc się, Jenkins. - Po piętnastu latach służby nie nosisz przy sobie dziesięciu centów na telefon.

-Nie bądź taki cwany. Mam dziesiątki, ale na jednej z nich jest głowa Indianina.

-Masz. - Jenkins wyjął z kieszeni monetę i wręczył McDermottowi. - Mógłby się zepsuć pocisk antybalistyczny, a ty nie zawiadomiłbyś Pentagonu, boby ci było żal dziesiątki z wizerunkiem Roosevelta.

-No nie wiem...

McDermott zbliżył się do budki, pchnął skrzypiące drzwi, wszedł do środka i wykręcił zero. W budce było tak duszno, że musiał przytrzymać nogą drzwi.

- Jadę do najbliższego zjazdu - zawołał z samochodu Jenkins. - Zabiorę cię, przejeżdżając z powrotem.

- W porządku... Centrala? Zamawiam rozmowę na koszt rozmówcy ze stanem New Hampshire. Kierunkowy trzysta dwanaście. Numer sześćdziesiąt pięć czterysta jeden. Nazywam się Leather.

Nie było mowy o pomyłce. McDermott zamówił rozmowę ze stanem New Hampshire i telefonistka połączyła go zgodnie z jego życzeniem. Nie mogła jednak wiedzieć, że po wybraniu tego konkretnego numeru w stanie New Hampshire nie zadzwoni żaden telefon, ponieważ w pewnej podziemnej centrali, w miejscu, gdzie zbiegają się tysiące linii, uaktywnił się mały przekaźnik i przesunęła niewielka namagnetyzowana blaszka, dokonując zupełnie innego połączenia. Cała ta skomplikowana procedura spowodowała, że w pewnym pomieszczeniu, dwieście sześćdziesiąt trzy mile na południe od Saddle Valley, rozległ się nie dzwonek, lecz ciche brzęczenie telefonu.

Pomieszczenie znajdowało się na pierwszym piętrze budynku z czerwonej cegły, który razem z dziewięcioma innymi tworzył połączony korytarzami kompleks. W odległości pięćdziesięciu jardów otaczało go wysokie na dwanaście stóp ogrodzenie z naelektryzowanego drutu, po którego drugiej stronie rósł gęsty liściasty las. Kompleks należał do Centralnej Agencji Wywiadowczej. Odizolowany, bezpieczny, nie skalany brudem tego świata.

Mężczyzna siedzący za biurkiem w gabinecie na pierwszym piętrze rozgniół z ulgą papierosa. Niecierpliwie czekał na ten telefon. Zauważył z satysfakcją, że automatycznie uruchomiło się urządzenie nagrywające.

Podniósł słuchawkę.

-Mówi Andrews. Tak, zapłacę za rozmowę.

-Mówi Leather - odezwał się głos biegnący z New Jersey przez stan New Hampshire.

-Słyszę cię, Leather. Taśma się kręci.

-Potwierdzam obecność wszystkich trzech podejrzanych. Państwo Cardone właśnie przyjechali z lotniska Kennedy'ego.

-Wiemy, że wylądowali.

-To po jaką cholere kazaliście nam na nich czekać?

-Route Five to paskudna autostrada. Mogli mieć po drodze jakiś wypadek.

-W niedzielne popołudnie?

-Pora nie gra roli. Chcesz, żeby ci podać statystykę wypadków na tej drodze?

- Wracaj lepiej do swoich cholernych komputerów...

Andrews wzruszył ramionami. Ludzi pracujących w terenie wszystko wyprowadzało z równowagi.

-Wszyscy trzej podejrzani są zatem na miejscu. Zgadza się?
-Zgadza się. Tannerowie, Tremayne'owie i Cardone'owie. Wszyscy, których kazano nam obserwować. Wszyscy czekają. Tannerowie i Tremayne'owie są już uprzedzeni. U Cardone'ow będziemy za kilka minut.
-Coś jeszcze?
-Na razie nic.
-Jak się miewa małżonka?
-Jenkins to prawdziwy szczęściarz. Jest kawalerem. Lilian wciąż ogląda okoliczne rezydencje i chce mieć taką samą.
-Nie przy naszej pensji, McDermott.
- To samo jej powtarzam. Chce, żebyśmy przeszedł na cudzy żołąd.
Przez ułamek sekundy Andrews poczuł się urażony żartem McDermotta.
-Słyszałem, że płacą gorzej od nas.
-Niemożliwe... Jest już Jenkins. Będę w kontakcie.
Joseph Cardone skręcił na półkolisty podjazd i zatrzymał cadillaca tuż przed kamiennymi schodami prowadzącymi ku wielkim dębowym drzwiom. Zgasił silnik i przeciągnął się w fotelu, po czym westchnął i obudził swoich dwóch liczących sobie sześć i siedem lat synów. Jego dziesięcioletnia córka czytała komiks. W fotelu obok siedziała jego żona, Betty.
- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - stwierdziła, wyglądając przez okno samochodu.
Cardone roześmiał się i położył swoją wielką dłoń na ramieniu żony.
-Chyba naprawdę tak myślisz.
-Oczywiście.
-Jasne. Powtarzasz to za każdym razem, kiedy wracamy do domu. Dokładnie te same słowa.
-Mamy miły dom.
Cardone otworzył drzwiczki samochodu.
-Hej, księżniczko... zaopiekuj się młodszymi braćmi i pomóż matce zabrać mniejsze torby. - Wyjął kluczyki ze stacyjki, wysiadł i ruszył w stronę bagażnika. - Gdzie jest Louise?
-Nie będzie jej chyba aż do wtorku. Pamiętaj, że przyjechaliśmy trzy dni wcześniej. Dałam jej wolne do naszego spodziewanego powrotu.
Cardone skrzywił się. Myśl, że obowiązki kucharki przejmie żona, nie była zbyt przyjemna. - Zjemy coś na mieście.
- Będziemy musieli, przynajmniej dzisiaj. Za długo by trwało rozmrażanie produktów - odparła Betty Cardone, wchodząc po kamiennych schodkach i wyciągając z torebki klucze do drzwi wejściowych.
Joe puścił mimo uszu jej słowa. Lubił dobrze zjeść, ale niestety nie smakowały mu posiłki przyrządzone przez własną żonę. Trudno było się zresztą spodziewać po panienci z dobrego domu, że będzie gotować jak włoskie gospodynie z Filadelfii.
Godzinę później klimatyzatory usunęły zaduch z nie wietrzonego od dwóch tygodni domu i można było nareszcie swobodnie odetchnąć. Cardone przywiązywał wielkie znaczenie do takich rzeczy. Był byłym sportowcem i człowiekiem sukcesu - zarówno towarzyskiego, jak i finansowego. Wyszedł na werandę i spojrzął na dużą wierzbę rosnącą pośrodku otoczonego półkolistym podjazdem trawnika. Ogród utrzymany był w doskonałym stanie. Nic dziwnego, wziąwszy pod uwagę pieniądze, jakie płacił ogrodnikom. Pieniądze nie stanowiły już dla niego problemu.
Nagle pojawił się ponownie. Samochód policyjny. Widział go po raz trzeci, odkąd zjechał z autostrady.
- Hej, wy tam! Zaczekajcie!
Dwaj siedzący w samochodzie policjanci wymienili między sobą krótkie spojrzenia, zastanawiając się, czy zostać, czy odjechać. Ale Cardone dobiegł już do krawężnika.
- Hej!
Samochód zatrzymał się.
-Słucham, panie Cardone?
-Dlaczego krązycie po okolicy? Wydarzyło się coś złego?
- Nic szczególnego, panie Cardone. Jest czas wakacji. Sprawdzamy po prostu, na podstawie naszych danych, kiedy wracają poszczególni mieszkańcy. Miał pan wrócić do domu dzisiaj po południu, więc chcieliśmy się po prostu upewnić, czy już pan jest. Możemy skreślić pana z naszej listy.
Joe zmierzył uważnym wzrokiem policjanta. Wiedział, że kłamie, a policjant wiedział, że on wie.
- Bardzo się staracie.
-Robimy, co możemy.
-Jestem o tym przekonany.
-Do widzenia panu.

Joe popatrzył za odjeżdżającym samochodem. Miał zamiar zjawić się w kancelarii dopiero w połowie tygodnia, ale teraz zmienił zdanie. Pojedzie do Nowego Jorku już jutro.

W niedzielne popołudnie między godziną piątą i szóstą Tanner zwykł zamykać się w swoim wyłożonym orzechową boazerią gabinecie, włączać trzy stojące tam telewizory i oglądać jednocześnie trzy telewizyjne programy.

Alice wiedziała, że dla jej męża to twardy obowiązek. Będąc dyrektorem programów informacyjnych Standard Mutual, musiał wiedzieć, co w trawie piszczy. Mimo to nie ukrywała, że siedzący samotnie w zaciemnionym pokoju i wpatrujący się jednocześnie w trzy telewizyjne ekrany facet sprawia dość niesamowite wrażenie i stale się z niego w związku z tym naśmiewała.

Wcześniej tego samego dnia Tanner przypomniał żonie, że w przyszłą niedzielę nie będzie mógł zasiąść przed telewizorami, w przyszłą niedzielę bowiem mieli przyjechać do nich Bernie i Leila, a nic nie mogło zakłócić weekendu z Ostermanem. Siedział więc w zaciemnionym pokoju, wiedząc doskonale, co zobaczy.

Każdy dyrektor programu informacyjnego dowolnej sieci telewizyjnej ma swój ulubiony program, taki, któremu poświęca najwięcej uwagi. Dla Tannera był to program Woodwarda, półgodzinny, emitowany w niedzielne popołudnie show, podczas którego najlepszy w swoim fachu publicysta przeprowadzał wywiad z jedną osobą, na ogół kimś kontrowersyjnym, kto znalazł się w ostatnim tygodniu na czołówkach gazet.

Dzisiejszy rozmówca Woodwarda, podsekretarz Ralph Ashton z Departamentu Stanu, występował niejako w zastępstwie. Sam sekretarz okazał się nagle nieosiągalny, na żer rzucono więc Ashtona.

Była to ze strony Departamentu Stanu gigantyczna wpadka. Ashton to tępy, pozbawiony polotu były biznesmen, którego główny atut stanowiła umiejętność robienia pieniędzy. Samo uznanie, iż taki facet może reprezentować rząd, było z czyjejs strony poważnym błędem. Chyba że ktoś zrobił to specjalnie.

Woodward nie powinien zostawić na nim suchej nitki.

Przysłuchując się wykrętnym, pustym odpowiedziom Ashtona Tanner zdał sobie sprawę, że za parę chwil zacznie telefonować do siebie w Waszyngtonie wielu ludzi. Grzeczny ton Woodwarda nie był w stanie ukryć rosnącej niechęci, jaką budził w nim podsekretarz. Urażony został jego honor dziennikarza; wkrótce ton Woodwarda stanie się lodowaty i Ashton położy głowę pod topór. Kat będzie uprzedzająco grzeczny, to pewne, ale nic nie odwlecze egzekucji.

Takie właśnie rzeczy Tanner oglądał z zakłopotaniem.

Włączył fonię drugiego telewizora. Moderator przedstawiał akurat pompatycznym nosowym tonem ekspertów, którzy mieli zadawać pytania przedstawicielowi Ghany w ONZ. Czarny dyplomata wyglądał, jakby właśnie prowadzono go na gilotynę, a eksperci co do jednego podobni byli kubek w kubek do madame Defarges. Do bardzo białej i dobrze opłacanej madame Defarges.

Program nie umywał się do Woodwarda.

Program na trzecim kanale był lepszy, ale nie do tego stopnia, żeby stanowić konkurencję dla pierwszego.

Tanner uznał, że zobaczył już dosyć. Za wcześnie było, żeby się martwić - puści sobie taśmę z Woodwardem jutro rano. Zegar wskazywał dopiero dwadzieścia po piątej i basen wciąż jeszcze skąpany był w słońcu. Słyszał krzyki swojej córki, która wróciła właśnie z klubu, i głosy niechętnie żegnających się z Raymondem jego kolegów. Rodzina była w komplecie. Cała trójka siedziała najprawdopodobniej na dworze, czekając, aż on skończy oglądać telewizję i zapali ogień, w którym upieką się steki.

Tym razem ich zaskoczy.

Wyłączył telewizory i odłożył na biurko ołówek i blok do pisania. Nadszedł czas na drinka.

Otworzył drzwi i przeszedł do salonu. Przez okno zobaczył Alice, bawiącą się z dziećmi na skraju trampoliny w "rób to, co przewodnik". Wszyscy się śmieli i byli wyjątkowo odprężeni.

Alice zasłużyła sobie na to. Chryste! Naprawdę sobie na to zasłużyła.

Obserwował przez dłuższą chwilę swoją żonę. Skoczyła, obciążając palce nóg, do wody i szybko wynurzyła się, żeby sprawdzić, czy ośmioletnia Janet poradziła sobie ze skokiem.

Zadziwiająco! Po wszystkich tych latach kochał żonę bardziej niż kiedykolwiek.

Przypomniał sobie policyjny samochód, a potem odsunął od siebie irracjonalną obawę. Policjanci szukali po prostu jakiegoś odosobnionego miejsca, żeby odpocząć albo posłuchać spokojnie meczu. Słyszał, że robią takie rzeczy w Nowym Jorku. Więc dlaczego nie w Saddle Valley? W Saddle Valley było znacznie bezpieczniej niż w Nowym Jorku.

Saddle Valley było chyba najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Tak się w każdym razie wydawało tego niedzielne popołudnie Johnowi Tannerowi.

Richard Tremayne wyłączył telewizor dziesięć sekund po tym, jak John Tanner zgasił trzy swoje. Metsi mimo wszystko wygrali.

Nękający go ból głowy ustąpił i razem z nim zdenerwowanie. Ginny miała rację, pomyślał. Był po prostu przewrażliwiony. Nie ma powodu niepokoić rodziny. Żołądek już go nie bolał. Lekki posiłek postawi go na nogi. Może zadzwoni do Johnny'ego i Alice i pojedą razem z Ginny popływać w basenie Tannerów.

Ginny wciąż dopominała się o własny. Publiczną tajemnicą było, że mają dochód kilkakrotnie wyższy od Tannerów. Ale Tremayne dobrze wiedział, dlaczego nie chce ulec żonie.

•Basen to byłaby po prostu przesada. Za dużo na faceta, który ma tylko czterdzieści cztery lata. Wystarczyło, że przenieśli się do Saddle Valley, kiedy miał zaledwie trzydzieści osiem. Dom za siedemdziesiąt cztery tysiące w wieku trzydziestu ośmiu lat. Z pięćdziesięcioma tysiącami rocznego dochodu. Z basenem zaczeka do swoich czterdziestych piątych urodzin. Wtedy nie powinno to nikogo razić.

Oczywiście ludzie - jego klienci - nie pamiętali o tym, że ukończył wydział prawa w Yale, mieszcząc się w pięciu procentach najlepszych absolwentów roku, że potem był aplikantem i że przez trzy lata pracował na najniższych stanowiskach w swojej obecnej firmie. Dopiero później zaczęły do niego płynąć prawdziwe pieniądze, i to szerokim strumieniem.

Tremayne wyszedł na patio. Ginny, razem z ich trzynastoletnią córką Peg, przycinała róże obok białej altanki. Na całym liczącym prawie pół akra terenie za domem rozciągał się wspaniały, zadbane ogród. Wszędzie rosły kwiaty. Ogród był dla Ginny rozrywką, hobby i powołaniem - zaraz po seksie, który stanowił jej pasję. Tak naprawdę nic nie zastąpi seksu, pomyślał, śmiejąc się w duchu, Tremayne.

-Hej! Idę wam pomóc! - krzyknął, zbliżając się do córki i żony.

-Poczułeś się lepiej - stwierdziła, uśmiechając się, Virginia.

-Popatrz na te róże, tato! Czy nie są przepiękne? - zapytała Peg, wyciągając ku niemu bukiet czerwonych i żółtych kwiatów.

-Są urocze, mój skarbie.

-Nie mówiłam ci, Dick? W przyszłym tygodniu przylatują Bernie i Leila. Będą tutaj w piątek.

-Wiem od Johnny'ego. Czeka nas kolejny weekend z Ostermanem. Muszę szybko wrócić do formy.

- Wydawało mi się, że ostro nad tym pracowałeś zeszłej nocy.

Tremayne roześmiał się. Nigdy nie przeproszał za to, że się upił, zdarzało się to niezbyt często i nigdy nie był szczególnie kłopotliwy. A poza tym zeszłej nocy naprawdę tego potrzebował. Miał za sobą paskudny tydzień.

Cała trójka ruszyła z powrotem w stronę patio. Virginia wzięła pod rękę męża. Peggy uśmiechnęła się promiennie. Robi się całkiem wysoka, pomyślał jej ojciec. Zadzwoił stojący na patio telefon.

- Ja odbiorę! - zawołała Peg, skacząc do przodu.

-Oczywiście - odparł ojciec, udając rozdrażnienie. - Do nas nigdy nikt nie dzwoni.

-Musimy jej po prostu kupić własny telefon - odparła Virginia Tremayne, szczypiąc żartobliwie męża w ramię.

-Wyląduję przez was na zasiłku.

-To do ciebie, mamo. Pani Cardone - powiedziała Peggy i zasłoniła dłonią mikrofon. - Proszę, nie rozmawiaj zbyt długo. Carol Brown obiecała, że zadzwoni do mnie, gdy tylko wróci do domu. Wiesz, mówiłam ci. Chodzi o tego chłopaka Choate'ow.

Virginia Tremayne uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Wymieniły z córką konspiracyjne spojrzenia.

Carol nie ucieknie ze swoim ukochanym, wpierw ci o tym nie mówiąc. Nie wiem zresztą, czy starczy jej kieszonkowego.

Richard przyglądał się im z rozbawieniem. Widok żony i córki sprawiał mu jednocześnie radość i dodawał otuchy. Virginia umiała postępować z dziećmi. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Wiedział, że niektórzy krytykują Ginny, mówiąc, że ubiera się trochę zbyt... ekstrawagancko. Słyszał to słowo, oznaczające jeszcze coś innego. Ale dzieci były wszystkie w Ginny zakochane. W tych czasach to bardzo ważne. Może jego żona wiedziała coś, o czym nie miały pojęcia inne kobiety.

Sprawy układały się pomyślnie. Nawet ta, od której zależało ich pełne bezpieczeństwo - jeśli można było wierzyć Berniemu Ostermanowi.

Życie było piękne.

Jeżeli Ginny i Betty skończą kiedykolwiek tę rozmowę, podejdzie do telefonu, żeby zamienić parę słów z Joem. A potem zadzwoni do Johna i Alice, kiedy Tanner przestanie oglądać swoje programy. Może wybiorą się całą szóstką na kolację do klubu.

Pomyślał o policyjnym samochodzie, ale już po chwili odsunął od siebie wszelkie obawy. Był zdenerwowany, przewrażliwiony i skacowany. Spójrzmy prawdzie w oczy, pomyślał. Jest niedzielne popołudnie, a rada miejska zaleciła, żeby w niedzielne popołudnia policja skrupulatnie patrolowała dzielnicę willową.

Zabawne. Nie sądził, że Cardone'owie wrócą tak wcześnie. Na pewno Joe dostał wezwanie z biura, żeby stawić się do roboty już w poniedziałek. W tych dniach ceny na giełdzie skakały jak oszalałe. Zwłaszcza na rynku towarowym, w którym specjalizował się Cardone.

Betty kiwnęła twierdząco głową w odpowiedzi na pytanie zadane jej przez rozmawiającego przez telefon męża. Problem kolacji wydawał się rozwiązany. Kuchnia w klubie była całkiem niezłą, mimo że nie mieli tam pojęcia, jak się robi dobre spaghetti. Joe ciągle powtarzał kierownikowi, że powinni używać oryginalnego genueńskiego salami, a nie tego produkowanego przez firmę Hebrew National, ale kucharz zawarł już wcześniej umowę z żydowskim dostawcą, więc cóż mógł w tej sytuacji począć skromny członek klubu? Nawet taki członek jak Joe, który był prawdopodobnie najbogatszy z nich wszystkich. Nie należało jednak zapominać, że był Włochem - nie katolikiem co prawda, lecz mimo to Włochem - a upłynęło dopiero dziesięć lat, odkąd do Saddle Valley Country Club przyjęto pierwszego makaroniarza. Któregoś dnia zaczną przyjmować i Żydów - trzeba będzie to jakoś uczcić.

To właśnie ta cicha, nigdy nie wypowiedziana na głos nietolerancja sprawiała, że Cardone'om, Tannerom i Tremayne'om specjalnie zależało, żeby pokazać się w klubie razem z Bernieem i Leilą Ostermanami za każdym razem, kiedy ci ostatni przyjeżdżali na wschód. Jedną rzecz można było o całej szóstce powiedzieć na pewno: nie byli bigotami.

To dziwne, pomyślał Cardone, odkładając słuchawkę telefonu i ruszając w stronę małej, przylegającej do domu salki gimnastycznej, dziwne, że poznali się wszyscy przez Tannerów. To właśnie John i Alice Tannerowie przyjaźnili się z Ostermanami w Los Angeles w czasach, kiedy John rozpoczynał swoją karierę. A teraz... Joe zastanawiał się, czy John i Alice zdają sobie sprawę z powiązań, jakie łączą z nim i Dickiem Tremayne'em Berniego Ostermana. Były to powiązania, o których nie mówiło się przy obcych.

Stopniowo uzyskali dzięki nim rodzaj niezależności, której szuka każdy człowiek i o którą modli się każdy zatroskany obywatel. Zdawali sobie oczywiście sprawę z ryzyka i zagrożeń, ale jemu i Betty to odpowiadało. Odpowiadało również Tremayne'om i Ostermanom. Przedyskutowali to między sobą, przeanalizowali, dokładnie przemyśleli i podjęli wspólnie decyzję.

Być może odpowiadałoby to również Tannerom. Ale Joe, Dick i Bernie uzgodnili, że pierwszy sygnał powinien wyjść od samego Johna. To było konieczne. Dość już skierowali pod jego adresem aluzji, które pozostawił bez odpowiedzi.

Joe zamknął za sobą ciężkie, wyściełane skajem drzwi do siłowni, przekręcił kurki z parą i rozebrał się. Założył spodnie od dresu i zdjął z chromowanego wieszaka bluzę. Uśmiechnął się, rzucając okiem na wyszyte na flaneli inicjały. Tylko panienka z dobrego domu mogła wyszyć monogram na bluzie od dresu.

J.A.C.

Joseph Ambruzzio Cardone.

Giuseppe Ambruzzio Cardone. Drugi z ośmiorga dzieci Angeli i Umberta Cardone, zamieszkałych niegdyś na Sycylii, potem w południowej Filadelfii. Pod koniec życia obywateli USA. Amerykańskie flagi pośród niezliczonych landrynkowych obrazków Najświętszej Pani trzymającej w ramionach pulchnego jak aniołek, niebieskookiego Jezusa o karminowych ustach.

Giuseppe Ambruzzio Cardone wyrósł na wysokiego, niezwykle silnego młodzieńca i najlepszego sportowca w swoim liceum. Był gospodarzem klasy i dwa razy wybrano go do miejskiej rady samorządów szkolnych.

Z wielu oferowanych stypendiów przyjął to najbardziej prestiżowe, Uniwersytetu Princeton, z którego miał także najbliższej do rodzinnej Filadelfii. Jako obrońcy uniwersyteckiej drużyny udało mu się dokonać rzeczy, o której nie śnili nawet ojcowie jego Alma Mater. Wybrany do reprezentacji All-American, został pierwszym od wielu lat piłkarzem z Princeton, który dostąpił tego zaszczytu.

Kilku wdzięcznych absolwentów wprowadziło go w tajniki Wall Street. Skrócił nazwisko do Cardone, prawie nie wymawiając ostatniej samogłoski. Uważał, że brzmi odpowiednio godnie - niczym Cardozo. Nikogo oczywiście nie oszukał, ale wkrótce przestało go to obchodzić. Rynek był chłonny - do tego stopnia, że w końcu wszyscy zaczęli kupować papiery wartościowe. Z początku był po prostu zaufanym człowiekiem dobrych klientów. Włoski chłopak, któremu się udało, facet, który potrafił rozmawiać z mającymi do wydania grubą forszę nowobogackimi; rozmawiać w sposób, który wciąż obawiający się większych inwestycji nowobogaccy byli po prostu w stanie zrozumieć.

No i stało się to, co można było łatwo przewidzieć.

Włosi to bardzo delikatni ludzie. Wolą załatwiać interesy ze swoimi krajanami. Kilku przedsiębiorców budowlanych, którzy zbili fortunę, pracując na rzecz rozbudowującego się przemysłu - Cas-telone, Latrona, Batella - nawiązało bliższe kontakty z Josephem Cardone. Nazywali go "Joe Cardone" - tylko trzy sylaby. A Joe mówił im, jak w legalny sposób unikać podatków, jakie transakcje przyniosą im duży zysk i jakie kupować papiery wartościowe.

Zaczęły płynąć pieniądze. Dzięki przyjacielom Joego dochód domu maklerskiego prawie się podwoił. Afiliowana przy nowojorskiej giełdzie firma Worthington & Bennett rychło przekształciła się w Worthington, Bennett & Cardone. A stąd już tylko mały krok był do Bennett-Cardone Ltd.

Cardone miał powody, żeby być wdzięcznym swoim krajanom. Ale te same powody sprawiały, że drżał, kiedy zbyt często pojawiał się w pobliżu jego domu policyjny patrol. Ponieważ kilku jego compares miało kontakty - a może nawet więcej niż kontakty - z podziemiem.

Skończył podnosić ciężary i usiadł w maszynie do wiosłowania. Pot łał się z niego teraz strumieniami i poczuł się lepiej. Poczucie zagrożenia, jakie wywołał w nim widok policji, zaczęło mijać. W końcu dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców Saddle Valley wraca z wakacji w niedzielę. Czy ktoś kiedyś słyszał, żeby jakaś rodzina przyjechała z powrotem w środę? Nawet jeżeli zapisano to w ten sposób, to sumienny oficer dyżurny musiał stwierdzić, że zaszła pomyłka i zmienił datę na niedzielę. Nikt nie wraca w środę. Środa to dzień roboczy.

A poza tym któż potraktowałby poważnie podejrzenie, że Joseph Cardone ma coś wspólnego z Cosa Nostra? Był żywym dowodem na to, że ciężka praca popłaca. Wcieleniem amerykańskiego sukcesu. Członkiem drużyny All-American.

Zdjął dres i przeszedł do łaźni, w której unosiła się teraz gęsta para. Usiadł na ławce i zaczął głęboko oddychać. Gorąca para oczyszczała go. Po prawie dwóch tygodniach francusko-kanadyjskiej kuchni jego ciało wymagało oczyszczenia.

Siedząc w łaźni głośno się roześmiał. Dobrze było znaleźć się z powrotem w domu; jego żona miała rację. A od Tremayne'a dowiedział się, że w piątek rano przylatują Ostermanowie. Miło będzie zobaczyć się znowu z Berniem i Leilą. Od ostatniego spotkania upłynęły cztery miesiące. Ale przez cały czas byli w kontakcie.

Dwieście pięćdziesiąt mil na południe od Saddle Valley - w mieście, w którym znajdują się najważniejsze instytucje Ameryki - leży dzielnica, znana pod nazwą Georgetown. W Georgetown ludzie zmieniają krok codziennie o wpół do szóstej wieczorem. Zanim wybije ta godzina, stąpają z dostojnością, spokojem, prawie delikatnością. Potem ich krok staje się szybszy i bardziej nerwowy - nie od razu jednak, lecz stopniowo. Mieszkańcy - w większości ludzie, którzy posiadają pieniądze i władzę, którzy umiłowali i jedno, i drugie - wyruszają z domu, żeby popisać się swoimi wpływami.

O wpół do szóstej zaczyna się wielka gra.

O wpół do szóstej w Georgetown zaczynają się podchody.

Kto jest gdzie? I dlaczego tam, a nie gdzie indziej?

Tak jest zawsze, z wyjątkiem niedzielnego popołudnia. Wielcy tego świata przyglądają się wtedy temu, co udało im się stworzyć przez ubiegły tydzień. Odpoczywają i zbierają siły na następne sześć dni strategii.

O tej porze w oknach pali się światło. Ta pora powinna stać się porą odpoczynku - i rzeczywiście ludzie odpoczywają.

Chociaż, znowu, nie wszyscy.

Nie odpoczywa na przykład Alexander Danforth, asystent prezydenta Stanów Zjednoczonych. Asystent bez teki i bez sprecyzowanego zakresu obowiązków.

Danforth jest łącznikiem między dwoma tajnymi ośrodkami łączności, z których jeden mieści się w podziemiach Białego Domu, a drugi w kompleksie gmachów Centralnej Agencji Wywiadowczej w McLean, w stanie Wirginia. Jest prawdziwą szarą eminencją - chociaż rzadko pokazuje się publicznie, podejmowane przez niego decyzje należą do najważniejszych w Waszyngtonie. Niezależnie, jakie kto zajmuje stanowisko, wszyscy zwracają uwagę na jego cichy głos. Tak jest od lat.

Tego konkretnego niedzielnego popołudnia Danforth siedział w cieniu drzewa na niewielkim patio za swoim domem, oglądając telewizję razem z zastępcą szefa administracyjnego CIA, George'em Groverem. Dwaj panowie doszli właśnie do tego samego wniosku, co oddalony od nich o dwieście pięćdziesiąt mil na północ John Tanner: jutro rano Charles Woodward będzie na ustach wszystkich.

-W Departamencie Stanu zużyją chyba miesięczny przydział papieru toaletowego - stwierdził Danforth.

-Powinni. Kto w ogóle pozwolił wystąpić Ashtonowi? Jest nie tylko głupi, ale wygląda na głupca. Obłeśnego głupca. To John Tanner jest szefem tego programu, prawda?

-Zgadza się.

-Sprytny sukinsyn. Dobrze byłoby wiedzieć, że na pewno jest po naszej stronie - powiedział Grover.

-Fassett zapewnił nas, że jest. - Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia. - Widziałeś jego dossier. Nie jesteś tego samego zdania?

-Tak. Tak, jestem. Fassett ma rację.

-Jak zwykle.

Na wykładanym kafelkami stole stały przed Danforthem dwa telefony. Czarny podłączony był do zamontowanej na podwórku wtyczki, czerwony zaś do czerwonego kabla, który biegł do wnętrza domu. Czerwony telefon cicho zabrzczał - był to jedyny dźwięk, jaki wydawał. Danforth podniósł słuchawkę.

- Tak... tak, Andrews. Dobrze... Znakomicie. Zadzwoń do Fassetta i powiedz mu, żeby się do mnie zgłosił. Czy w Los Angeles sprawdzili Ostermanów? Nic się nie zmieniło? Wspaniale. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Bernard Osterman, absolwent nowojorskiego Community College, rocznik 1946, wyciągnął z maszyny kartkę papieru i rzucił na nią okiem. Po chwili wsunął ją pod pozostałe i wstał. Obszedł przypominający kształtem nerkę basen i podał maszynopis swojej żonie, Leili, która siedziała naga na leżaku. Osterman był również całkiem nagi.

-Rozebrana kobieta nie wygląda szczególnie atrakcyjnie w promieniach słońca.

-A ty pewnie uważasz się za portret w beżu...? Daj. - Wzięła od niego plik kartek i sięgnęła po swoje duże ciemne okulary. - Czy to już koniec?

Bernie kiwnął głową.

-Kiedy wracają dzieci? - zapytał.

-Mają zadzwonić z plaży, zanim wyruszą z powrotem. Powiedziałam Marie, żeby o tym nie zapomniała. Nie chciałabym, żeby Merwyn oglądał w swoim wieku wylegające się na słońcu nagie

- kobiety. W tym mieście ludzie i tak mają na tym punkcie fioła.

- Trafiłaś w dziesiątkę. Przeczytaj.

Bernie skoczył do basenu. Pływał szybko w tę i z powrotem przez trzy minuty, aż zabrakło mu tchu. Był dobrym pływakiem. W wojsku został instruktorem pływackim w Fort Dix. "Szybki Żydek", mówili o nim na wojskowej pływalni. Ale nigdy prosto w oczy. Był szczupły i żylasty. Gdyby w Community College mieli drużynę piłkarską z prawdziwego zdarzenia, on zostałby jej kapitanem. Grałby w obronie.

Joe Cardone powiedział kiedyś, że chętnie widziałby go w swojej princetońskiej drużynie.

Słyszając to Bernie wybuchnął wtedy śmiechem. Mimo powierzchownej demokracji, której zakosztował w wojsku - a była ona naprawdę powierzchowna - Bernardowi Ostermanowi, synowi Ostermanów z Tremont Avenue w Bronksie, w Nowym Jorku, nigdy nie przyszło do głowy, by przekraczać uświęconą tradycją granice i starać się o przyjęcie do Bluszczowej Ligi. Na pewno by sobie poradził - był' inteligentny i sprzyjała mu specjalna ustawa o naborze absolwentów z wojska- ale w ogóle o tym nie pomyślał

Wtedy - w roku 1946 - źle by się tam po prostu czuł. Teraz czasy się zmieniły.

Osterman wyszedł po drabinie z basenu. Dobrze, że wybierają się z Leilą do Saddle Valley, że wracają na kilka dni na Wschodnie Wybrzeże. Było coś ożywczego w tych kilkudniowych wyjazdach, podczas których oddychali pełną piersią, zażywając wszelkich możliwych przyjemności. Wszyscy zawsze twierdzili, że życie na wschodzie jest nie do zniesienia, gdyż człowiek znajduje się tam pod ciągłą presją, o wiele większą niż w Los Angeles - ale to nie była prawda. Mogło się tylko tak wydawać, ponieważ na wschodzie więcej rzeczy działo się w jednym miejscu.

To Los Angeles, jego Los Angeles, które obejmowało Burbank, Hollywood i Beverly Hills, było miejscem, w którym ludzie dostawali prawdziwego hyzia. Ubrani w psychodeliczne koszule i pomarańczowe spodnie mężczyźni i kobiety kłębili się wokół otoczonego palmami supermarketu. Wszystko było na sprzedaż, wszystko miało swoją cenę.

Były chwile, kiedy Bernie marzył, żeby zobaczyć kogoś ubranego w garnitur od Brooks Brothers i zapiętą pod szyję koszulę. Tak naprawdę nie miało to jednak większego znaczenia; nie obchodziło go przecież, w jakie kostiumy ubierały się zamieszkujące Los Angeles plemiona. Może chodziło tylko o ból oczu, jaki odczuwał na widok agresywnych pstrokatych barw.

A może wchodził właśnie w jeden ze swoich okresów depresji. Miał tego wszystkiego dosyć.

Nie było to z jego strony uczciwe. W otoczonym palmami supermarkecie traktowano go z wyjątkową atencją.

- No i jak? - zapytał, zwracając się do żony.

-Całkiem nieźle. Możesz nawet mieć z tym kłopoty.

-Jakie? - zapytał Bernie, biorąc ręcznik z leżącego na stole stosu ubrań. - Jakie kłopoty?

- Może za bardzo się odsłaniasz. Chyba naprawdę ci dopiekli.

Bernie uśmiechnął się, a Leilą odwróciła kartkę.

- Bądź przez chwilę cicho i pozwól mi skończyć. Może uda się coś z tego uratować.

Bernie Osterman siadł na płóciennym krześle, czując na całym ciele gorące promienie kalifornijskiego słońca. Wciąż się uśmiechał; wiedział, co miała na myśli jego żona i sprawiło mu to przyjemność. Po długich latach wypisywania banałów nadal potrafił zagrać w otwarte karty - kiedy tylko tego chciał.

I zdarzały się chwile, gdy nie było dla niego niczego ważniejszego od tego pragnienia. Pragnienia, żeby udowodnić samemu sobie, że wciąż jest w stanie naprawdę pisać. Pisać rzeczy podobne do tych, które wychodziły spod jego pióra, kiedy żyli w Nowym Jorku.

To były wspaniałe czasy. Prowokujące i ekscytujące, czasy, w których ludzie byli zaangażowani i świadomi celu. Ale na tym się wtedy kończyło - na zaangażowaniu i świadomości celu. Kilka pochlebnych recenzji

pióra innych zapaleńców. Uznano go wówczas za interesującego i spostrzegawczego; ktoś zauważył, że ma cięte pióro. Raz pojawiło się nawet określenie "nadzwyczajny talent".

To mu nie wystarczyło. I dlatego razem z Leilą weszli do otoczonego palmami supermarketu i przez nikogo nie zmuszani oddali swoje talenty w służbę rozwijającego się żywiołowo świata telewizji.

Ale któregoś dnia... któregoś dnia, pomyślał Bernard Osterman, będzie miał tyle czasu, ile dusza zapragnie. Usiądzie przy biurku i napisze w końcu to, co zechce. Wiedział, że robiąc to, popełni oczywiście poważny błąd. Ale dobrze było czasami pomarzyć.

-Bernie?

-Tak?

Leilą owinęła się ręcznikiem i zmieniła regulację leżaka. Oparcie podniosło się samo.

- To jest piękne, kochanie. Naprawdę bardzo piękne. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że ci tego nie przyjmą.

- Przyjmą.

-Nie przełkną tego.

-Mam ich w dupie.

-Zapłacono nam trzydzieści tysięcy za godzinny dramat obyczajowy. Nie za dwugodzinne egzorcyzmy, które kończą się w domu pogrzebowym.

-To nie są żadne egzorcyzmy. Tak się składa, że ta historia osadzona jest w autentycznych realiach, a realiów nie da się zmienić. Chcesz się przejechać do barrio i zobaczyć, jak żyją tam ludzie?

-Nie kupią tego. Zażądadają poprawek.

-Nie zmienię ani słowa!

-A oni wstrzymają wypłatę. Są nam jeszcze winni piętnaście tysięcy.

-Sukinsyny!

-Wiesz, że mam rację.

-Gadanie! Cholerne gadanie! W tym sezonie mieliśmy pójść na całość! Mieliśmy poruszać sprawy kontrowersyjne!

- Oni patrzą na cyfry. Facet, którego wynosił pod niebiosa "The

-Times", nie sprzedaje dezodorantów w Kansas.

-Mam ich w dupie.

-Uspokój się. Popływaj jeszcze trochę. To duży basen. - Leilą Osterman posłała mężowi długie spojrzenie. Wiedział, co ono oznacza, i nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Trochę smutnego uśmiechu.

-W porządku, możesz to poprawić.

Leilą sięgnęła po leżący na stoliku ołówek i żółty blok do pisania. Bernie wstał i podszedł do skraju basenu.

- Nie sądzisz, że Tanner mógłby się do nas przyłączyć? Może powinienem z nim porozmawiać? - zapytał.

Leilą odłożyła ołówek i spojrzała na męża.

-Nie wiem. Johnny różni się od nas...

-Różni się od Josepha i Betty? Od Dicka i Ginny? Nie widzę, czym miałyby się różnić.

-Ja bym z nim uważała. To rasowy dziennikarz; wciąż poluje na temat. Nazywali go sępem, pamiętasz? Sępem z San Diego. Poza tym to facet z kręgosłupem. Wolalabym go za bardzo nie naciskać, żeby się nie splotywał.

-Myśli podobnie jak my. Jak Joe i jak Dick.

-Lepiej go nie naciskać, powtarzam. Nazwij to wrodzoną kobiecą intuicją, ale nie naciskaj go... Możemy się sparzyć.

Osterman skoczył do basenu i przepłynął pod wodą całą jego długość - trzydzieści sześć stóp. Leilą ma tylko w połowie rację, pomyślał. Tanner był bezkompromisowym dziennikarzem, to prawda, ale przecież także rozsądnym i wrażliwym człowiekiem. Nie był głupcem, widział, do czego to wszystko zmierza. Widział to, co było nieuniknione.

Cała sztuka sprowadzała się do tego, żeby przeżyć.

Sprowadzała się do tego, żeby robić to, na co ma się ochotę. Na przykład - jeśli się potrafi - pisać scenariusz "egzorcyzmów". Nie martwiąc się, jak idzie sprzedaż dezodorantów w stanie Kansas.

Bernie wynurzył głowę i przytrzymał się, głęboko oddychając, skraju basenu. A potem odepchnął się i powoli popłynął z powrotem w stronę żony.

- Czy zapędziłem cię w ślepy zaułek?

-Nigdy ci się to nie uda - odparła Leilą, notując coś w żółtym bloku. - Był w moim życiu okres, kiedy suma trzydziestu tysięcy dolarów wydawała mi się astronomiczna. Weintraubowie z Brooklynu nie byli najpoważniejszymi klientami Chase Manhattan Bank. - Oddała kolejną kartkę i wsunęła ją pod butelkę pepsa coli.

-Nigdy nie miałem takich problemów - odparł Bernie, dotykając stopami dna. - Nikomu tego nie powtarzaj, ale Ostermanowie są w rzeczywistości kuzynami Rothschildów.

-Wiem. Twoje konie wyścigowe startują w barwach dyni i fiołków.

-Hej! - Bernie przytrzymał się skraju basenu. - Nie mówiłem ci? - zapytał podniecony. - Dzisiaj rano zadzwonił z Palm Springs nasz trener. Ten dwulatek, którego kupiliśmy, przebiegł sześćset sześćdziesiąt jardów w czterdzieści jeden sekund!

Leilą Osterman rzuciła ze śmiechem blok na kolana.

-Zastaw się, a postaw się. I ty chcesz się zabierać za Dostojew-skiego?

-Wiem, co masz na myśli... Może któregoś dnia.

- Jasne. A tymczasem pilnuj Kansas i tych swoich kucyków.

Osterman zachichotał i popłynął w stronę przeciwnego brzegu.

Pomyślał znowu o Tannerach. John i Alice Tannerowie. Wymienił ich nazwiska w Szwajcarii. W Zurychu byli zachwyceni.

Bernard Osterman podjął decyzję. Przekona jakoś żonę.

Podczas tego weekendu miał zamiar poważnie porozmawiać z Johnem Tannerem.

Danforth minął wąski korytarz swego domu w Georgetown i otworzył frontowe drzwi. Stojący w progu Laurence Fassett z Centralnej Agencji Wywiadowczej uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Dzień dobry, panie Danforth. Zadzwonił do mnie Andrews z McLean. Spotkaliśmy się już kiedyś... jestem pewien, że pan nie pamięta. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, sir.

Danforth przyjrzał się swemu niezwykle gościowi i odwzajemnił uśmiech. Z tego, co wyczytał w jego dossier, Fassett miał czterdzieści siedem lat, ale wyglądał o wiele młodziej. Szerokie ramiona, muskularny kark, krótko ostrzyżone blond włosy i pozbawiona zmarszczek twarz - wszystko to przypominało Danforthowi o własnych zbliżających się siedemdziesiątych urodzinach.

- Oczywiście, że pamiętam. Proszę, niech pan wejdzie.

Fassett wszedł do środka i jego wzrok padł na wiszące na ścianie akwarele Degasa. Przyjrzał się im uważniej.

-Piękne.

-Też jestem tego zdania. Zna się pan na malarstwie, panie Fassett?

-Och, nie. Jestem tylko pełnym entuzjazmu amatorem. Moja żona była malarką. Mnóstwo czasu spędziliśmy razem w Luwrze.

Danforth wiedział, że nie powinien pytać go o żonę. Była Niemką i miała powiązania w Berlinie Wschodnim. Tam też zginęła.

- Tak, oczywiście. Proszę, tędy. Z tyłu czeka na nas Grover.

Oglądamy na patio program Woodwarda.

Dwaj mężczyźni wyszli na wyłożony płytami i cegłą taras. George Grover wstał na ich widok z krzesła.

-Cześć, Larry. Sprawy zaczynają posuwać się do przodu.

-Na to wygląda. Jeśli o mnie chodzi, powinniśmy załatwić to jak najszybciej.

- Nie sądzę, żeby komukolwiek z nas zależało na zwłoce - stwierdził Danforth. - Napije się pan czegoś?

- Nie, dziękuję bardzo. Jeśli to panom nie przeszkadza, chciałbym od razu przystąpić do rzeczy.

Trzej mężczyźni usiedli wokół wyłożonego kaflami stolika.

- Ustalmy zatem, w jakim miejscu stoimy - powiedział Danforth. - Jaki mamy plan działania?

Fassett spojrział na niego zdumionym wzrokiem.

- Myślałem, że wszystko zostało z panem uzgodnione?

-Czytałem oczywiście raporty. Chcę po prostu uzyskać informację z pierwszej ręki. Od człowieka, który prowadzi operację.

-Tak jest, sir. Zakończona została pierwsza faza. Tannerowie, Tremayne'owie i Cardone'owie są w Saddle Valley. W najbliższym czasie nie planują żadnych wakacji ani innych wyjazdów. Potwierdzili to wszyscy nasi informatorzy. W mieście mamy trzynastu agentów. Te trzy rodziny znajdują się pod stałym nadzorem... Telefony są na podsłuchu. Nie do wykrycia. Nasi ludzie w Los Angeles ustalili, że Ostermanowie wykupili bilety na piątek na rejs numer pięćset dziewięć i spodziewani są na lotnisku Kennedy'ego o szesnastej pięćdziesiąt czasu wschodniego. Po przylocie biorą na ogół taksówkę i jadą bezpośrednio do Saddle Valley. Taksówka będzie oczywiście śledzona...

-Jeżeli Ostermanowie będą się trzymali swoich starych przyzwyczajęń - wtrącił Grover.

-W przeciwnym przypadku w ogóle nie znajdują się na pokładzie tego samolotu... Jutro wezwiemy Tannera do Waszyngtonu.

-Niczego w tej chwili nie podejrzewa? - zapytał Danforth.

-Niczego, jeśli nie brać pod uwagę policyjnego samochodu, o którym możemy mu przypomnieć, jeśli będzie się jutro opierał.

-Jak, pana zdaniem, to przyjmie? - zapytał, pochylając się do przodu, Grover.

Według mnie będzie to dla niego prawdziwy szok

-Może odmówić współpracy - stwierdził Danforth.

-To mało prawdopodobne. Jeżeli właściwie wykonam to, co do mnie należy, nie będzie miał wyboru.

Danforth spojrział na muskularnego, silnego mężczyznę, który mówił z taką pewnością siebie.

-Zależy panu na tym, żebyśmy zwyciężyli w tej grze, prawda? Działa pan z wielkim zaangażowaniem.

-Mam swoje powody - odparł Fassett, odwzajemniając spojrzenie Danforth'a. - Oni zabili moją żonę. Dopadli ją o drugiej w nocy na Kurfurstendamm, podczas gdy ja byłem "zatrzymany". Próbowała mnie odszukać. Wiedział pan o tym?

-Przeczytałem pańskie akta. Głęboko panu współczuję...

Nie chcę, żeby pan mi współczuł. Otrzymywane przez nich rozkazy pochodzą z Moskwy. Chcę ich dostać w swoje ręce. Chcę zneutralizować Omegę.

CZĘŚĆ DRUGA
PONIEDZIAŁEK, WTOREK, ŚRODA, CZWARTEK

Poniedziałek, godzina 10.15

Tanner wyszedł z windy i ruszył po gęstym, tłumiącym kroki dywanie w stronę swojego gabinetu. Poprzednie dwadzieścia pięć minut spędził w sali projekcyjnej, oglądając taśmę z Woodwardem. Potwierdziła to, co napisały gazety: Charles Woodward udowodnił, że podsekretarz Ashton jest politycznym zerem.

Wielu ludzi w Waszyngtonie będzie miało dzisiaj kłopoty, pomyślał.

-Udał nam się show, prawda? - zapytała jego sekretarka.

-Nie do oglądania, jak powiedziała by mój syn. Nie wydaje mi się, żebyśmy w najbliższym czasie dostali zaproszenie na kolację w Białym Domu. Były jakieś telefony?

-Zewsząd. W większości gratulacje. Notatkę z nazwiskami zostawiłam panu na biurku.

-To pocieszające. Może będę ich jeszcze potrzebował. Coś poza tym?

-Tak jest, proszę pana. Dwa razy dzwoniło z Federalnej Komisji Środków Przekazu. Facet o nazwisku Fassett.

-Jak?

-Pan Laurence Fassett.

-Zawsze załatwialiśmy z nimi wszystko za pośrednictwem Cranstona.

-Tak też sądziłam, ale powiedział, że to pilne.

-Może Departament Stanu chce nas wszystkich aresztować jeszcze przed zachodem słońca.

-Nie wydaje mi się. Z takimi rzeczami wolą na ogół poczekać dzień albo dwa; nie można ich wtedy oskarżyć o prześladowania polityczne.

- Następnym razem niech go pani lepiej połączy. Dla Komisji Federalnej wszystko jest pilne.

Tanner wszedł do gabinetu, usiadł za biurkiem i przeczytał notatkę. Uśmiechnął się; nawet konkurencja była pod wrażeniem. Zabrzączał dzwonek interkomu.

-Pan Fassett na jedyńce, proszę pana.

-Dziękuję. - Tanner nacisnął odpowiedni przycisk. - Pan Fassett? Przepraszam, że nie było mnie w biurze, kiedy pan dzwonił.

-To ja powinienem przeprosić - odezwał się grzeczny głos z drugiej strony linii. - Po prostu mam dzisiaj mnóstwo spraw do załatwienia, a pańska jest najważniejsza.

-O co chodzi?

-Sprawa jest rutynowa, ale bardzo pilna, jeśli mogę się tak wyrazić. Dokumenty, które przesłał nam pan w maju na temat programów informacyjnych Standard Mutual, są niekompletne.

-Co takiego? - John przypomniał sobie, co mówił mu przed kilkoma tygodniami Cranston. Pamiętał również, że według Cranstona chodziło o sprawy drugorzędne. - Czego konkretnie brakuje?

-Po pierwsze, dwóch pańskich podpisów. Na stronach siedemnastej i osiemnastej. Po drugie, informacji na temat programów o działalności służb publicznych, które planujecie wyemitować w okresie sześciu miesięcy, poczynając od stycznia.

John Tanner przypomniał sobie teraz dokładnie. To była wina Cranstona. Strony siedemnastej i osiemnastej nie było w formularzu przysłanym Tannerowi do podpisu z Waszyngtonu - na co zwrócił mu uwagę dział prawny - a decyzje na temat programów miały zostać podjęte dopiero w przyszłym miesiącu. Cranston nie miał w tej sprawie żadnych obiekcji.

- Jeśli rzuci pan okiem na te dokumenty, przekona się pan, że to Cranston zapomniał przysłać strony, o których mowa. Co się tyczy programów, decyzje zostały odłożone na później. Cranston wyraził na to zgodę.

Po drugiej stronie linii zapadła na chwilę cisza. Kiedy Fassett odezwał się ponownie, jego głos nie był już tak uprzedzająco grzeczny jak poprzednio.

- Z całym szacunkiem dla Cranstona, nie miał prawa podjąć takiej decyzji. Przekazuję panu w tej chwili oficjalne stanowisko.

To było stwierdzenie nie podlegające dyskusji.

-Rozumiem. Prześlę to panu pocztą kurierską.

-Obawiam się, że to nie wystarczy. Musimy pana prosić, żeby pofatygował się pan do nas osobiście. Dzisiaj po południu.

-Trochę się wam spieszy, nie uważa pan?

-Nie ja ustanawiam przepisy. Ja je tylko egzekwuję. Od dwóch miesięcy Standard Mutual działa niezgodnie z regulaminem komisji. Nie możemy pozwolić, żeby ten stan rzeczy trwał dalej. Niezależnie od tego, kto jest za to odpowiedzialny, fakt pozostaje faktem. Naruszenie prawa. Wyjaśnijmy to już dzisiaj.

W porządku. Ale ostrzegam pana, że jeśli ten telefon stanowi próbę szycany ze strony Departamentu Stanu, każe zająć się tą sprawą

-naszym adwokatom i nie zawahamy się nazwać rzeczy po imieniu.

-Nie tylko nie podoba mi się pańska insynuacja, ale nie wiem, o czym pan mówi.

-Wydaje mi się, że pan wie. Mam na myśli wczorajszy wywiad Woodwarda.

Fassett roześmiał się.

-Ach, słyszałem. "Post" zrobił z tego wielką aferę... Ale nie powinien się pan niepokoić. Próbowałem pana dwukrotnie złapać już w piątek.

-Czyżby?

-Tak.

-Proszę chwilę poczekać. - Tanner wcisnął przycisk wstrzymujący rozmowę i połączył się z sekretarką. - Norma? Czy ten Fassett próbował się ze mną skontaktować już w piątek?

Zapadło krótkie milczenie, podczas którego sekretarka Tannera sprawdzała piątkowe notatki.

-Możliwe. Mam tu dwa telefony z Waszyngtonu, numer centrali trzydzieści sześć, z prośbą o kontakt do godziny czwartej. Do wpół do szóstej był pan w studio.

-Nie zapytałaś, kto dzwoni?

-Oczywiście, że to zrobiłam. W odpowiedzi usłyszałam, że sprawa może poczekać do poniedziałku.

-Dziękuję. - Tanner odblokował połączenie z Fassettem. - Zostawił pan numer centrali?

-Trzydzieści sześć. Z prośbą o skontaktowanie się do godziny czwartej.

-Nie podał pan swojego nazwiska ani nazwy instytucji.

-Był piątek. Chciałem wcześniej wyjść. Czy poczułby się pan lepiej, gdybym zostawił prośbę o pilny telefon, którego nie mógłby pan wykonać?

-Dobrze, dobrze. A teraz naprawdę nie można tego załatwić przez pocztę?

-Przykro mi, panie Tanner. Naprawdę bardzo mi przykro, ale takie otrzymałem polecenie. Standard Mutual nie jest małą lokalną stacją. Te formularze powinny zostać wypełnione przed kilkoma tygodniami. A poza tym... - Fassett ponownie się roześmiał - teraz, kiedy nadepnął pan paru ludziom na odcisk, nie chciałbym być w pana skórze, jeśli ktoś w Departamencie Stanu dowie się, że cała ta wasza cholerna dyrekcja programów informacyjnych działa na wariackich papierach... To nie jest groźba. Nie śmiałybym panu grozić. Obydwoj nas ponosimy winę za to, co się stało.

John Tanner uśmiechnął się. Fassett miał rację. Rzeczywiście spóźnili się z tymi dokumentami. A teraz nie było sensu narażać się na biurokratyczne represje. Westchnął.

-Złapię samolot o pierwszej i będę u was o trzeciej. Gdzie można pana znaleźć?

-Będę u Cranstona. Papiery zostaną przygotowane i niech pan nie zapomni przywieźć informacji na temat tych programów. To ma być tylko ogólny projekt, nie musicie się go potem trzymać.

-W porządku. Do zobaczenia.

Tanner nacisnął inny przycisk i wykręcił swój numer domowy.

- Cześć, kochanie.

-Będę musiał dziś po południu pojechać do Waszyngtonu.

-Jakieś problemy?

Nie. Sprawa rutynowa, ale bardzo pilna. Tak to określono. Federalna Komisja Środków Przekazu. Postaram się złapać samolot do Newark o siódmej. Chciałem cię po prostu uprzedzić, że trochę się dzisiaj spóźnię

- Dobrze, kochanie. Chcesz, żebym po ciebie wyjechała?

-Nie, wezmę taksówkę.

-Na pewno?

-Na pewno. Fakt, że Standard Mutual zapłaci za mnie dwadzieścia dolców, sprawi mi prawdziwą przyjemność.

-Jesteś tego wart. Przeczytałam recenzje programu Woodwarda. To wielki sukces.

-To właśnie wypisałem sobie na marynarce. Tanner - Człowiek Sukcesu.

- Chciałabym, żebyś nim został - odparła cicho Alice.

Nawet w żartach nie dawała mu spokoju. Nie mieli, co prawda, problemów finansowych, ale Alice Tanner zawsze uważała, że jej mąż otrzymuje za małe wynagrodzenie. Stanowiło to jedyny powód ich poważnych kłótni. Nie potrafił jej nigdy wytłumaczyć, że żądając więcej pieniędzy od korporacji takiej jak Standard Mutual, uzależniłby się jeszcze bardziej od anonimowego giganta.

-Do zobaczenia wieczorem, Ali.

-Pa. Kocham cię.

Ulegając jakby cichym wymówkom żony, Tanner polecił, żeby na lotnisko La Guardia odwiózł go za godzinę jeden z samochodów firmy. Nikt się nie sprzeciwił. Naprawdę był tego ranka człowiekiem sukcesu. W ciągu następnych czterdziestu pięciu minut udało mu się rozwiązać wiele administracyjnych problemów. Ostatnią sprawą urzędową był telefon do działu prawnego Standard Mutual.

- Proszę z panem Harrisonem... To ty, Andy? John Tanner.

Trochę się spieszę, Andy; zaraz jadę na lotnisko. Chciałem się tylko czegoś dowiedzieć. Czy nie zalegamy w Komisji Środków Przekazu z czymś, o czym bym nie wiedział? Czy nie mamy z nimi na pieńku? Wiem o informacji na temat programów, ale Cranston powiedział, że się nie pali... Jasne, zaczekam. - Tanner ścisnął palcami przewód telefonu, rozmyślając o Fassetcie. - Tak, Andy, jestem przy telefonie... Strony siedemnasta i osiemnasta. Podpisy... Rozumiem. W porządku. Dzięki. Nie, nic się nie stało. Jeszcze raz dziękuję.

Tanner odłożył słuchawkę i podniósł się powoli z fotela. Harrison dolał oliwy do ognia. Cała sprawa wydała mu się szytą grubymi nićmi prowokacją. Wszystkie kwestionariusze komisji zostały wypełnione; wszystkie oprócz dwóch ostatnich stron czwartej i piątej kopii. Były to zwyczajne duplikaty, które nie miały dla nikogo znaczenia i które można było w każdej chwili skopiować. A jednak w dokumencie zabrakło tych dwóch kartek.

- Dobrze to sobie przypominam - skomentował przed chwilą Harrison. - Wysłałem ci na ten temat notatkę. Odniosłem wrażenie, jakby ktoś celowo wyjął te dwie strony. Nie potrafię zgadnąć dlaczego... Nie potrafił tego także zgadnąć Tanner.

3

Poniedziałek, godzina 15.25

Ku zdumieniu Tannera komisja wysłała po niego na lotnisko limuzynę.

Biuro Cranstona mieściło się na piątym piętrze gmachu komisji; wcześniej czy później gościł tam dyrektor programów informacyjnych każdej większej sieci. Cranston był prawdziwym profesjonalistą - szanowali go zarówno dziennikarze, jak i zmieniające się administracje - i Tanner poczuł nagły przypływ niechęci wobec nie znanego mu pana Fassetta, który bez żadnej żenady stwierdził, że jego kolega "nie miał prawa podjąć takiej decyzji".

Nigdy nie słyszał o Laurensie Fassetcie.

Pchnął drzwi do poczekalni Cranstona. Była pusta. Puste było też biurko sekretarki - nie leżały na nim żadne przybory do pisania i w ogóle żadne papiery. Jedyne światło wydostawało się spod uchylonych drzwi do gabinetu Cranstona. Słyszał zza nich cichy szmer klimatyzatora. Żaluzje w gabinecie były spuszczone, najprawdopodobniej z powodu ostrego letniego słońca. Zobaczył odrywający się od przeciwległej ściany cień.

- Dzień dobry - powiedział mężczyzna, podchodząc do drzwi. Był o kilka cali niższy od Tannera. Mógł mieć pięć stóp i dziesięć albo jedenaście cali, ale był bardzo szeroki w barach. Miał krótko ostrzyżone blond włosy i szeroko rozstawione pod krzaczastymi jasnobrązowymi brwiami oczy. Był prawdopodobnie w wieku Tannera, ale bez wątpliwości znajdował się w lepszej formie fizycznej. Nawet kiedy stał bez ruchu, wyczuwało się drzemącą w nim siłę.

-Wygląda to na przesłuchanie wstępne bez możliwości skontaktowania się z adwokatem i bez oficjalnego wezwania do sądu. Po co ta cała szopka? Jeśli wydaje się panu, że zdoła mnie zastraszyć, to jest pan niespełna rozumu.

-Cała szopka potrzebna jest, żeby ustalić ponad wszelką wątpliwość, że mamy do czynienia z właściwą osobą. Poza tym ma pan całkowitą rację. Gdybym chciał pana zastraszyć, równie dobrze mógłbym tego próbować wobec Edgara Hoovera. A nawet on nie kontroluje programów informacyjnych wielkiej sieci telewizyjnej.

Tanner spojrzął na stojącego grzecznie po drugiej stronie biurka agenta CIA. Fassett miał rację. Centralna Agencja Wywiadowcza nie próbowałaby nigdy tego rodzaju ordynarnych sztuczek wobec człowieka na jego stanowisku.

-Co pan rozumie, mówiąc, że chce ustalić, czy jestem właściwą osobą? Wie pan przecież, kim jestem.

-To powinno dać panu pewne pojęcie o rodzaju informacji, które mam panu zamiar przedstawić. Potrzebne są nadzwyczajne środki ostrożności... W czasie drugiej wojny światowej pewien aktor, dokładnie rzecz biorąc brytyjski kapral, udawał marszałka Mont-gomery'ego podczas konferencji wysokiego szczebla w Afryce. Na oszustwie nie poznali się nawet niektórzy szkolni koledzy Mont-gomery'ego z Sandhurst. Wiedział pan o tym?

Tanner dotknął palcem przełącznika i nacisnął kolejno przyciski ON i STOP. Taśma ruszyła do przodu i zatrzymała się. Poczuł, jak wzbiera w nim przemieszana ze strachem ciekawość. Usiadł.

-Zaczynamy. Niech pan tylko pamięta, że w każdej chwili mogę zatrzymać taśmę i wyjść.

-Rozumiem. Taki ma pan przywilej... do czasu.

-Co to ma znaczyć? Nie życzę sobie żadnych warunków.

-Niech pan mi zaufa. Zrozumie pan - zapewnił Fassett. Jego uspokajające spojrzenie odniosło spodziewany skutek.

-Niech pan zaczyna.

Agent CIA wyjął kopertę w kolorze manili, otworzył ją, po czym uruchomił magnetofon.

-Pańskie pełne nazwisko brzmi John Raymond Tanner?

-Błąd. Z punktu widzenia prawa nazywam się John Tanner.

Imię Raymond nadano mi przy chrzcie i nie zostało zapisane w świadectwie urodzenia. Fassett uśmiechnął się.

-Bardzo dobrze.

-Dziękuję.

-Obecnie mieszka pan przy Orchard Drive 22, w Saddle Valley, w stanie New Jersey?

-- Tak.

-Urodził się pan 21 maja 1924 roku w Springfield, w stanie Illinois, jako syn Lucasa i Margaret Tannerów?

-Tak.

-Kiedy miał pan siedem lat, pańska rodzina wyjechała do San Mateo w Kalifornii?

-Tak.

-Z jakiego powodu?

-Firma mojego ojca przeniosła go do północnej Kalifornii. Był szefem kadr sieci domów towarowych Bryant Stores.

-Wychowywał się pan w dostatnich warunkach?

-W miarę.

-Kształcił się pan w szkołach publicznych San Mateo?

-Niezupełnie. Po ukończeniu drugiej klasy liceum w San Mateo przeniosłem się na dwa lata przed rozpoczęciem studiów do szkoły prywatnej w Winston.

-Po maturze rozpoczął pan studia na Uniwersytecie Stanford?

-Tak.

-Był pan członkiem jakichś stowarzyszeń albo klubów?

-Tak. Stowarzyszenia Alpha Kappa, Klubu Prasowego Trylona i kilku innych, których nie pamiętam. Jakiś czas byłem chyba w kółku fotograficznym, lecz niezbyt długo. Pracowałem też w gazetce uniwersyteckiej, ale odszedłem stamtąd.

-Jakieś konkretne powody?

Tanner popatrzył uważnie na agenta CIA.

- Tak. Nie podobał mi się sposób, w jaki po wybuchu wojny rząd potraktował ludność pochodzenia japońskiego. Mam na myśli obozy pracy. Moja gazeta popierała je. Nie zmieniłem zdania do dzisiaj.

Fassett ponownie się uśmiechnął.

- Przerwał pan studia?

-Podobnie jak większość. Zgłosiłem się do armii pod koniec drugiego roku.

-Gdzie przeszedł pan szkolenie?

-W Fort Benning w Georgii. Dostałem przydział do piechoty.

-Trzecia Armia? Czternasta Dywizja?

-Tak.

-Walczył pan w Europie?

-Tak.

-Dosłużył się pan stopnia porucznika?

-Tak.

-Skończył pan szkołę oficerską w Fort Benning?

-Nie. Nadano mi stopień we Francji.

-Widzę, że otrzymał pan również kilka odznaczeń.

-To nie były odznaczenia nadawane indywidualnie. Otrzymał je cały batalion.

-Przez trzy tygodnie leżał pan w szpitalu w St. Lo. Czy w wyniku odniesionych ran?

Przez chwilę Tanner sprawiał wrażenie zawstydzonego.

-Wie pan doskonale, że nie zostałem ranny na polu bitwy. Nie nadano mi odznaki Purple Heart * - powiedział cicho.

-Może pan to wyjaśnić?

-Wypadłem z dżipa na drodze do St. Lo. Zwichnięcie stawu biodrowego.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się.

-Zwolniono pana do cywila w lipcu 1945 roku i we wrześniu powrócił pan do Stanford.

-Tak... Uprzedzając pańskie następne pytanie, panie Fassett, powiem, że zmieniłem kierunek z literatury angielskiej na dziennikarstwo. Ukończyłem studia w roku 1947 z tytułem magistra.

Laurence Fassett nie odrywał oczu od leżących przed nim papierów.

-Na trzecim roku ożenił się pan z niejaką Alice McCall? Tanner nacisnął przycisk i wyłączył magnetofon.

-To jest moment, w którym powinienem stąd wyjść.

-Niech pan się uspokoi, panie Tanner. Chodzi tylko o ustalenie

* Dosłownie Purpurowe Serce, amerykańskie odznaczenie nadawane rannym na polu bitwy (przyp. tłum.).

tożsamości... Nie podzielamy przekonania, że grzechy ojców przenoszą się na córki. Wystarczy nam proste tak albo nie. Tanner ponownie uruchomił magnetofon.

- Tak.

Teraz Laurence Fassett wziął do ręki wyłącznik i zatrzymał taśmę. Tanner spoglądał przez chwilę na zastygłe w bezruchu szpule, a potem podniósł wzrok, wpatrując się w agenta CIA.

-Moje następne dwa pytania dotyczą okoliczności, które doprowadziły pana do tego małżeństwa. Domyślam się, że nie ma pan ochoty na nie odpowiadać.

-Pańskie domysły są całkowicie słuszne.

-Proszę mi wierzyć, to nic ważnego.

- Gdyby oświadczył pan coś przeciwnego, już by mnie tu nie było.

Alice dość się wycierpiała. Tanner nie zamierzał pozwolić, by

ktokolwiek wywlekał ponownie na światło dzienne tragedię jego żony. Fassett ponownie uruchomił magnetofon.

-Pan i Alice Mc... Tanner macie dwoje dzieci. Chłopca, Raymonda, teraz w wieku trzynastu lat, i dziewczynkę, Janet, lat osiem.

-Mój syn ma dwanaście lat.

-Pojutrze przypadają jego trzynaste urodziny. Ale cofnijmy się jeszcze na chwilę w przeszłość. Pierwszą pracę po ukończeniu studiów dostał pan w "The Sacramento Daily News".

-Jako reporter. A także goniec, akwizytor reklam i kiedy tylko pozwalał na to czas, krytyk filmowy.

-Pracował pan w tej gazecie przez trzy i pół roku. Potem otrzymał pan posadę w "The Los Angeles Times"?

-Nie. Spędziłem w "Sacramento"... dwa i pół roku, a potem przez mniej więcej rok pracowałem w "San Francisco Chronicle". Dopiero później przenieśliśmy się do "Timesa".

-W "The Los Angeles Times" zdobył pan sobie opinię zdolnego reportera...

-Miałem trochę szczęścia. Domyślam się, że ma pan na myśli moje reportaże z doków w San Diego.

-Zgadza się. Otrzymał pan, zdaje się, nominację do Nagrody Pulitzera.

-Ale nie dostałem jej.

-Potem awansowano pana na stanowisko redaktora.

- Zastępcy redaktora. Nic nadzwyczajnego.

-Pozostał pan jeszcze w "Timesie" przez pięć lat.

-Chyba sześć.

-Aż do stycznia 1958 roku, kiedy rozpoczął pan pracę w "Standard Mutual" w Los Angeles.

-Zgadza się.

-Pozostał pan w Los Angeles aż do marca 1963 roku. Otrzymał pan wtedy przeniesienie do Nowego Jorku. Od tego czasu wielokrotnie pana awansowano.

-Przeniosłem się na wschód jako redaktor wydania wiadomości o siódmej. Zarządzałem potem działem dokumentacji i działem wydań specjalnych. W końcu doszedłem do mego obecnego stanowiska.

-To znaczy?

- Dyrektora programów informacyjnych Standard Mutual.

Laurence Fassett odłożył na bok papiery i wyłączył magnetofon.

Odchylił się do tyłu i posłał Johnowi Tannerowi szeroki uśmiech.

-Nie było to takie straszne, przyzna pan?

-To już koniec?

-Nie, nie... ustaliliśmy na razie ponad wszelką wątpliwość pańską tożsamość. Zdał pan. Popełnił pan wystarczająco dużo drobnych pomyłek, żeby zdać test.

-Co takiego?

-Te pytania - oświadczył Fassett, dotykając papierów - przygotowuje nasz Dział Przesłuchań. Najpierw w jednej sali zamykają się jajogłowi razem z brodacami, a potem przepuszczają wszystko to, co wymyślą, przez komputer. Nie powinien pan odpowiedzieć na wszystkie pytania prawidłowo. Gdyby pan to zrobił, oznaczałoby to, że wykuł się pan wszystkiego na pamięć. Na przykład, w "The Sacramento Daily News" pracował pan trzy lata, prawie co do dnia. A nie przez dwa i pół ani trzy i pół roku. Pańska rodzina przeniosła się do San Mateo, kiedy miał pan osiem lat i dwa miesiące, a nie siedem.

-Niech mnie diabli...

-Szczerze mówiąc, zdałby pan, nawet gdyby wszystkie odpowiedzi były prawidłowe. Ale miło jest wiedzieć, że nie odbiega pan od normy. W pańskim przypadku musimy to wszystko mieć na taśmie... Teraz, obawiam się, nastąpi mniej przyjemna część naszej rozmowy.

-Mniej przyjemna w porównaniu z czym?

-Po prostu nieprzyjemna. Muszę ponownie uruchomić magnetofon. - Fassett wcisnął przycisk i wziął do ręki kartkę papieru. - Johnie Tanner, muszę pana uprzedzić, że informacje, które staną się przedmiotem naszej rozmowy, stanowią ścisłą tajemnicę państwową. Przysięgam, że nie dotyczą one w najmniejszym stopniu pana i pańskiej rodziny. Ujawnienie tych informacji jakiegokolwiek osobie trzeciej stanowi ciężkie naruszenie interesów rządu Stanów Zjednoczonych. Wobec osób zatrudnionych w służbie rządowej, które dopuszczają się tego wykroczenia, przewidziane są sankcje karne na mocy Ustawy o Bezpieczeństwie Narodowym, rozdział osiemnasty, paragraf 793. Czy wszystko to, co dotychczas powiedziałem, jest dla pana całkowicie jasne?

-Tak. Ale na razie nie jestem w posiadaniu żadnych tajemnic i nie mogę odpowiadać za ich ujawnienie.

-Zdaję sobie z tego sprawę. Mam zamiar przekazać panu te informacje w trzech etapach. Na etapie pierwszym i drugim może pan w każdej chwili przerwać naszą rozmowę i to, czy nie ujawni pan nikomu jej treści, zależy wyłącznie od pańskiej inteligencji i lojalności wobec rządu. W momencie jednak, gdy wyrazi pan zgodę na przejście do trzeciego etapu, kiedy to ujawnione zostaną przed panem nazwiska, będzie pan podlegał tym samym sankcjom karnym co pracownicy rządowi i jeśli naruszy pan tajemnicę, może pan zostać osądzony i skazany na mocy Ustawy o Bezpieczeństwie Narodowym. Czy to jest jasne, panie Tanner? Tanner poruszył się niespokojnie. Spojrzał na kręcące się szpule magnetofonu, a potem na Fassetta.

-Rozumiem to, ale nie sądzi pan chyba, że się na to zgodzę. Nie miał pan żadnego prawa wzywać mnie tu pod fałszywym pretekstem, a tym bardziej stawiać w sytuacji potencjalnego oskarżonego.

-Nie pytałem, czy pan się godzi, lecz tylko, czy zrozumiał pan to, co powiedziałem.

-A jeśli to ma być groźba, może pan iść do diabła.

-Wyliczam jedynie warunki, pod którymi mogę ujawnić przed panem pewne informacje. Czy to jest groźba? Czy nie tego samego wymaga się od pana na co dzień przy podpisywaniu kontraktów? Może pan wyjść z tego gabinetu, kiedy tylko pan zechce, chyba że zgodzi się pan usłyszeć ode mnie nazwiska. Czy to aż takie nielogiczne?

Tanner przyznał mu w duchu rację. Poza tym musiał zaspokoić teraz swoją ciekawość.

-Powiedział pan przedtem, że ta sprawa, o cokolwiek w niej chodzi, nie ma nic wspólnego z moją rodziną? Nic wspólnego z moją żoną? Ani ze mną?

-Przysiągłem na to i ma pan to zarejestrowane na taśmie. - Fassett zdał sobie sprawę, że Tanner dodał ostatnie pytanie, żeby zatrzeć wrażenie, że chroni przede wszystkim swoją żonę.

-Niech pan mówi dalej.

Fassett podniósł się z krzesła i podszedł do okna.

-Swoją drogą, nie musi pan przez cały czas siedzieć przy biurku. Nasze mikrofony są bardzo czułe. I oczywiście zminiaturyzowane.

-Dziękuję, posiedzę.

-Jak pan sobie życzy. Już przed kilku laty doszły nas plotki o montowanej przez sowieckie NKWD operacji, która, gdyby doszła do skutku, przyniosłaby olbrzymie straty naszej gospodarce. Próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Nie udało nam się. Wszystko, czym dysponowaliśmy, to była plotka. Rosjanie strzelili tej tajemnicy lepiej niż danych dotyczących swojego programu kosmicznego. A potem, w sześćdziesiątym szóstym roku, przeszedł na Zachód agent wschodnioniemieckiego wywiadu. Przekazał nam pierwsze konkretne informacje. Powiedział, że wschodnioniemiecki wywiad utrzymywał na Zachodzie kontakty z agentami... a raczej z całą ich siatką, której kryptonim brzmiał Omega. Kryptonim geograficzny podam panu za chwilę... albo nie zrobię tego. To należy do drugiego etapu. Zależy od pana. Omega wysyłała regularnie do wschodnioniemieckiego wywiadu zapieczętowane koperty. Dwóch uzbrojonych kurierów przewoziło je w najgłębszej tajemnicy do Moskwy. Metoda działania siatki jest stara jak samo szpiegostwo i wyjątkowo skuteczna w czasach wielkich korporacji i koncernów... Omega sporządza po prostu księgę katastralną.

-Co takiego?

-Księgę katastralną. Listę zawierającą setki, a być może już tysiące osób, których ma dotknąć nieszczęście. W tym wypadku nie czarna febra, ale szantaż. Ludzie umieszczeni na tej liście zajmują kluczowe pozycje w wielu olbrzymich firmach. Wielu z nich dysponuje potężną władzą ekonomiczną. To oni podejmują decyzje o tym, czy

kupować, czy sprzedawać. Działając w skoordynowany sposób, czterdzieści lub pięćdziesiąt takich osób może doprowadzić do gospodarczego chaosu.

-Nie rozumiem. Dlaczego mieliby to zrobić? Pod wpływem czego?

-Już panu powiedziałem. Pod wpływem szantażu. Każda z tych osób ma jakiś słaby punkt, każdą można w związku z tym przycisnąć do muru. Powodów są tysiące: dewiacje seksualne i seks pozamałżeński; składanie fałszywych zeznań, manipulacje cenowe i giełdowe, przestępstwa podatkowe. Księga obejmuje wielu ludzi. Ludzi, których reputacja, kariera i szczęście osobiste mogą lec w gruzach. Chyba że ulegną szantażowi.

-Stawiając sprawę w ten sposób, przedstawia pan w fatalnym świetle świat biznesu i nie jestem wcale pewien czy słusznie. Nie jest aż tak źle, jak pan sugeruje. Nie do tego stopnia, żeby można było spowodować totalny chaos.

-Czyżby? Fundacja Crawforda przeprowadziła dokładne badania na temat amerykańskich rekinów przemysłu działających w dwudziestoleciu 1925-1945. Rezultaty są wciąż utajnione, ćwierć wieku później. Z opracowania wynika, iż w ciągu tego okresu trzydzieści dwa procent wpływów finansowych zostało uzyskane w sposób, który można zakwestionować, bądź po prostu sprzeczny z prawem. Trzydzieści dwa procent!

-Nie wierzę panu. Gdyby to była prawda, należałoby to ogłosić wszem i wobec.

-Niemożliwe. Połowa sędziów musiałaby popełnić harakiri. Sądy nie są już nieczułe na urok pieniędzy. Dzisiaj wszystko się przenika. Niech pan weźmie pierwszą lepszą gazetę. Otworzy na stronie, na której mowa o finansach, i przeczyta sobie o kolejnych aferach. Niech pan przyjrzy się zarzutom i kontrzarzutom. To wszystko stanowi złotą żyłę dla Omegi. Spis kandydatów. Nikt nie żyje dzisiaj w zamrażalniku. Udziela się nie zabezpieczonej pożyczki, zwiększa na jakiś czas marżę, dostarcza dziewczynki dobremu klientowi. Omega obserwuje po prostu bacznie właściwych ludzi i po krótkim czasie wiadro wypełnia się szambem. To wcale nie jest trudne. Trzeba być po prostu dokładnym. W wystarczającym stopniu, żeby zastraszyć.

Tanner odwrócił się od blondyna, który przemawiał z taką precyzją. I taką spokojną pewnością siebie.

- Wolę nie myśleć, że ma pan rację.

Nagle Fassett wrócił do biurka i wyłączył magnetofon. Szpule zatrzymały się w miejscu.

- Dlaczego nie? Nie chodzi tylko o ujawnioną informację... ona

sama może być względnie nieszkodliwa... ale o sposób, w jaki się to robi. Weźmy na przykład pana. Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że w lokalnej gazecie Saddle Valley ukaże się artykuł przypominający pewne fakty: zdarzenia, które miały miejsce przed dwudziestu kilku laty pod Los Angeles. Pańskie dzieci chodzą do miejscowej szkoły, pańska żona przyjaźni się z sąsiadami. Jak długo, pańskim zdaniem, zagrzałibyście tam miejsca po czymś takim?

Tanner zerwał się z krzesła i zmierzył wściekłym wzrokiem stojącego za biurkiem mężczyznę. Ze zdenerwowania trzęsły mu się ręce.

-To obrzydliwe - powiedział ledwo słyszalnym głosem.

-Tak właśnie działa Omega, panie Tanner. Niech pan się uspokoi, to był tylko przykład. - Fassett włączył magnetofon, a Tanner niechętnie usiadł z powrotem na krześle. - Omega istnieje. I w tym miejscu dochodzimy do ostatniej części pierwszego etapu.

-Która dotyczy czego?

Laurence Fassett usiadł za biurkiem. Rozkruszył trzymanego w palcach papierosa, a Tanner sięgnął do kieszeni i wyjął własną paczkę.

-Wiemy już, że Omega działa według ustalonego z góry kalendarza. Dzień, kiedy ma dojść do chaosu, został już wyznaczony... Nie powiem panu niczego, czego by pan i tak nie wiedział, przyznając, że moja agencja przeprowadza często wymianę personelu z Sowietami.

-Nic, o czym bym nie wiedział.

-Wymieniamy na ogół dwóch albo trzech Sowietów za jednego z naszych.

-O tym również wiem.

-Przed dwunastu miesiącami doszło przy granicy z Albanią do jednej z takich wymian. Targowaliśmy się przez czterdzieści pięć dni. Byłem tam wówczas i dlatego właśnie jestem tutaj dzisiaj. Podczas negocjacji skontaktowało się z naszą ekipą kilku pracowników sowieckiego ministerstwa spraw zagranicznych. Najlepiej byłoby ich opisać, używając określenia "umiarkowani". Podobni do naszych umiarkowanych.

-Wiem, przeciwko czemu występują nasi umiarkowani. Przeciwko czemu walczą tamci?

-Przeciwko temu samemu. Tyle że zamiast Pentagonu i nieuchwytnego kompleksu wojskowo-przemysłowego mają do czynienia z jastrzębiami w prezydium. Z militarystami.

-Rozumiem.

-Poinformowano nas, że sowieccy militaryści wyznaczyli docelową datę rozpoczęcia ostatniej fazy operacji Omega. Tego dnia plan zostanie wcielony w życie. Agenci skontaktują się z setkami nie znanych nam kierowników życia gospodarczego Ameryki i zagrozą im kompromitacją, jeśli ci nie wykonają określonych poleceń. W efekcie dojdzie do wielkiego kryzysu finansowego. Niewykluczone, że do prawdziwej katastrofy gospodarczej. Taka jest prawda.

Tanner wstał z krzesła, zaciągając się papierosem. Przespacerował się wzdłuż biurka.

-I dowiedziawszy się o tym wszystkim mam prawo stąd wyjść?

-Tak jest.

-Za dużo pan sobie pozwala. Na Boga, za dużo pan sobie pozwala! Kręci się taśma. Niech pan mówi dalej.

-Doskonale. Przechodzimy zatem do drugiego etapu. Wiemy, że ludzie Omegi obracają się w tych samych kręgach co osoby, będące przedmiotem ich zainteresowania. To oczywiste, w przeciwnym razie nigdy nie doszłoby do zawarcia znajomości i wykrycia słabych punktów. W zasadzie wiemy, gdzie ich szukać. Są to osoby, infiltrujące wielkie firmy, w których sami pracują albo z którymi kooperują, a także cieszące się przyjaźnią ludzi na świeczniku... Jak już wspomniałem, kryptonim Omega oznacza siatkę albo grupę agentów. Jest również kryptonim geograficzny; oznacza miejsce, do którego przychodzą informacje, gdzie sprawdza się ich autentyczność i skąd, przy zachowaniu pełnej tajemnicy, wysyła się je dalej. Niełatwo jest przetłumaczyć ten kryptonim, ale najbliższe oryginału wydaje się określenie "Skórzana Przepaść" albo "Kozła Skóra".

-Kozła Skóra? - zapytał Tanner, wyjmując z ust papierosa.

-Tak. Niech pan pamięta, że dowiedzieliśmy się o tym przeszło trzy lata temu. Po osiemnastu miesiącach zakrojonego na szeroką skalę dochodzenia zawężiliśmy lokalizację "Kozłej Skóry" do jedenastu miejscowości rozrzuconych na terenie całego kraju.

-A jedną z nich jest Saddle Valley w stanie New Jersey?

-Nie wybiegajmy znowu do przodu.

-To znaczy, że mam rację?

-Umieściliśmy w tych miejscowościach naszych agentów - ciągnął dalej Fassett, puszczając mimo uszu pytanie Tannera. - Prześwietliliśmy tysiące mieszkańców... operacja była bardzo kosztowna... Im więcej gromadziliśmy danych, tym więcej było dowodów na to, że "Kozła Skóra" to Saddle Valley. Praca była wyjątkowo żmudna. Sprawdzaliśmy znaki wodne na papeterii, analizowaliśmy cząsteczki kurzu, które w zapieczętowanych kopertach dostarczył nam po swojej ucieczce na Zachód wspomniany przeze mnie pracownik wschodniemieckiego wywiadu, badaliśmy wielokrotnie tysiące przedmiotów. Ale im więcej gromadziliśmy faktów, tym węższy stawał się krąg podejrzanych.

-Sądzę, że powinien pan przejść do rzeczy.

-Decyzja należy do pana. Zbliżamy się do końca drugiego etapu. - Fassett przerwał na chwilę i nie doczekawszy się odpowiedzi ciągnął dalej: - Może pan dostarczyć nam nieocenionej pomocy. W jednej z najważniejszych operacji w historii stosunków amerykańsko--sowieckich może pan odegrać rolę, której nie potrafi spełnić nikt poza panem. Dodatkowym argumentem może być fakt, że w tym przypadku umiarkowane siły po obu stronach idą ze sobą ręką w rękę. Już o tym zresztą mówiłem.

-Proszę, niech pan to bliżej wyjaśni.

-Tylko fanatycy decydują się na tego rodzaju operacje. Są zbyt niebezpieczne dla obu krajów. W sowieckim przydziu trwa walka o władzę. Dla naszego dobra muszą ją wygrać umiarkowani. Umożliwić to można tylko poprzez zdemaskowanie choćby części siatki i opóźnienie daty rozpoczęcia operacji.

-Jaka jest w tym wszystkim moja rola?

- Pan zna Omegę, panie Tanner. Zna pan Omegę bardzo dobrze.

Tanner wstrzymał oddech. Przez chwilę miał wrażenie, że przestało mu bić serce. Poczł szum w uszach, a potem zrobiło mu się niedobrze.

-Uważam pańskie stwierdzenie za bezpodstawne - powiedział.

-Na pana miejscu też bym tak uważał. Ale to prawda.

- Domyślam się także, że na tym stwierdzeniu zakończyliśmy etap drugi? Ty draniu! Ty sukinsynu! - Głos Tannera zniżył się niemal do szeptu.

- Może mnie pan nazywać, jak pan chce. Może mnie pan nawet uderzyć. Nie oddam panu... Mówiłem już, mam za sobą setki takich rozmów...

Tanner wstał z krzesła i przycisnął palce do czoła. Stał plecami do Fassetta, a potem nagle odwrócił się do niego z powrotem.

-A jeśli popełniłście błąd? - wyszeptał. - Przypuśćmy, że po raz kolejny popełniłście jakiś idiotyczny błąd?

-To niemożliwe... Nie twierdzimy, że całkowicie zdemaskowaliśmy Omegę. Ale namierzaliśmy jej członków. Nikt nie utrzymuje z nimi tak bliskich stosunków jak pan.

Tanner podszedł do okna i zaczął podnosić żaluzje.

- Niech pan tego nie dotyka! Niech pan to zostawi!

Fassett zerwał się z krzesła i podbiegł do dziennikarza. Jedną ręką złapał go za nadgarstek, a drugą za sznur podnoszący żaluzje.

- I pan uważa, że mogę teraz stąd wyjść i żyć z tym, co mi pan powiedział? - zapytał dyrektor programów informacyjnych. - Nie wiedząc, kogo goszczę w domu i z kim rozmawiam na ulicy? Żyć ze świadomością, że gdybym tylko podniósł żaluzje w tym pokoju, ktoś mógłby mnie zastrzelić?

- Niech pan nie dramatyzuje. To zwykłe środki ostrożności.

Tanner odszedł od okna. Zatrzymał się przy skraju biurka, ale nie siadał.

-Niech pana diabli wezmą - powiedział cicho. - Wie pan dobrze, że nie mogę stąd teraz wyjść.

-Przyjmuje pan moje warunki?

-Tak.

-W takim razie muszę pana prosić o podpisanie tego oświadczenia. - Fassett wyjął z brązowej koperty kartkę papieru i podsunął ją Tannerowi. Widniała na niej krótka informacja na temat Ustawy o Bezpieczeństwie Narodowym i przewidywanych przez nią sankcjach karnych. O Omedze mowa była w sposób pośredni - określano ją jako Obiekt A, sprecyzowany bliżej na taśmie. Tanner nagryzmolił pod spodem swoje nazwisko i nadal stał po drugiej stronie biurka, nie spuszczać oczu z Fassetta.

-Muszę panu teraz zadać kilka pytań - oświadczył agent CIA, przerzucając kartki. - Czy zna pan Richarda Tremayne'a i jego żonę, Virginie? Proszę odpowiedzieć.

-Tak - odparł cicho oszołomiony Tanner.

-Czy zna pan Josepha Cardone'a, urodzonego jako Giuseppe Ambruzzio Cardione, oraz jego żonę, Elizabeth?

-Tak.

-Bernarda Ostermana i jego żonę, Leile?

-Tak.

-Proszę głośniej, panie Tanner.

-Powiedziałem, tak.

-Informuję pana niniejszym, że wszystkie wymienione przeze mnie małżeństwa stanowią jądro siatki określonej kryptonimem Omega.

-Pan nie wie, co pan mówi! Zwariował pan!

-Nie, nie zwariowałem. Mówiłem już panu o wymianie przy albańskiej granicy. Poinformowano nas wtedy, że centrum operacyjne Omegi, albo jak pan woli "Kozłej Skóry", znajduje się na jednym z przedmieść Manhattanu. To samo potwierdziło nasze dochodzenie. Omega składa się z ludzi będących fanatycznymi zwolennikami militarystycznej polityki prowadzonej przez sowieckich ekspansjonistów. Ludzie ci są bardzo dobrze opłacani za swoje usługi. Tak się składa, że wszystkie wymienione przeze mnie pary: Tremayne'owie, Cardone'owie i Ostermanowie posiadają zakodowane konta bankowe w Zurychu, w Szwajcarii. Ich wysokość daleko przekracza zadeklarowane dochody.

-Nie mówi pan chyba tego serio!

-Prześwietliliśmy dokładnie każde małżeństwo i doszliśmy do wniosku, że nawet jeśli doszło do tego w wyniku czystego przypadku, służył pan wszystkim parom za doskonałą osłonę. Jest pan świetnym dziennikarzem, człowiekiem, który pozostaje poza wszelkim podejrzeniem. Nie twierdzimy, że wszystkie trzy małżeństwa należą na pewno do Omegi. Możliwe, że jedna albo nawet dwie pary służą za wabik, tak jak to jest w pańskim przypadku. Możliwe, ale mało prawdopodobne. Szwajcarskie konta, wykonywane przez nich zawody i niezwykle okoliczności, w których się poznaliście - wszystko to wskazuje, że mamy do czynienia z zakamuflowaną siatką.

-A w jaki sposób wyeliminowaliście mnie? - zapytał słabym głosem Tanner.

-Pańskie życie od dnia urodzenia aż po dzień dzisiejszy zostało

zbadane pod mikroskopem przez najlepszych zawodowców. Gdybyśmy nie mieli co do pana pewności, nie doszłoby w ogóle do tej rozmowy. Wyczerpany Tanner usiadł z trudem na krześle.

-Co chcecie, żebym zrobił?

-Jeżeli nasze informacje są dokładne, Ostermanowie przylatują w piątek do Nowego Jorku i przez cały weekend będą pańskimi gośćmi. Chyba się nie mylę?

-Mieli być moimi gośćmi.

-Proszę tego nie odwoływać. Niech pan niczego nie zmienia.

-Teraz to niemożliwe...

-Tylko w ten sposób może pan nam pomóc. Nam wszystkim.

-Dlaczego?

-Naszym zdaniem właśnie podczas nadchodzącego weekendu możemy złapać Omegę w pułapkę. Jeśli zapewnimy sobie pańską współpracę. Bez niej nam się to nie uda.

-Dlaczego?

-Do przyjazdu Ostermanów zostały cztery dni. W ciągu tych czterech dni nasi podejrzani: Ostermanowie, Tremayne'owie i Cardone'owie będą poddawani systematycznym szykanom. Każda para otrzyma zagadkowe telefony i telegramy wysłane z Zurychu. W restauracjach, barach i na ulicy będą ich zaczepiać różni nieznajomi. Cel tych wszystkich działań jest jeden: przekazanie wiadomości. Wiadomości o tym, że John Tanner nie jest tym, za kogo się podaje. Jest pan kimś innym. Podwójnym agentem, informatorem Politbiura, a może nawet działającym w dobrej wierze członkiem naszej organizacji. Otrzymywane przez nich informacje będą sprzeczne i mają wytrącić ich z równowagi.

-I uczynić z mojej rodziny tarczę strzelniczą. Nie pozwolę na to. Wszystkich nas powybijają.

-To jest akurat to, czego na pewno nie zrobią.

-Dlaczego nie, jeśli założymy, że cokolwiek z tego, co pan tu powiedział, jest prawdą... o czym zresztą nie jestem wcale przekonany. Znam tych ludzi. Nie mogę w to uwierzyć!
-W takim razie nie grozi panu żadne ryzyko.
-A to dlaczego?
-Jeśli ktorekolwiek z małżeństw nie wchodzi w skład Omegi, zrobią to, co nakazuje im rozsądek. Zawiadomią o wszystkich

incydentach policję albo FBI. Damy im wtedy spokój. Jeśli jedni to zrobią, a inni nie, będziemy wiedzieli, kto bierze udział w operacji.

-A jeśli założymy, że ma pan rację? Co wtedy? Jakie są wtedy pańskie gwarancje bezpieczeństwa?
-Decyduje o nich kilka czynników. Bardzo prostych. Powiedziałem już panu, że informacje na temat pańskiej osoby będą fałszywe. Agenci Omegi, niezależnie od tego, kim są, będą się starali na własną rękę skontaktować z Kremlem i uzyskać potwierdzenie. Na to tylko czekają nasi sowieccy współpracownicy, którzy przechwycą kontakt. Informacja, którą Omega otrzyma z powrotem z Moskwy, będzie zgodna ze stanem faktycznym. Stanem faktycznym takim, jaki miał miejsce do dzisiejszego popołudnia. Wynikać z niej będzie, że jest pan po prostu Johnem Tannerem, dyrektorem programów informacyjnych, i nie uczestniczy pan w żadnym spisku. W informacji zwrotnej zawarta również będzie dodatkowa pułapka. Każdy, kto nawiąże kontakt z Moskwą, otrzyma stamtąd wskazówkę, żeby uważał na pozostałą czwórkę. To oni są zdrajcami. Podzielimy ich i wkroczymy, kiedy zaczną się wzajemnie podejrzewać.

-Więc gdzie tkwi cała trudność? Brzmi to zbyt gładko.

-Gdyby dokonano zamachu na pańskie życie albo życie kogoś z pańskiej rodziny, pod znakiem zapytania stanęłaby cała operacja. Nie podejmą takiego ryzyka. Zbyt ciężko pracowali nad stworzeniem całej siatki. Powiedziałem panu, to fanatycy. Od daty rozpoczęcia operacji dzieli nas mniej niż miesiąc.

-To mi nie wystarcza.

-Jest coś jeszcze. Co najmniej dwóch uzbrojonych agentów będzie towarzyszyło bez przerwy każdemu członkowi pańskiej rodziny. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W odległości nie większej niż pięćdziesiąt jardów. O każdej porze dnia i nocy.

-Teraz widzę, że rzeczywiście pan zwariował. Nie zna pan Saddle Valley. Ludzie szybko zauważą i przepędzą każdego kręcącego się po okolicy obcego. A my będziemy tam tkwić niczym kaczki na strzelnicy. Fassett uśmiechnął się.

-W obecnej chwili mamy w Saddle Valley trzynastu ludzi. Trzynastu. Wszyscy są stałymi mieszkańcami miasteczka.

-Słodki Jezu! - jęknął cicho Tanner. - Kłania się nam rok osiemdziesiąty czwarty, nie sądzi pan?

-Czasy, w których żyjemy, często tego wymagają.

-Wygląda na to, że nie mam wyboru, prawda? Nie mam żadnego wyboru - dodał Tanner, wskazując magnetofon i podpisane oświadczenie. - Ugrzązłem w tym teraz po same uszy.

-Myślę, że znowu pan dramatyzuje.

-Bynajmniej. Niczego nie dramatyzuję... Muszę zrobić dokładnie to, czego pan ode mnie wymaga, prawda? Muszę przez to przejść. Mam tylko jedno inne wyjście: zniknąć i ukrywać się. Przed wami i, jeśli ma pan rację, również przed tą całą Omegą.

Fassett spojrział mu twardo w oczy. Nie było sensu zaprzeczać. Tanner trafnie ujmował swoją sytuację i obaj mężczyźni świetnie o tym wiedzieli.

- To tylko sześć dni. Sześć dni pańskiego życia.

4

Poniedziałek, godzina 20.05

Lot z lotniska Dullesa do Newark wydawał się nierealny. Tanner nie odczuwał zmęczenia. Był ciężko przerażony. Jedna myśl goniła drugą, każdy następny obraz odsuwał w dal poprzedni. Widział wlepione w siebie bezlitośnie oczy Laurence'a Fassetta, a niżej obracające się szpule magnetofonu. Słyszał wibrujący głos agenta, który zadawał mu bez końca te same pytania; a potem jedno słowo zaczęło brzmieć głośniejsz od innych.

- Omega!

I twarze: Berniego i Leili Ostermanów, Dicka i Ginny Tremay-ne'ów, Joego i Betty Cardone'ów.

Nic z tego nie miało sensu! Wylądował w Newark i nagle cały koszmar pryśnie jak bańka mydlana - przypomniał sobie, że dał Laurence'owi Fassettowi projekt programów na temat służby publicznej i złożył podpis na brakujących kartkach kwestionariusza.

Wiedział dobrze, że koszmar będzie trwał dalej.

Godzinna jazda z Newark do Saddle Valley minęła w milczeniu. Nastrój siedzącego z tyłu pasażera, który palił bez przerwy papierosy i nie odpowiedział na pytanie, jak minął lot, udzielił się taksówkarzowi. W światłach samochodu ukazał się znak.

Wita Was

SADDLE VALLEY

RADA MIEJSKA ZAŁOŻONA W 1862

Tanner nie mógł oderwać od niego oczu. Kiedy go minęli, w uszach brzmiały mu tylko dwa słowa. "Kozła Skóra".

Nierzeczywiste.

Po dziesięciu minutach taksówka zajęła pod jego dom. Wysiadł i roztargnionym gestem wręczył kierowcy uzgodnioną przedtem opłatę.

-Dziękuję panu, panie Tanner - powiedział taksówkarz, wychylając się przez okno, żeby odebrać pieniądze.

-Co? Co pan powiedział?! - wrzasnął John Tanner.

-Powiedziałem: "Dziękuję panu, panie Tanner".

Tanner pochylił się, szarpnął za klamkę i otworzył na oścież drzwi kierowcy.

- Skąd znasz moje nazwisko? Mów, skąd znasz moje nazwisko!

Taksówkarz zobaczył spływające po czole pasażera krople potu

i szalony błysk w jego oku. Nienormalny, pomyślał. Sięgnął ostrożnie lewą ręką pod siedzenie, gdzie zawsze trzymał ołowianą rurkę.

- Słuchaj no, koleś - powiedział, zaciskając na niej palce - jeśli nie chcesz, żeby ludzie zwracali się do ciebie po nazwisku, zabierz ten znak ze swojego trawnika.

Tanner dał krok do tyłu i obejrzał się przez ramię. Pod poprzeczką stojącej na trawniku latarni z kutego żelaza paliła się zawieszona na łańcuchu lampa sztormowa. W jej świetle widać było wyraźnie umieszczoną trochę wyżej tabliczkę:

TANNEROWIE

22 ORCHARD DRIVE

Oglądał tę lampę i te słowa tysiące razy. Tannerowie. 22 Orchard Drive. Teraz i one wydawały się nierzeczywiste. Tak jakby nigdy przedtem ich nie widział.

-Przepraszam, stary - zwrócił się, zamykając drzwiczki samochodu, do taksówkarza. - Trochę jestem wykończony. Nie lubię latać samolotem.

-To niech pan jeździ pociągiem - odparł kierowca, zasuwając szybę. - Albo, na rany Chrystusa, chodzi piechotą.

Taksówka odjechała z rykiem silnika, a Tanner odwrócił się w stronę domu. Otworzyły się frontowe drzwi i wypadł zza nich, biegnąc mu na spotkanie, ich pies. W oświetlonym przedpokoju stała zona. Widział uśmiech na jej twarzy.

5

Wtorek, godzina 3.30 czasu kalifornijskiego

J5iały francuski aparat, zaopatrzony w świergotliwy hollywoodzki dzwonek, odezwał się co najmniej pięć razy.

Głupotą jest umieszczanie telefonu po stronie Berniego, pomyślała zaspana Leila. I tak zawsze budził ją, nie jego.

Szturchnęła męża łokciem w żebro.

-Kochanie... Bernie. Bernie! Dzwoni telefon.

-Co? - Półprzytomny Osterman otworzył oczy. - Telefon? A, to ten cholerny telefon. Kto go usłyszy?

Sięgnął ręką i namacał w ciemności wąską słuchawkę.

- Tak? Tak, Bernard Osterman przy telefonie... Zamiejscowa? -

Zakrył słuchawkę dłonią i podsunął się wyżej na łóżku. - Która godzina? - zapytał żony.

Leila zapaliła lampę przy łóżku i spojrzała na zegar.

-Wpół do czwartej. Mój Boże!

-To pewnie jakiś sukinsyn z tego hawajskiego serialu. U nich nie minęła jeszcze północ. - Bernie przystawił do ucha słuchawkę. - Tak, czekam... To musi być z bardzo daleka. Jeżeli rzeczywiście z Hawajów, mogli kazać usiąść przy maszynie producentowi, już raz tak było. Nigdy nie powinniśmy się za to brać. Halo, centrala? Może się pani pospieszyć?

-Mówiłeś, że chociaż raz chcesz obejrzeć te wyspy, nie będąc ubrany w mundur, pamiętasz?

-Teraz tego żałuję. Tak, tu Bernie Osterman, do jasnej cholery! Tak? Tak? Dziękuję... Halo? Słabo pana słyszę. Halo?... Tak, teraz

lepiej. Kto mówi?... Co? Co pan powiedział? Kto mówi? Jak się pan nazywa? Nie rozumiem pana. Tak, słyszałem, ale nie rozumiem... Halo? Halo! Niech pan poczeka. Powiedziałem, żeby pan poczekał! - Osterman wyprostował się i wyskoczył z łóżka, pociągając za sobą kołdrę, która zsunęła się na podłogę. Dopadł białego francuskiego aparatu i zaczął gorączkowo naciskać widelki. - Centrala! Centrala! Przerwali mi połączenie, do jasnej cholery!

- Kto to był? Dlaczego krzyczysz? Co ci powiedział?

- Ten cholerny sukinsyn chrząkał jak osioł... Powiedział... powie dział, że mamy uważać na Pierwszy Tan. Tak właśnie powiedział.

Zapytał jeszcze, czy dobrze usłyszałem. Pierwszy Tan. Co to może, do diabła, znaczyć?

- Co?

- Pierwszy Tan. Powtarzał to w kółko.

- To nie ma sensu. Czy dzwonił z Hawajów? Czy w centrali powiedzieli ci, skąd był telefon?

Osterman wpatrywał się w żonę w przyćmionym świetle sypialni.

-Tak. Wyraźnie to słyszałem. Telefon był z zagranicy. Z Lizbony. Z Lizbony w Portugalii.

-Nie znamy nikogo w Portugalii!

-Lizbona, Lizbona, Lizbona - powtarzał cicho pod nosem Osterman. - Lizbona. Neutralność. Lizbona była neutralna.

-Co masz na myśli?

-Pierwszy Tan...

-Tan... tan. Tanner. Czy to może chodzić o Johna Tannera? John Tanner!

-Neutralny!

-To John Tanner - powiedziała cicho Leila.

-Johnny? Co to znaczy "uważać"? Dlaczego mielibyśmy na niego uważać? Dlaczego zadzwonili o wpół do czwartej rano?

Leila usiadła i sięgnęła po papierosa.

-Johnny ma wrogów. Wciąż ciągnie się za nim ta afera z San Diego.

-San Diego, jasne! Ale dlaczego z Lizbony?

-W "Daily Variety" napisali w zeszłym tygodniu, że wybieramy się do Nowego Jorku - ciągnęła dalej Leila, zaciągając się głęboko Papierosem. - I że zatrzymamy się prawdopodobnie u naszych byłych sąsiadów, Tannerów.

-I co z tego?

-Może za bardzo dbamy o reklamę - powiedziała, spoglądając na męża.

-Powiniennem chyba zadzwonić do Johnny'ego - stwierdził Osterman, wyciągając dłoń w stronę telefonu.

Leila złapała go za nadgarstek.

-Zwariowałaś? - zapytała i Bernie cofnął rękę.

Joe otworzył oczy i spojrzął na zegarek. Dwadzieścia dwie minuty po szóstej. Czas wstawać. Poćwicz trochę w siłowni, a potem przespaceruje się może do klubu, żeby przez godzinę pograć w golfa.

Był rannym ptaszkiem. Betty wprost przeciwnie. Mogła wylegiwać się w łóżku do południa, jeśli tylko miała okazję. Mieli dwa podwójne łóżka, po jednym dla każdego małżonka, Joe znał bowiem ogłupiające efekty przebywania pod jedną kołdrą dwóch osób o zupełnie różnych temperaturach ciała. Wszelkie wynikające ze snu korzyści zmniejszyły się prawie o pięćdziesiąt procent, kiedy musiał przez całą noc dzielić z kimś posłanie. A ponieważ małżeńskie łóżko służyło wyłącznie po to, by się kochać, nie było sensu pozbawiać się dobrodziejstw snu.

Właściwym rozwiązaniem były dwa podwójne łóżka.

Dziesięć minut spędził na siodełku stacjonarnego roweru, a pięć podnosząc siedmioipółfuntowe hantle. Rzucił okiem na szybę, za którą kłębiła się gęsta para. Łaźnia była gotowa.

Nad wiszącym na ścianie siłowni zegarem zapaliło się światelko. Ktoś dzwonił do drzwi. Joe zainstalował tę sygnalizację na wypadek gdyby był w domu sam i ćwiczył akurat w siłowni.

Na zegarze była za dziewięć siódma - za wcześnie na odwiedzinę kogoś z Saddle Valley. Cardone położył hantle na podłodze i podszedł do domofonu.

-Tak? Kto tam?

-Telegram, panie Cardone.

-Do kogo?

-Mam napisane, że do pana Cardone.

-Nazywam się Cardone.

-Czy to jest Apple Place 11?

- Zaraz panu otwieram.

Wyłączył domofon, złapał z wieszaka ręcznik i owinął się nim,

wychodząc szybko z siłowni. To, co przed chwilą usłyszał, nie wprawiło go w dobry humor. Otworzył frontowe drzwi i zobaczył stojącego w progu małego, żującego gumę człowieczka w uniformie.

-Dlaczego nie zatelefonowaliście? Jest chyba trochę wcześniej, nie sądzi pan?

-Miałem polecenie doręczyć panu osobiście. Musiałem przejechać tutaj kawał drogi, panie Cardone. Prawie piętnaście mil. Świadczymy usługi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Cardone podpisał poświadczenie odbioru.

- Dlaczego aż piętnaście mil? Western Union ma swój urząd w Ridge Park.

-My nie jesteśmy z Western Union. To jest telegram z Europy. Cardone wziął kopertę z ręki człowieczka w uniformie.

-Niech pan chwilę poczeka.

Nie chcąc zdradzać ogarniającego go niepokoju, ruszył wolnym krokiem do salonu, gdzie, jak pamiętał, leżała na fortepianie torebka Betty. Wyjął z niej dwa jednodolarowe banknoty i wrócił do drzwi.

- Proszę bardzo. Przykro mi, że się pan fatygował.

Zamknął drzwi i rozdarł kopertę.

LTJOMO BRUNO PALIDO NON E AMICO DEL ITALIANO. GUARDA BENE VICINI DI QUESTA MANIERA. PROTECIATE PER LA FINA DELLA SETTIMANA.

DA VINCI

Cardone przeszedł do kuchni, znalazł ołówek na półce przy telefonie i usiadł przy stole. Nagryzmołił przekład na ostatniej stronie jakiegoś czasopisma.

Jasnobrazowy mężczyzna nie jest przyjacielem Włocha. Strzeż się takich sąsiadów. Uważaj na siebie pod koniec tygodnia.

Da Vinci

Co to miało znaczyć? Kim mógł być "jasnobrazowy sąsiad"? W Saddle Valley nie mieszkali Murzyni. Telegram nie miał sensu. Nagle Joe Cardone zastygł w bezruchu. "Jasnobrazowy sąsiad" to

mógł być tylko John Tanner*. Pod koniec tygodnia, dokładnie w piątek, przylatują Ostermanowie. Ktoś w Europie kazał mu strzec się Tannera i uważać na siebie podczas weekendu, który mieli spędzić razem z Ostermanami.

Złapał do ręki telegram i spojrzał na miejsce nadania.

Zurych.

Jezu Chryste! Zurych!

Ktoś w Zurychu ostrzegał go - ktoś, kto przybrał nazwisko Da Vinci, ktoś, kto znał prawdziwe nazwisko Cardone'a, znał Tannera i wiedział o istnieniu Ostermanów!

Joe Cardone wyjrzał przez okno na tylne podwórko. Da Vinci, Da Vinci!

Leonardo.

Artysta, żołnierz, twórca wojennych machin - człowiek wszechstronnie uzdolniony.

Mafia!

OChryste! Która to może być rodzina? Costellano? Batella? A może Latrona?

Która z rodzin obróciła się przeciwko niemu? I dlaczego? Przecież jest ich przyjacielem!

Drżącymi rękoma rozłożył telegram na kuchennym stole. Przeczytał go ponownie. Każde zdanie nabierało coraz bardziej złowrogięgo znaczenia.

Tanner!

John Tanner coś odkrył. Ale co?

I dlaczego wiadomość nadeszła z Zurychu?

Co miały wspólnego mafijne rodziny z Zurychem?

A może to Ostermanowie?

Co mógł odkryć Tanner? Co ma zamiar zrobić? Ktoś z rodziny Batella nazwał kiedyś tak dziwnie Tannera; jak on powiedział?

"Volutrno!"

Sęp.

"...nie jest przyjacielem Włocha... uważaj... strzeż się..."

W jaki sposób? I przed czym? Tanner niczego mu nie zdradzi. Dlaczego miałby to zrobić?

* Ang. tan oznacza opaleniznę (przyp. tłum.).

On, Joe Cardone, nie należy do syndykatu, nie jest członkiem rodziny. Co może o nim wiedzieć Tanner?

Ale wiadomość od Da Vinciego przyszła ze Szwajcarii.

To pozostawiało tylko jedną możliwość, tę najbardziej przerażającą. Cosa Nostra dowiedziała się o Zurychu!

Posłużą się tym przeciwko niemu, jeżeli nie uda mu się wpłynąć odpowiednio na Tannera. Tannera, który jest wrogiem Włochów. Jeżeli nie powstrzyma Tannera przed tym, co ten ma zamiar zrobić, zostanie unicestwiony.

Zurych! Ostermanowie!

Zrobił to, co uważał za słuszne! To, co musiał zrobić, żeby przetrwać. Osterman wykazał to w sposób, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Ale teraz cała sprawa znajdowała się w cudzych rękach. Nie jego. Nie można było ugodzić go głębiej.

Joe Cardone wyszedł z kuchni i wrócił do swojej miniaturowej sali gimnastycznej. Nie zakładając bokserskich rękawic, zaczął okładać pięściami gruszkę. Coraz szybciej i coraz mocniej.

W uszach brzęczało mu tylko jedno słowo.

"Zurych! Zurych! Zurych!"

Virginia Tremayne usłyszała, jak mąż wstaje z łóżka piętnaście po szóstej i od razu wyczuła, że stało się coś złego. Dick rzadko zrywał się tak wcześnie.

Odczekała kilka minut. Ponieważ nie wracał, wstała, założyła szlafrok i zeszła na dół. Znalazła go w salonie. Stał przy oknie, paląc papierosa i przyglądając się trzymanej w ręku kartce papieru.

-Co tutaj robisz?

-Spójrz na to - odparł cicho.

-Na co? - zapytała wyjmując mu kartkę z dłoni.

Traktuj z wyjątkową ostrożnością twojego przyjaciela dziennikarza. Dla kariery potrafi poświęcić nawet przyjaźń. Nie jest tym, za kogo uchodzi. Może będziemy musieli donieść o jego gościach z Kalifornii.

Blackstone

-Co to jest? Skąd to masz?

-Dwadzieścia minut temu usłyszałem za oknem jakieś hałasy. Dość głośne, żeby mnie obudzić. Potem warkot samochodu. Jeździł w tę i z powrotem... Wydawało mi się, że ty też go słyszałaś... Naciągnęłaś kołdrę na głowę.

-Możliwe. Nie zwróciłam uwagi.

-Zszedłem na dół i otworzyłem drzwi. Na wycieracze leżała koperta.

-Co to znaczy?

-Nie jestem jeszcze pewien.

-Kto to jest Blackstone?

-Autor komentarzy, które stanowią podstawę istniejącego systemu prawnego... - Richard Tremayne opadł na fotel i dotknął palcami czoła. Drugą ręką toczył delikatnie papierosa po skraju popielniczki. - Proszę cię... Daj mi pomyśleć.

Virginia Tremayne ponownie spojrzała na kartkę z tajemniczą wiadomością.

-Przyjaciół dziennikarz. Czy to może być...?

-Tanner trafił pewnie na coś i ten, kto to podrzucił, narobił w portki. A teraz chcą, żebym ja także wpadł w panikę.

-Dlaczego?

-Nie wiem. Może myślą, że jestem w stanie im pomóc. A jeśli nie, chcą mnie po prostu przestraszyć. Nas wszystkich.

-Ostermanów.

-Dokładnie. Usiłują nas przestraszyć Zurychem.

-O, mój Boże! Oni wiedzą! Ktoś to odkrył!

-Na to wygląda.

-Myślisz, że Bernie dał się nastraszyć? Zaczął sypać?

Tremayne nerwowo zamrugał.

-Chyba straciłby rozum. Nie zostawiono by na nim suchej nitki po obu stronach Atlantyku... Nie, to nie może być to.

-Więc w takim razie co?

-Ten, kto to napisał, albo pracował ze mną kiedyś, albo odmówił współpracy. Całkiem prawdopodobne, że ma coś wspólnego z którąś z bieżących spraw. Sprawą, którą mam akurat na tapecie. A Tanner dostał skądś cynk i zaczyna niuchać. Chcą, żebym go powstrzymał. Jeśli tego nie zrobię, wykończą mnie. Zanim zdążę wykonać jakiś ruch... Zanim Zurych przyjdzie nam z pomocą.

-Nie mogą ci nic zrobić! - oświadczyła żona Tremayne'a nienaturalnie wysokim głosem.

-Daj spokój, kochanie. Nie oszukujmy się wzajemnie. Dobrze wychowani ludzie nazywają mnie ekspertem od spraw fuzji. Ale na sali konferencyjnej określa się mnie mianem pirata. Parafrazując sędziego Handa, na rynku fuzji funkcjonują fałszywe oferty kupna. Fałszywe. To oznacza fałszerstwo. Kupowanie za darmo. Tworzenie fikcji.

-Wpadłeś w kłopoty?
-Niezbyt wielkie... zawsze mogę powiedzieć, że udzielono mi mylnych informacji. Mam chody w sądzie.
-Szanują cię. Dajesz z siebie więcej niż jakikolwiek nasz znajomy. Jesteś najlepszym adwokatem pod słońcem!
-Chciałbym w to wierzyć.
-Jesteś nim!
-Czy to nie zabawne? - zapytał Richard Tremayne, spoglądając przez duże panoramiczne okno na trawnik rosnący przed ich kupionym za siedemdziesiąt cztery tysiące domem. - Masz prawdopodobnie rację. Jestem jednym z najlepszych funkcjonariuszy systemu, którym pogardzam... Systemu, który Tanner zmieszałby z błotem w jednym z tych swoich programów, gdyby tylko wiedział, jaka jest jego prawdziwa siła napędowa. Przed tym właśnie ostrzega ta wiadomość.
-Uważam, że się mylisz. Napisał to ktoś, kogo pokonałeś i kto chce się teraz zemścić. Chce cię nastraszyć.
-W takim razie znakomicie mu się to udało... Blackstone nie mówi mi niczego, o czym bym wcześniej nie wiedział. To, kim jestem i co robię, czyni ze mnie naturalnego przeciwnika Tannera. W jego przynajmniej przekonaniu... Gdyby znał prawdę, uznałby mnie za swego wroga.
Spojrzał, uśmiechając się z przymusem, na Virginie.
- W Zurychu znają prawdę - powiedział.

6

Wtorek, godzina 9.30 czasu kalifornijskiego

Osterman włóczył się bez celu po terenach studia, próbując zapomnieć o nocnym telefonie. Nie potrafił myśleć o niczym innym.

Ani on, ani Leila nie zasnęli już tej nocy. Usiłowali zawęzić krąg możliwości, a potem odpowiedzieć na znacznie ważniejsze pytanie: dlaczego?

Dlaczego otrzymał ten telefon? Kto za nim stał? Czy Tanner trafił na trop nowej sensacji?

Jeśli tak, nie mogło to mieć z nim nic wspólnego. Nic wspólnego z Bernie Ostermanem.

W rozmowach z Bernie Tanner nigdy nie opowiadał o szczegółach swojej pracy. Mówił zawsze o sprawach ogólnych. Wszelka nieuczciwość łatwo wyprowadzała go z równowagi, a ponieważ obaj panowie znacznie różnili się w kwestii, co stanowi ucziwą grę na rynku, rzadko wdawali się w detale.

Bernie uważał Tannera za krzyżowca, który nigdy nie musiał zmierzać do Ziemi Świętej na piechotę. Jego ojcu nigdy nie zdarzyło się wrócić do domu i oznajmić, że od jutra nie ma już pracy. Jego matka nigdy nie łątała mu przez pół nocy ubrania, żeby miał w czym nazajutrz pójść do szkoły. Tanner mógł sobie pozwolić na swoje święte oburzenie i odwalał kawał dobrej roboty. Ale były rzeczy, których nigdy nie potrafił zrozumieć. Dlatego właśnie Bernie nigdy nie dyskutował z nim na temat Zurychu.

- Hej, Bernie! Zaczekaj chwilę!

Zrównał się z nim Ed Pomfret, pulchny, niezbyt zdolny producent w średnim wieku.

-Cześć, Eddie. Jak się masz?

-Świetnie. Próbowałem się z tobą skontaktować w biurze. Sekretarka powiedziała, że wyszedłeś.

-Nie ma nic do roboty.

-Dostałem cynk, domyślałem się, że ty też już wiesz. Bardzo się cieszę, że będę z tobą pracował.

-Tak...? Nie, o niczym nie wiem. Nad czym to mamy wspólnie pracować?

-A to co? Stroisz sobie ze mnie żarty? - Pomfret był lekko zbity z tropu - tak jakby zdawał sobie sprawę, że Osterman nie ma o nim najlepszego zdania.

-Nie żartuję. W tym tygodniu kończę tutaj robotę. O czym mówisz? Kto ci dał cynk?

-Zadzwoił do mnie dzisiaj rano ten nowy facet z Continuity. Chcą mi powierzyć produkcję połowy serialu "Łowca". Powiedział, że robisz cztery odcinki. Spodobał mi się pomysł.

-Jaki pomysł?

- Scenariusz. Trzej faceci zawierają w Szwajcarii ciche tajne

porozumienie. Z miejsca mnie to zafascynowało.

Osterman stanął w miejscu i spojrzał z góry na Pomfreta.

-Kto cię do tego namówił?

-Namówił mnie do czego?

-Nie ma żadnych czterech odcinków. Żadnego scenariusza. Żadnego porozumienia. A teraz powiedz mi, co to wszystko ma znaczyć?

-Chyba żartujesz. Nie pozwoliłbym sobie na żadne kpiny wobec kogoś takiego, jak ty i Leila. Byłem wiebowzięty. Continuity kazało mi do ciebie zatelefonować i zapytać o szczegóły scenariusza.

-Z kim rozmawiałeś?

-Jak on się nazywa? Ten nowy dyrektor przeniesiony z Nowego Jorku.

-Kto?

-Przedstawił mi się... Tanner. Tak, zgadza się. Tanner. Jim Tanner, John Tanner...

- John Tanner wcale tutaj nie pracuje! Gadaj, kto kazał ci naopowiadać mi tych bzdur! - wrzasnął Osterman, łapiąc Pomfreta za ramię. - Gadaj, ty sukinsynu!

-Ręce przy sobie! Chyba zwariowałaś!

Osterman zorientował się, że popełnił błąd: Pomfret był tylko posłańcem. Puścił ramię producenta.

-Przykro mi, Eddie, przepraszam. Coś mi się przywidziało. Proszę, wybac. Zachowałem się jak cham.

-Jasne, jasne. Jesteś za bardzo spięty, to wszystko. Za bardzo jesteś spięty, stary.

-Więc powiadasz, że ten facet... Tanner... zadzwonił do ciebie dziś rano?

-Jakieś dwie godziny temu. Prawdę mówiąc, wcale go nie znam.

-Posłuchaj. Ktoś zrobił mi po prostu brzydki kawał. Rozumiesz, co mam na myśli. Wcale nie robię tego serialu, wierz mi... Po prostu zapomnij o tym, dobrze?

-Brzydki kawał?

-Uwierz mi na słowo... Wiesz, co ci powiem: zwrócili się do mnie i do Leili o nowy scenariusz. Będę nalegał, żebyś to ty zajął się stroną finansową. Co ty na to?

-Dzięki, stary!

-Ale na razie nikomu o tym ani słowa. I nie wspominaj ludziom o tym głupim kawale, dobrze?

Osterman nie czekał, żeby wysłuchać podziękowań Pomfreta. Ruszył szybko w stronę ulicy, do samochodu. Musiał wracać do domu, do Leili.

Za kierownicą jego samochodu siedział wielki facet w uniformie szofera! Kiedy Bernie się zbliżył, wysiadł i otworzył przed nim tylne drzwiczki.

-Pan Osterman?

-Kim pan jest? I co pan robi w moim...?

-Mam dla pana wiadomość.

-Nie interesuje mnie żadna wiadomość! Chcę wiedzieć, dlaczego siedzi pan w moim samochodzie?

-Niech pan bardzo uważa na swojego przyjaciela, Johna Tannera. Niech pan uważa na to, co pan w jego obecności mówi.

-O czym, na miłość boską, pan opowiada?

Szofer wzruszył ramionami.

Po prostu przekazuję panu wiadomość, panie Osterman. Czy mam pana teraz odwieźć do domu?

Jasne, że nie! Nie znam pana! Nie rozumiem...

Szofer zatrzasnął delikatnie tylne drzwiczki.

- Jak pan sobie życzy, sir. Chciałem się po prostu na coś przy-dać - Zasalutował zgrabnie i odwrócił się. Bernie stał jak skamieniały, patrząc za odchodzącym.

7

Wtorek, godzina 10.00

Czy mamy jakieś kłopoty z którymś z naszych śródziemnomorskich klientów? - zapytał Joe Cardone.

Jego partner, Sam Bennett, odwrócił się na krześle, żeby sprawdzić, czy zamknięte są drzwi. Mianem "śródziemnomorskich" obaj partnerzy określali między sobą tych inwestorów, którzy choć bardzo hojni, mogli okazać się niebezpieczni.

-Nic, o czym bym wiedział - odparł. - Dlaczego pytasz? Coś ci się obito o uszy?

-Nic konkretnego... Może nic w ogóle.

-Ale to dlatego wcześniej wróciłeś, prawda?

-No, niezupełnie. - Cardone rozumiał, że nie może się odsłonić nawet przed Bennettem. Jego wspólnik nie był związany z Zurychem. I dlatego Joe przez chwilę się zawahał. - Właściwie to tak. Spędziłem trochę czasu na montrealskiej giełdzie.

-Czego się dowiedziałeś?

-Z biura prokuratora generalnego wyszła ponoć nowa dyrektywa. Komisja Papierów Wartościowych ma im przekazywać wszystkie swoje dane. Będą obserwować każde konto powyżej stu tysięcy, którego właściciel ma jakieś kontakty z mafią.

-To nic nowego. I gdzie się tego dowiedziałeś?

-W Montrealu. Tam właśnie byłem. Nie podoba mi się, kiedy dowiaduję się takich rzeczy osiemset mil od biura. Wolałem nie podnosić słuchawki telefonu, żeby zapytać mojego partnera, czy przeciwko któremuś z naszych klientów nie toczy się przypadkiem

postępowanie wstępne... chodzi mi o to, że w dzisiejszych czasach trudno o takich rzeczach mówić przez telefon.

-Dobry Boże! - Bennett roześmiał się. - Widzę, że puściłeś wodze wyobraźni.

-Mam nadzieję, że to tylko wyobraźnia.

-Wiesz cholernie dobrze, że gdyby wydarzyło się coś w tym rodzaju, pierwszy bym się z tobą skontaktował. Nawet gdyby się tylko na coś takiego zanosilo. Nie powiesz chyba, że skróciłeś sobie wakacje z takiego powodu. O co chodzi, Joe?

Cardone usiadł przy biurku, unikając oczu partnera.

- W porządku. Nie będę cię oszukiwał. Sprowadziło mnie coś innego... Nie sądzę, żeby miało to z nami coś wspólnego. Z tobą ani z firmą. Jeśli stwierdzę, że jest inaczej, sam się do ciebie zwrócę, dobrze? Bennett wstał z krzesła, przyjmując do wiadomości zagadkowe wyjaśnienie współnika. Przez wszystkie te lata nauczył się nie wypytywać go o szczegóły. Mimo swojej powierzchownej wylewności, Cardone był człowiekiem skrytym. Wniósł do firmy pokaźny kapitał i nigdy nie żądał więcej od przyzwoitego udziału w zyskach. Bennettowi to odpowiadało.

- Kiedy przestaną cię ścigać upiory południowej Filadelfii? - zapytał z uśmiechem, podchodząc do drzwi.

Cardone odwzajemnił uśmiech współnika.

- Kiedy w klubie bankiera przestaną podawać gorącą lasagnę - odpowiedział.

Bennett zamknął za sobą drzwi, a Joe powrócił do stosu narosłej w ciągu dziesięciu dni korespondencji. Nie było w niej nic konkretnego. Nic, co mogłoby się odnosić do problemu śródziemnomorskiego. Nic, co wskazywałoby bodaj na możliwość konfliktu z mafią. A jednak coś musiało się zdarzyć; coś, co wiązało się z Tannerem.

Podniósł słuchawkę i nacisnął przycisk łączący go z sekretarką.

-Czy jest coś jeszcze? - zapytał. - Jakies telefony?

-Nic takiego, żeby musiał pan wracać. Mówiłam wszystkim, że nie będzie pana przed końcem tygodnia. Niektórzy odpowiadali, że zadzwonią w piątek, inni w poniedziałek.

-Nie zmieniaj tego. Gdyby ktoś dzwonił, będę dopiero w poniedziałek.

Odłożył słuchawkę i otworzył kluczem drugą szufladę biurka. Miał

tam swoje prywatne archiwum, miejsce, w którym gromadził dane na temat klientów śródziemnomorskich. Postawił przed sobą małe metalowe pudełko i zaczął przeglądać fiszki. Być może jakieś nazwisko albo zapomniany fakt poruszy kłapkę w pamięci. Wszystko mogło mieć jakieś znaczenie.

Zadzwonił prywatny telefon. Tylko Betty dzwoniła pod ten numer; nikt inny go nie znał. Joe kochał żonę, ale miała ona wyjątkową zdolność denerwowania go trywialnymi sprawami akurat wtedy, kiedy nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano.

-Tak, kochanie? Cisza.

-O co chodzi, skarbie? Mam masę spraw na głowie. Żona nadal się nie odzywała.

Cardone poczuł ciarki na plecach. Nikt oprócz Betty nie znał tego numeru.

- Betty? Odpowiedz!

W słuchawce odezwał się wreszcie głos: powolny, głęboki i precyzyjny.

- John Tanner poleciał wczoraj do Waszyngtonu. Pan Da Vinci jest bardzo zatroskany. Być może zdradzili cię twoi przyjaciele w Kalifornii. Byli w kontakcie z Tannerem.

Joe Cardone usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Jezu! Jezu Przenajświętszy! A więc to Ostermanowie. Zaczęli sypać!

Ale dlaczego? To nie miało sensu! Co mogło choćby w najodleglejszy sposób łączyć Zurych i mafię? Te dwie sprawy dzieliły miliony lat świetlnych.

A może jednak? Może jedni posługiwali się drugimi? Cardone próbował się uspokoić, ale na próżno. Zorientował się, że rozgniała w palcach małe metalowe pudełko. Co mógł zrobić? Z kim mógł porozmawiać? Z samym Tannerem? Na Boga, oczywiście, że nie. Z Ostermanami? Z Bernieem Ostermanem? Chryste, nie! Nie teraz. Z Tremayne'em. Z Dickiem Tremayne'em.

8

Wtorek, godzina 10.10

Zbyt wstrząśnięty, żeby podróżować podmiejskim pociągiem, Tremayne postanowił, że pojedzie do Nowego Jorku własnym samochodem.

Jadąc autostradą numer pięć na wschód, w stronę mostu George'a Washingtona, zauważył w tylnym lusterku jasnoniebieskiego cadillaca. Kiedy zjechał na lewy pas, wyprzedzając kilka samochodów, cadillac zrobił to samo. Kiedy skręcił z powrotem na prawo, cadillac zwolnił także - zawsze kilka samochodów za nim.

Przed mostem zjechał, żeby zapłacić za autostradę, i zobaczył, że cadillac zatrzymał się przy sąsiedniej budce, na szybszym paśmie. Próbował zobaczyć, kim jest kierowca.

To była kobieta. Odwróciła się do niego tyłem; widział tylko jej włosy. Ale mimo to jej postać wydawała mu się mgliście znajoma.

Samochód odjechał, zanim Tremayne zdążył zareagować. Gęsty ruch uniemożliwił pogoń. Był pewien, że cadillac go śledził i że kierująca nim kobieta nie chciała zostać rozpoznana.

Dlaczego? Kim była?

Czy to ona ukrywała się pod nazwiskiem Blackstone?

W biurze nie był w stanie do niczego się zabrać. Odwołał kilka umówionych wcześniej spotkań i przejrzał zamiast tego dokumenty kilku fuzji, które udało mu się ostatnio przepchnąć przez wymiar sprawiedliwości. Zainteresowała go szczególnie jedna teczka: Zakłady Wełniane Camerona. Trzy fabryczki w małym mieście w stanie Massachusetts, należące od kilku pokoleń do rodziny Cameronów. Najstarszy syn sprzedał pod wpływem szantażu swój udział odzieżowemu gigantowi z Nowego Jorku, który twierdził, że chce przejąć znak firmowy Camerona.

Zdobyli znak firmowy i zamknęli fabryki; miasteczko zbankrutowało. Tremayne reprezentował nowojorską firmę odzieżową w bostońskim sądzie. Cameronowie mieli córkę. Niezameżną kobietę koło trzydziestki. Inteligentną i gotową na wszystko.

Za kierownicą cadillaca siedziała kobieta. Mniej więcej w tym samym wieku.

Ale wybierając tę jedną, odsuwał wiele innych nie mniej prawdopodobnych możliwości. Firmy dążące do fuzji wiedziały, do kogo się zwrócić, kiedy wyłaniały się kłopoty prawne. Do Tremayne'a! Był prawdziwym ekspertem. Czterdziestoczteroletni magik omijający zgrabnie stare prawnicze zasady i wrzęgający aparat sprawiedliwości w służbę wielkich korporacji.

Czy to nie córka Camerona siedziała w tym jasnyniebieskim cadillacu?

Skąd mógł wiedzieć? Tyle było spraw. Cameronowie. Smythowie z Atlanty. Fergusonowie z Rochester. Rozrastające się korporacje polowały na stare bogate rodziny. Stare bogate rodziny lubiły sobie dogadzać, stanowiły łatwy cel. Która z nich mogła się ukrywać pod nazwiskiem Blackstone?

Tremayne wstał z krzesła i zaczął chodzić w kółko po gabinecie. Nie mógł dłużej przebywać w zamknięciu; musiał wyjść na dwór.

Zastanawiał się, co powiedziałby Tanner, gdyby do niego zadzwonił i zaproponował wspólny lunch. Jak by zareagował? Czy przyjąłby jak gdyby nigdy nic zaproszenie, czy wprost przeciwnie - próbowałby go jakoś zbyć. Czy udało by się wydobyć od Tannera jakieś informacje na temat Blackstone'a?

Tremayne podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Powieka drgała mu aż do bólu.

Tanner nie mógł podejść do telefonu; był na odprawie. Tremayne odetchnął z ulgą; to był głupi pomysł. Nie zostawiając żadnej wiadomości wyszedł z biura.

Na Fifth Avenue zatrzymała się tuż przy nim, nie dając mu przejść przez skrzyżowanie, żółta taksówka.

- Hej, proszę pana! - zawołał kierowca, wystawiając głowę przez szybę.

Tremayne zastanawiał się, do kogo skierowane jest to wezwanie - podobne wątpliwości mieli też inni piesi. Wszyscy przyglądali się sobie wzajemnie.

-Hej, proszę pana! Nazywa się pan Tremayne?

-Ja? Tak...

-Mam dla pana wiadomość.

-Dla mnie? Skąd pan...

-Muszę się spieszyć, zaraz się zmienią światła, a dostałem za to dwadzieścia dolców. Mam panu powiedzieć, żeby skręcił pan na wschód w Fifty-fourth Street. Skontaktuje się tam z panem pan Blackstone.

Tremayne złapał kierowcę za ramię.

-Kto ci powiedział? Kto ci dał...

-Ja nic nie wiem. Jakiś dziwak siedział w mojej gablocie już od wpół do dziesiątej. Palił wąskie cygara i miał lornetkę.

Zaczął mrugać zielone światło dla pieszych.

-Co powiedział...? - Tremayne sięgnął do kieszeni i wyjął kilka banknotów. Szybko dał taksówkarzowi dziesięć dolarów. - Proszę, to dla pana. Niech pan mi wszystko opowie!

-Nie mam nic więcej do powiedzenia, proszę pana. Facet wysiadł przed kilkunastoma sekundami, dał mi dwadzieścia dolców i kazał powiedzieć, żeby skręcił pan na wschód w Fifty-fourth Street. To wszystko.

-To nie wszystko! - wrzasnął Tremayne, łapiąc kierowcę za koszulę.

-Dziękuję za dziesiątaka.

Kierowca odepchnął na bok rękę Tremayne'a, po czym zatrąbił, przeganiając z przejścia pieszych i odjechał.

Tremayne starał się nie wpaść w panikę. Cofnął się na krawężnik i stanął pod markizą sklepu, wypatrując wśród idących na północ kogoś palącego wąskie cygara albo mającego zawieszoną na szyi lornetkę. Nie dostrzegłszy nikogo, ruszył, przemykając od jednej wystawy

do drugiej, w kierunku Fifty-fourth Street. Szedł bardzo wolno, przyglądając się badawczo mijającym go ludziom. Kilka osób zderzyło się z nim, idąc znacznie szybciej w tę samą stronę. Kilka innych, podążających na południe, zauważyło dziwne zachowanie blondyna w elegancko skrojonym garniturze i skwitowało to uśmiechem.

Na rogu Fifty-fourth Street Tremayne zatrzymał się. Mimo że był lekko ubrany i wiała słaba bryza, spocił się jak mysz. Wiedział, że musi skręcić na wschód. Nie miał innego wyjścia.

Jedno przynajmniej było jasne. Kobieta, która siedziała za kierownicą jasnoniebieskiego cadillaca, nie była Blackstone'em. Blackstone palił wąskie cygara i miał lornetkę.

Kim w takim razie była kobieta? Już ją kiedyś widział. Znał ją! Ruszył na wschód Fifty-fourth Street, trzymając się prawej strony chodnika. Doszedł do Madison Avenue, ale nikt go nie zatrzymał, nikt nie dał żadnego znaku, nikt nawet na niego nie spojrzał. Przeciął Central Park, mijając położoną pośrodku wyspę. Nikogo.

Lexington Avenue. Obok wielkiej budowy. Nikogo. Third Avenue. Second. First. Nikogo.

Tremayne minął ostatnią przecnicę. Przed sobą miał ślepą uliczkę, kończącą się przy East River i ocienioną po obu stronach markizami, które zamontowano nad wejściami do stojących tutaj kamienic. Wychodzili z nich i wchodzili do środka różni ludzie: mężczyźni z teczkami i kobiety z plastikowymi torbami na zakupy. Przy końcu uliczki zaparkował w poprzek, tak jakby zatrzymał się w połowie zakrętu, jasnobrązowy mercedes. A obok niego stał mężczyzna w eleganckim białym garniturze i w panamie na głowie. Był znacznie niższy od Tremayne'a i bardzo opalony, co adwokat dostrzegł już z odległości trzydziestu jardów. Miał na nosie wielkie okulary przeciwsłoneczne w grubych oprawkach i wpatrywał się wprost w nadchodzącego Tremayne'a.

-Pan... Blackstone?

-Pan Tremayne. Przepraszam, że musiał pan przejść taki kawał. Musieliśmy się upewnić, że nikt panu nie towarzyszy. Chyba pan rozumie.

-Dlaczego miałyby to robić? - Tremayne starał się zlokalizować

akcent rozmówcy. Wyrażał się jak człowiek wykształcony, ale nie pochodził z północno-wschodnich stanów.

- Człowiek, który wpada w kłopoty, często popełnia błąd i szuka towarzystwa.

,- W jakie, według pana, wpadłem kłopoty?

- Dostał pan moją wiadomość?

.- Oczywiście. Co oznaczała?

-Dokładnie to, co było w niej napisane. Pański przyjaciel Tanner stanowi dla pana wielkie zagrożenie. Dla nas również. Chcemy po prostu podkreślić wagę tej sprawy, tak jak to zwykli czynić wobec siebie szanujący się ludzie biznesu.

-Z jakim konkretnie biznesem jest pan związany, panie Blackstone? Zakładam, że Blackstone nie jest pańskim prawdziwym nazwiskiem, i trudno mi w związku z tym ustalić pańskie powiązania.

Człowiek w białym garniturze i kapeluszu zbliżył się do mercedesa.

-Powiedzieliśmy już panu. Chodzi o pańskich przyjaciół z Kalifornii.

-O Ostermanów?

-Tak.

-Moja firma nie ma żadnych powiązań z Ostermanami. I nigdy nie miała.

-Ale pan osobiście ma, prawda?

Blackstone obszedł z przodu samochód i stanął przy drzwiczkach kierowcy.

-Nie mówi pan chyba serio!

-Niech pan mi wierzy, że nie pozwoliłbym sobie na żarty w tej sprawie.

Mężczyzna dotknął ręką klamki, ale nie otwierał samochodu. Czekał.

-Chwileczkę! Kim pan jest?

-Dla pana wystarczy Blackstone.

-Nie! To, co pan powiedział... Nie może pan wiedzieć...

-Ale wiem. Tu leży sedno sprawy. A ponieważ wie pan teraz, że my wiemy, powinno to panu dać pewne pojęcie o tym, jakie mamy wpływy.

Do czego pan zmierza? - Tremayne oparł ręce o maskę mercedesa, pochylając się w stronę Blackstone'a.

-Obawialiśmy się, że być może współpracuje pan z Tannerem. Dlatego właśnie chcieliśmy się z panem zobaczyć. Byłoby to bardzo nieroztropne. Nie zawahalibyśmy się wtedy ujawnić pańskich powiązań z Ostermanami.

-Zwariował pan? Dlaczego miałbym współpracować z Tannerem? W jakiej sprawie? Nie wiem, o czym pan mówi.

Blackstone zdjął z nosa ciemne okulary. Miał niebieskie badawcze oczy i Tremayne zobaczył zmarszczki na jego nosie i kościach policzkowych.

-Jeśli mówi pan prawdę, to nie ma powodów do obaw.

-Oczywiście, że to prawda! Nie ma żadnego powodu, dla którego miałbym współpracować z Tannerem!

-To logiczne. - Blackstone otworzył drzwi mercedesa. - Niech pan się tego trzyma.

-Na litość boską, nie może pan teraz odjechać! Widuję Tannera codziennie. W klubie. W pociągu. Co mam o tym, do diabła, myśleć, co mam mu powiedzieć?

-Chodzi panu o to, czego ma pan się strzec? Na pana miejscu zachowywałbym się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Tak, jakbyśmy się w ogóle nie spotkali. On może robić jakieś aluzje, może próbować sprawdzić, czy mówi pan prawdę. Wtedy będzie pan wiedział.

Tremayne wyprostował się, usiłując zachować spokój.

-Ze względu na dobro wszystkich zainteresowanych uważam, że powinien mi pan powiedzieć, kogo reprezentuje. Tak będzie najlepiej, naprawdę.

-O nie, panie mecenasie. - Blackstone parsknął krótkim śmiechem. - Widzi pan, zauważyliśmy, że w ciągu kilku ostatnich lat wpadł pan w brzydki nałóg. Na razie to nic poważnego, ale trzeba to wziąć pod uwagę.

-Jaki znów nałóg?

-Co pewien czas zalewa się pan w trupa.

-To śmieszne!

-Powiedziałem, że to nic poważnego. Odwalił pan kawał wspaniałej roboty. Ale upijając się traci pan nad sobą kontrolę. Nie. powierzenie panu takiej informacji byłoby poważnym błędem. Zwłaszcza teraz, kiedy jest pan taki rozgorączkowany.

-Niech pan nie odjeżdża... Proszę!

Będziemy w kontakcie. Być może dowie się pan czegoś, co nam pomoże. Tak czy owak, z wielkim zainteresowaniem będziemy obser-wować pańską dalszą działalność... adwokacką.

Tremayne'owi zadrżała powieka.

-A co z Ostermanem? Musi mi pan powiedzieć.

-Jeżeli ma pan choć trochę oleju w głowie, nie zdradzi się pan ani jednym słowem przed Ostermanami. Najmniejszej aluzji, niczego! Jeśli Osterman współpracuje z Tannerem, i tak się pan zorientuje. Jeśli nie, niech pan nie pozwoli, żeby domyślił się czegokolwiek na pana temat. - Blackstone usiadł za kierownicą mercedesa i uruchomił silnik. - Niech pan nie upada na ducha, panie Tremayne. Będziemy w kontakcie - powiedział i odjechał.

Tremayne próbował zebrać myśli; czuł, jak wściekle drga mu powieka. Dzięki Bogu, że nie skontaktował się z Tannerem! Nie przygotowany, mógłby coś chlapanąć - coś głupiego, niebezpiecznego.

Czy Osterman był takim astronomicznym głupcem - albo tchórzem - żeby zdradzić Johnowi Tannerowi prawdę o Zurychu? Bez konsultowania się z pozostałymi?

Jeżeli to prawda, trzeba było zaalarmować Zurych. Zurych zajmie się Ostermanem. Wypruje z niego flaki!

Musiał odnaleźć Cardone'a. Muszą razem uzgodnić, co robić. Podbiegł do budki na rogu.

Betty powiedziała, że Joe pojechał do biura. Sekretarka Cardone'a oświadczyła, że szef jest jeszcze na wakacjach.

Joe bawił się z nim w chowanego. Powieka drgała Tremayne'owi tak szybko, że prawie nic nie widział.

Wtorek, godzina 7.00

Nie mogąc spać, Tanner zajrzał do swego gabinetu. Jego wzrok przyciągnęło szare szkło trzech telewizorów. Było w nich coś martwego, pustego. Zapalił papierosa i usiadł na kanapie. Pomyślał o instrukcjach Fassetta: miał zachować spokój, udawać, że nic się nie stało, i nie mówić nic Alice. Ostatnie polecenie Fassett powtórzył kilka razy.

Jedynie realne zagrożenie mogło się pojawić, gdyby Alice powiedziała coś niewłaściwego nieodpowiedniej osobie. To mogło być niebezpieczne. Niebezpieczne dla Alice. Ale Tanner nigdy nie krył niczego przed swoją żoną. Nie był pewien, czy w ogóle potrafi to zrobić. Fakt, że byli wobec siebie zawsze otwarci, stanowił najsilniejszą spajającą ich więź. Nawet w kłótniach nigdy nie było między nimi cichych zarzutów. Alice McCall doświadczyła tego w wystarczającym stopniu jako dziecko.

Ale Omega miała to wszystko zmienić, przynajmniej na okres najbliższych sześciu dni. Musiał się na to zgodzić, bo Fassett powiedział, że tak będzie najlepiej dla Alice.

Słońce już wzeszło. Zaczynał się dzień i Cardone'owie, Tremayne'owie oraz Ostermanowie zaczęli być wkrótce szykanowani. Tanner zastanawiał się, co zrobią, jak zareagują. Miał nadzieję, że wszystkie trzy małżeństwa zawiadomią władzę, zadając kłam oskarżeniom Fassetta. Wszystko wróci do normalności.

Ale możliwe, że szaleństwo dopiero się rozpoczęło. Tak czy owak. zostanie w domu.. Jeśli okaże się, że Fassett ma rację, będzie

tutaj, razem z Alice i dziećmi. Fassett nie potrafi mu tego wyperswadować.

Powie Alice, że zachorował na grypę. Będzie z firmą w telefonicznym kontakcie, ale zostanie w domu razem z rodziną.

Telefon dzwonił bez przerwy; w firmie co chwila mieli do niego jakąś sprawę. Alice i dzieciaki skarżyły się, że ciągle dzwonek telefonu doprowadza ich do szaleństwa, i cała trójka przeniosła się nad basen. Dzień był upalny - tylko w południe pojawiło się kilka chmur - wymarzona pogoda dla pływaków. Kilkakrotnie minął dom biały policyjny samochód. W niedzielę wprawiło to Tannera w niepokój. Teraz odczuwał na jego widok ulgę. Fassett dotrzymywał słowa. Ponownie zadzwonił telefon.

-Tak, Charlie? - rzucił w słuchawkę Tanner, nie pytając nawet, kto mówi.

-Pan Tanner?

-O, przepraszam. Tak, tu John Tanner.

-Fassett przy telefonie.

-Chwileczkę! - Tanner wyjrzał przez okno gabinetu, żeby upewnić się, czy Alice i dzieci są wciąż na basenie. Tak, byli.

-O co chodzi, Fassett? Czy wasi ludzie już zaczęli?

-Może pan swobodnie mówić?

-Tak... Odkryliście już coś? Czy któryś z nich zgłosił się na policję?

-Nie. W takim przypadku natychmiast byśmy się z panem skontaktowali. Nie dlatego zresztą dzwonię. Zrobił pan dzisiaj coś wyjątkowo głupiego. Brak mi po prostu słów na pańską nieostrożność.

-O czym pan mówi?

-Nie poszedł pan dzisiaj do pracy.

-Jasne, że nie poszedłem!

-Ale pańskie zachowanie nie może w niczym odbiegać od codziennej rutyny! To niezwykle ważne. Dla swojego własnego dobra musi pan postępować zgodnie z naszymi instrukcjami.

-Żąda pan zbyt wiele.

-Niech pan mnie posłucha. Pańska żona i dzieci są w tej chwili

na basenie za domem. Pański syn, Raymond, nie poszedł na lekcję tenisa...

-Na moje polecenie. Kazałem mu przystrzyć trawnik.

-Pańska żona kazała sobie przywieźć zakupy do domu, czego normalnie nie robi.

-Powiedziałem, że może będę jej musiał coś podyktować. Zamawiała zakupy już przedtem.
-Chodzi o to, że nie zachowuje się pan normalnie. Sprawą najwyższej wagi jest, żeby nie naruszał pan w niczym swego zwykłego rozkładu zajęć. Podkreślałam to z całą mocą. Nie może pan, nie wolno panu zwracać na siebie uwagi.
-Pilnuję własnej rodziny. To chyba zrozumiałe.
-My robimy to samo. O wiele skuteczniej od pana. Ani na minutę nie spuściliśmy z oczu żadnego z członków pańskiej rodziny. Łącznie z panem. Wyszedł pan dzisiaj dwukrotnie na podjazd: o dziewiętej trzydzieści dwie i jedenastej dwadzieścia. Pańska córka zaprosiła na lunch swoją przyjaciółkę, niejaką Joan Loomis, lat osiem. Jesteśmy wyjątkowo dokładni i wyjątkowo ostrożni.
Dyrektor programów informacyjnych sięgnął po papierosa i zapalił go, używając stojącej na biurku zapalniczki.
-Na to wygląda... - powiedział.
-Nie ma pan żadnego powodu do obaw. Żadne niebezpieczeństwo nie grozi panu ani pańskiej rodzinie.
-Prawdopodobnie nie. Wydaje mi się, że wszyscy straciliście rozum. Żaden z nich nie ma nic wspólnego z Omegą.
-Możliwe. Ale jeśli mamy rację, nie podejmą żadnej akcji, zanim nie skontaktują się z centralą. Nie wpadną w panikę, stawka jest zbyt duża. A kiedy skontaktują się z centralą, natychmiast zaczną się wzajemnie podejrzewać. Więc, na litość boską, niech pan nie psuje nam szyków. Niech pan idzie do pracy, tak jakby nic się nie stało. To sprawa najwyższej wagi. Nikt nie zdoła zrobić nic złego pańskiej rodzinie. Żadnemu z nich nie uda się dotrzeć nawet w ich pobliże.
-W porządku. Przekonał mnie pan. Ale wyszedłem dzisiaj rano na podjazd trzykrotnie, a nie dwukrotnie.
-Nieprawda. Za trzecim razem nie wyszedł pan za drzwi garażu. Fizycznie nie pojawił się pan na podjeździe. A poza tym to nie było

rano, ale czternaście po dwunastej. - Fassett roześmiał się. - Lepiej się pan teraz czuje?

- Byłbym podłym kłamcą, gdybym nie przyznał, że tak.

.- Nie jest pan kłamcą. W każdym razie nie okłamuje pan ludzi zbyt często. Wynika to jasno z pańskiego dossier - powiedział śmiejąc się ponownie Fassett. Tanner nie mógł powstrzymać uśmiechu.

-Naprawdę jest pan niemożliwy. Jutro rano jadę do firmy.

-Kiedy to się już skończy, ja i moja żona chętnie się któregoś wieczoru z państwem spotkamy. Chyba się polubimy. Ja stawiam drinki. Dewars White Label z dużą ilością wody dla pana i szkocka z lodem i kropelką wody dla pańskiej żony.

-Chryste Panie! Jeżeli zacznie pan opisywać, co robimy w łóżku...

-Zajrzę tylko do notatek...

-Niech pan idzie do diabła - roześmiał się odprężony Tanner. - A w sprawie tego wieczoru biorę pana za słowo.

-To świetnie. Na pewno przypadniemy sobie do gustu.

-Proszę wymienić datę.

-Chciałbym, żeby to było w poniedziałek. Niech pan będzie w kontakcie. Ma pan ten numer, pod który można dzwonić po godzinach. Proszę się nie wahać.

-Nie będę. A jutro rano jadę do pracy.

-Znakomicie. I niech pan wyświadczy mi jeszcze jedną grzeczność. Nie planujcie więcej programów na nasz temat. Ostatni niezbyt się podobał moim zwierzchnikom.

Tanner pamiętał. Program, o którym wspominał Fassett, również prowadził Woodward. Scenarzyści nadali mu tytuł "Caught In the Act", "Złapany na gorącym uczynku", nawiązując pierwszymi literami do nazwy agencji, CIA. Program nadali rok temu, prawie co do tygodnia.

-Nie był taki zły.

-Nie był też najlepszy. Widziałem go. Myślałem, że się posikam ze śmiechu, ale nie mogłem. Oglądałem go razem z dyrektorem w jego salonie. "Złapany na gorącym uczynku"! Jezus Maria! - Fassett znowu się roześmiał i Tanner poczuł, jak pod wpływem tego śmiechu ognia go ulga, której nie spodziewał się doznać.

-Dzięki, Fassett.

Dyrektor odłożył słuchawkę i zgniótł w palcach papierosa. Fassett

to prawdziwy profesjonalista, pomyślał. I ma rację. Nikt nie zdoła dotrzeć w pobliże Alice i dzieciaków. Z tego, co wiedział, CIA miała snajpera na każdym drzewie. A jemu pozostało dokładnie to, co powiedział

Fassett: nie robić nic. Po prostu iść jak co dzień do roboty. Trzymać się rutyny, nie naruszać swoich codziennych zwyczajów. Poczuję, że może teraz z powodzeniem grać swoją rolę. Ochrona była dokładnie taka, jak to zapowiadał Fassett.

Jedna tylko rzecz nie dawała mu spokoju i im dłużej się nad nią zastanawiał, tym bardziej wytrącała go z równowagi.

Zbliżała się druga po południu. Wszystkie trzy małżeństwa - Tremayne'owie, Cardone'owie i Ostermanowie - otrzymały już do tej pory niepokojące sygnały. Zaczęto ich nękać. A jednak nikt z całej szóstki nie zawiadomił policji. Ani nawet nie zadzwonił do niego.

Czy to naprawdę możliwe, żeby ludzie, z którymi przyjaźnił się tyle lat, nie byli tymi, za kogo starali się uchodzić?

10

Wtorek, godzina 9.40 czasu kalifornijskiego

Karmann gwałtownie skręcił, wjeżdżając z Wilshire Boulevard na Beverly Drive. Osterman wiedział, że przekracza obowiązujący w Los Angeles limit szybkości, ale nie miało to żadnego znaczenia. Nie potrafił myśleć o niczym innym prócz otrzymanego przed chwilą ostrzeżenia. Musiał wracać do domu, do Leili. Powinni teraz poważnie porozmawiać. Powinni postanowić, co mają robić dalej. Dlaczego zostali namierzeni? Kto ich ostrzegał? I przed czym?

Leila miała prawdopodobnie rację. Tanner był ich przyjacielem, być może najlepszym, jakiego kiedykolwiek mieli, ale był również człowiekiem, dla którego przyjaźń nie była czymś najważniejszym. Istniały sprawy, o których nigdy ze sobą nie rozmawiali. Odnosili się do siebie zawsze z lekkim dystansem, tak jakby Tanner oddzielony był od innych ludzi cienką szklaną ścianą. Z wyjątkiem, oczywiście, Alice. A teraz Tanner był w posiadaniu informacji, które w jakiś sposób dotyczyły Ostermana i Leili, mających dla nich ważne znaczenie. Informacji na temat Zurychu. Ale w jaki sposób je, na Boga, uzyskał?! Osterman wjechał szybko na wzgórze Mulholland, mijając wielkie, utrzymane w różnych stylach rezydencje, zamieszkałe przez ludzi, którzy albo znaleźli się już na hollywoodzkim szczycie, albo byli bardzo blisko celu. Kilka domów było wyraźnie zaniedbanych - Podupadające relikty minionej ekstrawagancji. Limit szybkości w Mulhollandzie wynosił trzydzieści mil na godzinę. Szybkościomierz Ostermana pokazywał pięćdziesiąt jeden. Dodał gazu. Wiedział już, co

zrobi. Zabierze ze sobą Leilę i pojedą razem do Malibu. Znajdą jakiś telefon przy autostradzie i zadzwonią stamtąd do Tremayne'a i Cardone'a.

Wzdrygnął się, słysząc za sobą żalosne zawodzenie. Ale to nie mogła być prawdziwa policyjna syrena. W tym osiedlu ludzie mieli w domach różne zwariowane urządzenia, tutaj nic nie było prawdziwe. To nie mógł być ścigający go za przekroczenie szybkości policjant.

Ale oczywiście się mylił. To był policjant.

-Panie władzo, mieszkam tuż obok. Nazywam się Osterman. Bernie Osterman, 260 Caliente. Na pewno zna pan mój dom. - Specjalnie podał adres. Fakt, że ktoś mieszkał w Caliente, wywierał na ogół odpowiednie wrażenie.

-Przykro mi, panie Osterman. Poproszę o pańskie prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

-Niech pan zrozumie. Zadzwoniono do mnie do studia, że moja żona źle się czuje. To chyba zrozumiałe, że się spieszę.

- Ale nie kosztem pieszych. Poproszę o prawo jazdy i dowód.

Osterman podał mu dokumenty i wlepił wzrok w przednią szybę, starając się zachować spokój. Policjant wypisywał jak w letargu długi prostokątny mandat. Kiedy skończył, przypiął go spinaczem do prawa jazdy.

Słyszając trzask zszywacza, Osterman podniósł wzrok.

- Musi pan niszczyć moje prawo jazdy?

Policjant westchnął znużony, trzymając w ręku mandat.

- Mogłem je panu odebrać na trzydzieści dni, proszę pana, ale podałem mniejszą szybkość. Będzie to pana kosztować dziesięć dolców, tyle samo co za niewłaściwe parkowanie. - Wręczył mandat Bernie

mu. - Mam nadzieję, że pańska żona poczuje się lepiej - dodał i wrócił do swego samochodu. - Proszę nie zapomnieć schować prawa jazdy do portfela - rzucił przez otwartą szybę.

Samochód policyjny odjechał.

Osterman rzucił dokumenty na sąsiedni fotel i przekręcił kluczyk w stacyjce. Karmann ghia ruszyła opadającą w dół drogą. Bernie zerknął z lekkim niesmakiem na leżący obok mandat.

A potem przyjrzał mu się dokładniej.

Coś było nie w porządku. Format mandatu był normalny, a nieczytelny druk jak zwykle stłoczony na zbyt małej powierzchni. Dziwny

był tylko papier. Nawet jak na mandat wydany przez wydział komunikacji miasta Los Angeles wydawał się zbyt błyszczący, zbyt śliski.

Osterman zatrzymał samochód. Wziął do ręki mandat i uważnie mu się przyjrzał. Rodzaj przekroczenia policjant zaznaczył niedbale i niedokładnie. Właściwie nie zaznaczył go w ogóle.

A potem Osterman uświadomił sobie, że to, co widzi, jest po prostu cienką kalką, przylegającą do grubszego papieru. Odsunął kalkę i zobaczył pod spodem napisany czerwonym ołówkiem list, który częściowo zasłaniało przypięte spinaczem prawo jazdy. Oderwał je i przeczytał.

Doszły nas słuchy, że sąsiedzi Tannera mogą z nim współpracować. Nasze informacje są niekompletne, co dodatkowo pogarsza tę potencjalnie niebezpieczną sytuację. Podejmij nadzwyczajne środki ostrożności i dowiedz się, czego możesz. Podobnie jak i ty, musimy wiedzieć, do jakiego stopnia sąsiedzi Tannera są w to zaangażowani. Powtarzam: podejmij nadzwyczajne środki ostrożności.

Zurych

Osterman gapił się na czerwone litery, czując jak ze strachu zaczyna go nagle boleć w skroniach.

A więc Tremayne'owie i Cardone'owie także!

11

Wtorek, godzina 16.50

Dicka Tremayne'a nie było w pociągu, który przyjechał do Saddle Valley za dziesięć piąta. Siedzący w swoim cadillacu Cardone głośno zaklął. Próbował skontaktować się z Tremayne'em w jego biurze, ale powiedziano mu, że pan mecenas wyszedł wcześniej na lunch. Nie było sensu zostawiać wiadomości z prośbą o telefon. Joe postanowił wrócić do Saddle Valley i czekać od wpół do czwartej na wszystkie pociągi. Cardone zapalił motor i ruszył spod krawężnika. Skręcił w lewo na skrzyżowaniu z Saddle Road i skierował się na zachód, za miasto. Do następnego pociągu miał trzydzieści pięć minut. Mała przejażdżka pomoże mu się odprężyć. Nie mógł po prostu dłużej czekać na stacji. Jeśli ktoś go obserwował, mogło się to wydać podejrzanym.

Tremayne będzie znał odpowiedzi na pewne pytania. Był cholernie dobrym adwokatem i jeśli istniała w ogóle jakaś prawna alternatywa, on powinien ją znać.

Joe wyjechał z Saddle Valley i znalazł się na drodze biegnącej przez uprawne pola. Po krótkiej chwili minął go z lewej strony rolls-royce Silver Cloud i Cardone zauważył, że wielka limuzyna jedzie wyjątkowo szybko, o wiele za szybko, niż pozwalały na to warunki panujące na wąskiej wiejskiej drodze. Przejechał kilka mil, prawie nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajduje. Postanowił zawrócić na jakimś farmerskim podwórku, ale potem zobaczył przed sobą długi zakręt z szerokimi poboczami i uznał, że tam znajdzie odpowiednie miejsce. Musiał wracać na stację.

Wjechał w zakręt i zwolnił, szykując się do zjazdu na szerokie pobocze.

Okazało się to niemożliwe.

Pod gałęziami drzew stał zaparkowany rolls-royce, blokując wszelkie manewry.

Zdenerwowany Cardone dodał gazu i pojechał dalej. Po kilkuset jardach sprawdził, czy droga jest pusta, i zakręcił z trudem.

Zajeżdżając pod stację spojrzął na zegarek. Piąta dziewiętnaście, prawie piąta dwadzieścia. Miał przed oczyma cały peron. Jeśli Tremayne wysiądzie z pociągu, na pewno go zauważy. Miał nadzieję, że tym razem przyjedzie. Nie zniósłby dalszego czekania.

Za jego cadillakiem stanął jakiś samochód i Cardone spojrzął w lusterko.

To był rolls-royce. Joe oblał się potem.

Potężny mężczyzna, mający ponad sześć stóp wzrostu, wysiadł z limuzyny i ruszył wolnym krokiem w stronę odsuniętej szyby Cardone'a. Miał na sobie uniform szofera.

-Pan Cardone?

-Nazywam się Cardone.

Obejmujące drzwi cadillaca dłonie mężczyzny były grube jak bochny. O wiele większe i grubsze od dłoni Joego.

-W porządku. Mnie tam wszystko jedno.

-Wyprzedził mnie pan przed kilkoma minutami, prawda? Na Saddle Road.

-Tak, proszę pana, zrobiłem to. Prawdę mówiąc, przez cały dzień zbytnio się od pana nie oddalałem.

Cardone mimowolnie przełknął ślinę i uniósł się w fotelu.

-To bardzo dziwne, co pan mówi. I nie muszę dodawać, że bardzo niepokojące.

-Przykro mi...

-Nie interesuje mnie to, czy jest panu przykro. Chcę wiedzieć dlaczego. Dlaczego pan mnie śledzi? Nie znam pana. Nie lubię, jak mnie ktoś śledzi.

- Nikt tego nie lubi, proszę pana. Robię tylko to, co mi kazano.

- Co mianowicie? Czego pan chce?

Szofer rozprostował oparte o drzwi dłonie, tak jakby chciał zwrócić jego uwagę na drzemającą w nich siłę.

-Kazano mi przekazać panu wiadomość. Potem odjadę. Mam przed sobą długą drogę. Mój pracodawca mieszka aż w Maryland.

-Jaką wiadomość? Od kogo?

-Od pana Da Vinci.

-Da Vinci?

-Tak, proszę pana. Podobno skontaktował się już z panem dziś rano.

-Nie znam pańskiego Da Vinci... Co to za wiadomość?

-Nie powinien pan ufać panu Tremayne'owi.

-O czym pan mówi?

- Tylko to, co kazał mi powtórzyć pan Da Vinci, panie Cardone.

Cardone spojrzął prosto w twarz szoferowi. Za nieruchomymi oczyma kryła się inteligencja.

-Dlaczego czekał pan aż do tej chwili? Nie mógł mnie pan zatrzymać przed kilkoma godzinami?

-Nie otrzymałem takich instrukcji. W samochodzie mam radiotelefon. Kazano mi skontaktować się z panem dopiero przed kilkoma minutami.

-Kto panu kazał?

-Pan Da Vinci...

-To nie jest prawdziwe nazwisko. Kim jest naprawdę pański pracodawca? - Cardone z trudem powstrzymywał gniew. - Chcę natychmiast wiedzieć, kim jest ten Da Vinci.

-Jest jeszcze coś, co mam panu przekazać - dodał szofer, ignorując jego żądanie. - Pan Da Vinci uważa, że pan Tremayne rozmawiał być może z panem Tannerem. Nie ma co do tego pewności, ale takie odniósł wrażenie. Powinien pan o tym wiedzieć.

-O czym takim z nim rozmawiał?

-Nie wiem, proszę pana. I wcale nie muszę wiedzieć. Zatrudniono mnie, żebym prowadził samochód i przekazywał wiadomości.

-Pańska wiadomość nie jest jasna! Nie rozumiem jej! Co za pożytek z wiadomości, skoro nie jest jasna! - Cardone starał się nie stracić nad sobą panowania.

-Może powie panu coś więcej ostatni fragment, proszę pana. Pan Da Vinci uważa, że nie byłoby złym pomysłem, gdyby spróbował pan ustalić, do jakiego stopnia pan Tremayne związany jest z panem Tannerem. Ale musi pan być bardzo ostrożny. Bardzo, bardzo

ostrożny. Podobnie jak w stosunku do pańskich przyjaciół z Kalifornii. To ważne.

Szofer odsunął się od drzwi cadillaca i dotknął dwoma palcami daszka czapki.

-Niech pan zaczeka! - Cardone złapał za klamkę, ale olbrzym szybko przytrzymał rękoma drzwi, nie dając mu ich otworzyć.

-Nie, panie Cardione. Niech pan zostanie w samochodzie. Nie powinien pan zwracać na siebie uwagi. Nadjeżdża pociąg.

-Nie, proszę! Proszę... chcę porozmawiać z panem Da Vinci. Muszę z nim porozmawiać. Gdzie mogę się z nim spotkać?

-To wykluczone, proszę pana. - Szofer dalej bez większego wysiłku przytrzymywał drzwi cadillaca.

-Ty kutasie! - Cardone pociągnął za klamkę i oparł się całym ciężarem o drzwi. Uchyliły się na pół cala i zatrzasnęły z powrotem, pchnięte przez szofera. - Rozedrę cię na sztuki!

Pociąg zatrzymał się na peronie. Kilka osób wysiadło i w powietrzu rozległ się podwójny gwizd lokomotywy.

- Nie ma go w tym pociągu, panie Cardione - oznajmił ze spokojem szofer. - Pojechał dziś rano do miasta samochodem. O tym również wiemy.

Pociąg powoli ruszył i zaczął się oddalać. Joe nie odrywał wzroku od olbrzyma, który nie wypuszczał go z samochodu. Ledwo panował nad sobą, ale zachował jednocześnie dość rozsądku, by wiedzieć, że złość nic mu nie pomoże. Szofer dał nagle krok do tyłu, niedbale zsalutował i ruszył szybkim krokiem do rolls-royce'a. Cardone otworzył na oścież drzwi i wyskoczył na chodnik.

- Się masz, Joe!

Pozdrowił go Amos Needham, z drugiego kontyngentu mieszkańców Saddle Calley, którzy dojeżdżali do Nowego Jorku pociągiem. Wiceprezes rady nadzorczej Manufacturers Hanover Trust i przewodniczący komitetu do spraw specjalnych lokalnego klubu.

- Wy, chłopcy z giełdy, za bardzo się wycwaniliście. Kiedy tylko robi się gorąco, zostajecie w domu i czekacie, aż wszystko rozejdzie się po kościach.

-Jasne, jasne, Amos. - Cardone nie spuszczał z oczu szofera, tory wsiadł do swojej limuzyny i uruchomił silnik.

-Powiem ci - ciągnął Amos - że nie wiem, dokąd nas

doprowadzicie, wy młodzi!... Widziałeś notowania DuPonta? Wszyscy umoczyli, a ci idą w górę! Powiedziałem moim dyrektorom, żeby skonsultowali się z radą nadzorczą Ouii. Do diabła z wami. świeżo upieczonymi maklerami. - Needham zachichotał, a potem nagle pomachał drobną dłonią w stronę podjeżdżającego do dworca lincolna continental. - Jest już Ralph. Podwieź cię, Joe?... Ależ. co ja plotę. Przecież właśnie wysiadłeś ze swojego samochodu.

Lincoln zatrzymał się przy krawężniku i szofer Amosa Needhamia pochylił się do przodu, żeby wysiąść.

- Nie ma potrzeby, Ralph. Wciąż potrafię poradzić sobie z klamką. A swoją drogą, Joe ten rolls, któremu się przyglądasz, przypomina mi samochód mojego przyjaciela. Ale nie może należeć do niego.

Facet mieszka w Maryland.

Cardone obrócił nagle głowę i zmierzył wzrokiem poczciwego bankiera.

- W Maryland? Jak się nazywa?

Amos Needham otworzył drzwiczki swojego lincolna. Badawcze spojrzenie Cardone'a nie zmaćniło bynajmniej jego dobrego humoru

- Och, nie sądzę, żebyś go znał. Umarł przed wielu laty. Miał śmieszne nazwisko. Ludzie ciągle się z niego nabijali. Nazywał się Caesar.

Amos Needham wsiadł do samochodu i zamknął drzwi. Rolls-royce wyjeżdżał właśnie z dworcowego parkingu. Skręcił w prawo i dodając gazu pomknął w kierunku arterii wiodących do Manhattanu. Cardone stał na wyasfaltowanym peronie stacji i czuł, jak oblatuje go strach. Tremayne!

Tremayne trzyma z Tannerem!

Osterman trzyma z Tannerem!

Da Vinci... Caesar!

Wielcy stratedzy!

A jego, Giuseppe Ambruzzia Cardione, pozostawiono samemu sobie!

Jezu Chryste! Synu Boży! Przenajświętsza Panienko! Maryjo, Matko Boża! Umyj moje ręce w krwi baranka! Jezu! Jezu! Przebacz mi moje grzechy!... Jezus Maria! Chryste Miłosierny!

Co ja takiego zrobiłem?

12

Wtorek, godzina 17.00

Tremayne całymi godzinami włóczył się bez celu znajomymi ulicami East Side. Ale gdyby ktoś go zatrzymał i zapytał, gdzie się znajduje, nie potrafiłby odpowiedzieć.

Trawiła go gorączka. I strach. Blackstone powiedział wszystko, ale nie powiedział niczego.

A Cardone kłamał. Kogoś okłamywał. Swoją żonę albo sekretarkę, nie miało to znaczenia. Liczyło się to, że był nieuchwytny. Tremayne wiedział, że się nie uspokoi, dopóki razem z Cardone'em nie ustalą, co takiego zrobił Osterman.

Czy ich zdradził?

Czy to w ogóle możliwe?

Dick przeciął Vanderbilt Avenue i zupełnie machinalnie wszedł do środka hotelu Biltmore.

To zrozumiałe, pomyślał. Biltmore przypominał mu czasy, kiedy nie miał na głowie tylu kłopotów.

Minął hol, spodziewając się niemal, że natknie się na jakiegoś zapomnianego przyjaciela z lat młodości - i nagle zdał sobie sprawę, że stoi przed nim człowiek, którego nie widział od dwudziestu pięciu lat. Znał tą twarz, zmienioną straszliwie przez czas, spasioną, jak mu się wydawało, Pomarszczoną - ale nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska. Sięgnął Pamięcią do czasów, kiedy chodził do szkoły przygotowawczej.

Dwaj mężczyźni zbliżyli się z zażenowaniem do siebie. Dick... Dick Tremayne! To ty, Dick, prawda? Tak. A ty jesteś... Jim?

- Jack! Jack Townsend. Jak się masz, Dick?

Uścisnęli sobie dłonie, Townsend z o wiele większym entuzjazmem niż Tremayne.

-Minęło chyba dwadzieścia pięć albo trzydzieści lat! Wspaniale wyglądasz! Jak, do diabła, udało ci się zachować taką figurę? Ja dałem za wygraną.

-Ty też świetnie wyglądasz. Naprawdę, wspaniale. Nie wiedziałem, że sprowadziłeś się do Nowego Jorku.

-Nie, nie mieszkam tutaj. Osiadłem w Toledo. Wpadłem tutaj tylko na kilka dni. Leciałem samolotem i przysłała mi do głowy zwariowana myśl. Skasowałem rezerwację w Hiltonie i wynająłem pokój w Biltmore. Zobaczę, pomyślałem sobie, czy przychodzi tu jeszcze ktoś ze starej paczki. Niewiarygodne, prawda? No i trafiłem na ciebie!

-Zabawne. Naprawdę zabawne. To samo przyszło mi do głowy przed kilkoma sekundami.

-Napijmy się.

Townsend perorował z typową dla prowincjonalnego biznesmena pewnością siebie. Był bardzo nudny.

Tremayne nie przestawał myśleć o Joem. Po wypiciu trzeciego drinka rozejrzał się, szukając budki telefonicznej, którą pamiętał z młodości. Schowana była blisko wejścia do kuchni i tylko stali bywalcy wiedzieli o jej istnieniu.

Ale teraz już jej nie było. A Jackowi Townsendowi nie zamykały się usta. Gadał i gadał, przypominając rzeczy, których nie powinno się mówić na głos.

W odległości kilku stóp od nich stało dwóch Murzynów w skórzanych kurtkach i naszyjnikach z paciorków.

W dawnych dobrych czasach nie spotkaliby ich tutaj.

To były przyjemne czasy.

Tremayne wypił za jednym zamachem czwartego drinka. Townsend chyba nigdy nie przestanie gadać.

Musi zadzwonić do Joego! Znowu zaczynał wpadać w panikę. Może Cardone'owi uda się jednym zdaniem rozwikłać tajemnicę Ostermana.

- Co się z tobą dzieje, Dick. Wyglądasz, jakby coś nie dawało ci spokoju.

- Niech mnie kule biją, jestem tutaj po raz pierwszy od wielu lat - Tremayne wiedział, że język płacze mu się w ustach. - Muszę

gdzieś zadzwonić. Przepraszam.

Townsend położył mu rękę na ramieniu.

- Chcesz zadzwonić do Cardone'a? - zapytał cicho.

-Co?

-Pytam, czy chcesz zadzwonić do Cardone'a?

- Kim jesteś... Kim, do diabła, jesteś?

- Przyjacielem Blackstone'a. Nie dzwoń do Cardone'a. Nie rób tego w żadnym wypadku. Jeśli to zrobisz, wbijesz gwóźdź do własnej trumny. Rozumiesz?

-Niczego nie rozumiem! Kim jesteś? Kim jest Blackstone? - Tremayne starał się mówić szeptem, ale jego głos niósł się po całym barze.

-Ujmijmy to tak: Cardone może być niebezpieczny. Nie ufamy mu. Nie jesteśmy go pewni. Podobnie jak nie jesteśmy pewni Ostermanów.

-Co ty opowiadasz?

-Mogli się ze sobą spiknąć. I zostawić cię na lodzie. Ale rozegraj to spokojnie i spróbuj się czegoś dowiedzieć. Będziemy w kontakcie... pan Blackstone chyba cię już o tym uprzedził, prawda?

A potem Townsend zrobił coś dziwnego. Wyjął z portfela banknot i położył go przed Richardem Tremayne'em.

- Weź to - powiedział. Odwrócił się i wyszedł przez szklane drzwi.

Banknot był studolarowy.

Co chciał za niego kupić Townsend?

Nic, pomyślał Tremayne. Banknot był po prostu symbolem.

To była cena. Cena, za którą można było kupić cokolwiek.

Kiedy Fassett wszedł do hotelowego pokoju, dwaj mężczyźni pochylili się nad stolikiem do kart, studiując rozłożone na nim papiery i mapy. Jednym z nich był Grover. Drugi nazywał się Cole. Fassett zdjął panamę i ciemne szkła i położył je na biurku. - Wszystko w porządku? - zapytał George Grover. Zgodnie z planem. Jeśli Tremayne nie zaleje za bardzo pałki w Biltmore.

-Jeśli to zrobi - powiedział Cole, przyglądając się mapie samochodowej New Jersey - sytuację opanuje przyjaźnie nastawiony, przekupny gliniarz. Odholuje go do domu.

-Masz ludzi po obu stronach mostu?

-1 po obu stronach tuneli. Czasami lubi jechać tunelem Lincolna, a potem Parkway. - Cole robił znaczki na arkuszu leżącej na mapie kalki.

Zadzwonił telefon. Grover podszedł do stolika przy łóżku, żeby go odebrać.

-Tu Grover... Tak? Dobrze, sprawdzimy to, ale jestem przekonany, że gdyby tak było, już byśmy o tym wiedzieli... Nie powinniście się przejmować. W porządku. Informujcie nas dalej.

-O co chodzi? - Fassett zdjął białą marynarkę w stylu Palm Beach i zaczął zawijać rękawy koszuli.

-Dzwonili z Los Angeles. Między wyjściem Ostermana ze studia a przejściem go na Mulholland, stracili go na dwadzieścia minut z oczu. Obawiają się, że mógł się w tym czasie skontaktować z Cardone'em albo Tremayne'em.

Cole uniósł wzrok znad stołu.

-Mniej więcej o pierwszej naszego czasu? Dziesiątej kalifornijskiego?

-Tak.

-Niemożliwe. Cardone był w tym czasie w swoim samochodzie, a Tremayne włóczył się po ulicach. Osterman nie mógł się skontaktować z żadnym z nich...

-Rozumiem jednak ich obawy - wtrącił Fassett. - Tremayne próbował się dzisiaj w południe dodzwonić do Cardone'a.

-Przewidzieliśmy to, Larry - powiedział Cole. - Gdyby udało im się ustalić termin spotkania, przejęlibyśmy ich obu.

-Tak, wiem. Ale to ryzykowne.

Cole wziął do ręki arkusze kalki i roześmiał się.

-Ty zajmij się planowaniem, my będziemy kontrolować. Tutaj mam wszystkie boczne dojazdy do "Kozłej Skóry".

-Już je przecież zaznaczyliśmy.

-Tutaj nie. George rozdał wszystkie kopie ludziom w terenie. W punkcie dowodzenia zawsze powinna się znajdować mapa pola bitwy.

. Mea culpa. Byłem na odprawie do drugiej w nocy, a potem

musiałem zdążyć na samolot o szóstej trzydzieści. Zapomniałem także mojej maszynki, szczoteczki do zębów i Bóg jeden wie, czego jeszcze.

Rozległ się ponownie dzwonek telefonu. Grover odebrał, zanim aparat zadzwonił po raz drugi.

-Rozumiem... poczekaj chwilę. - Odsunął słuchawkę od ucha i spojrzał na Fassetta. - Nasz szofer miał scysję z Cardone'em...

-Chryste! Mam nadzieję, że nie połała się krew.

-Nie, nie. Gorącokrwisty All-American próbował wysiąść z samochodu i wszczać drakę. Nic się nie stało.

-Każ Jimowi jechać z powrotem do Waszyngtonu. Żeby nikt go już tam nie widział.

-Wracaj do Waszyngtonu, Jim... Jasne, możesz to zrobić. Okay. Do zobaczenia w forcie. - Grover odłożył słuchawkę i wrócił do karcianego stolika.

-Co Jim może zrobić? - zapytał Fassett.

-Pojechać rollsem do Maryland. Jego zdaniem Cardone zapisał numery.

-Dobrze. A rodzina Caesarów?

-Dokładnie poinformowana - wtrącił się Cole. - Nie mogą się wprost doczekać telefonu od Giuseppe Ambruzzia Cardone'a. Syn nie wrodził się w tym przypadku w ojca.

-Co to znaczy? - zapytał Grover, zapalając papierosa.

-Stary Caesar dorobił się fortuny na wymuszaniu okupów. Jego najstarszy syn pracuje w biurze prokuratora generalnego i ma absolutnego fioła na punkcie mafii.

- Chce zmyć rodzinne grzechy?

- Coś w tym rodzaju.

Fassett podszedł do okna i przyjrzał się szerokim błoniom południowego Central Parku. Kiedy się odezwał, jego głos był bardzo cichy, ale brzmiąca w nim satysfakcja sprawiła, że obaj podwładni nie mogli powstrzymać uśmiechu.

- Mamy ich wszystkich w saku. Każdy otrzymał ostrzeżenie. Są zdezorientowani i przestraszeni. Żaden z nich nie wie, co robić i do kogo się zwrócić. Teraz pozostaje nam tylko obserwacja. Damy im odpocząć przez dwadzieścia cztery godziny. Wstrzymamy się od wszelkich akcji... Ale Omega nie ma wyboru. Musi wykonać jakiś ruch.

13

Środa, godzina 10.15

Tanner zjawił się w pracy dopiero kwadrans po dziesiątej. Z trudem zmusił się, żeby wyjechać z domu, ale wiedział, że Fassett ma rację. Usiadł w swoim fotelu i zaczął przerzucać pocztę i notatki. Wszyscy chcieli się z nim spotkać. Nikt nie miał odwagi podjąć choćby jednej decyzji, nie skonsultowawszy się wcześniej z Tannerem.

Zespołowi muzycy. Telewizyjna orkiestra dęta.

Podniósł telefon i wykręcił kierunkowy New Jersey.

-Cześć, Ali.

-Cześć, kochanie. Zapomniałeś czegoś?

-Nie... Nie. Po prostu poczułem się samotny. Co robisz?

W domu przy Orchard Drive, w Saddle Valley, w stanie New Jersey, Alice Tanner zrobiło się cieplej na sercu.

- Co robisz? - powtórzyła z uśmiechem. - Zgodnie z rozkazami mego pana i władcy doglądam Raymonda, który właśnie sprząta piwnicę. Janet, również zgodnie z otrzymanymi rozkazami, spędza gorący lipcowy ranek ćwicząc czytanie. Jak inaczej mogłaby się dostać do Berkeley w wieku dwunastu lat?

Tanner wyczuł w głosie żony przyganę. Jej wakacje w młodości były samotne i straszne. Alice nie chciała, by Janet brakowało czegoś, czego sama była pozbawiona.

-Dobrze, nie zamęcz ich. Zaproście jakieś dzieciaki.

-Właśnie o tym pomyślałam. Ale zadzwoniła Nancy Loomis i zapytała, czy Janet nie mogłaby wpaść do nich na lunch...

Ali... - Tanner przełożył słuchawkę do lewej ręki. - Wolał bym, żebyśmy przez kilka dni nie kontaktowali się z Loomisami.

- Co masz na myśli?

Jim Loomis był znajomym Johna z pociągu o ósmej dwadzieścia.

Jim próbuje naciągnąć nas wszystkich na jakieś akcje. Nie

daje nam spokoju w pociągu. Jeśli przetrzymam jakoś ten tydzień, odpuści mi.
-Co mówi na ten temat Joe?
-Nic o tym nie wie. Loomis nie chce, żeby zaczął węszyć. Konkurencja.
-Nie rozumiem, co ma z tym wszystkim wspólnego Janet...
-Po prostu oszczędzimy sobie kłopotu. Poza tym i tak nie mamy tyle pieniędzy.
-Amen.
-Chciałem cię także o coś prosić... Nie odchodź dzisiaj zbyt daleko od telefonu.
Alice Tanner wlepiła oczy w trzymaną w dłoni słuchawkę.
-Dlaczego?
-Nie mogę wchodzić w szczegóły, ale być może będę miał ważny telefon... w sprawie, o której zawsze rozmawialiśmy...
-Ktoś ci coś zaproponował! - powiedziała, podświadomie przyciszając głos. Uśmiechnęła się.
-Możliwe. Mają zadzwonić do mnie do domu, żeby umówić się na lunch.
-Och, John. To wspaniale!
-To... to może się okazać interesujące. - Nagle poczuł, że rozmowa z nią sprawia mu ból. - Pogadamy później, kochanie.
-Jestem zachwycona, skarbie. Nastawię dzwonek telefonu tak, że będzie go słychać w Nowym Jorku.
-Zadzwoń później.
-Opowiedz mi wszystkie szczegóły.
Tanner odłożył powoli słuchawkę na widełki. Zaczynały się kłmstwa... ale dzięki nim jego rodzina pozostanie przynajmniej w domu.
Wiedział, że musi zająć się problemami Standard Mutual. Fassett ostrzegł go. Nie może być żadnego odstępstwa od normy, a normalność dla każdego szefa programów informacyjnych oznaczała chroniczne

nadciśnienie. Tanner znany był w Standard z tego, że potrafił sobie ad hoc radzić z nagłymi trudnościami. Ale jeśli był kiedyś w jego karierze okres, kiedy wolałby uniknąć chaosu, to przypadł on właśnie teraz. Podniósł słuchawkę.

- Normo, przeczytam ci teraz listę osób, z którymi chcę się dzisiaj spotkać. Wezwij ich. Uprzedź wszystkich, że chcę, by się streszczali i zmieścili w obrębie kwadransa, chyba że powiem inaczej. Dobrze by było, gdyby spisali wszystkie swoje problemy i propozycje na połowie kartki. Mam dzisiaj mnóstwo spraw na głowie. Był zajęty do wpół do pierwszej. A potem zamknął drzwi do gabinetu i zadzwonił do żony. Nikt nie odpowiadał. Czekał ze słuchawką przytkniętą do ucha prawie przez dwie minuty. Odstępy między sygnałami wydawały mu się coraz dłuższe. Żadnej odpowiedzi. Nikt nie odbierał telefonu, którego dzwonek miało być słychać aż w Nowym Jorku. Było pięć po wpół do pierwszej. Alice doszła widać do wniosku, że nikt nie zadzwoni między południem a wpół do drugiej. Może zabrała dzieci do klubu na hamburgera. Albo nie mogła odmówić Jane Loomis i zawiozła Janet na lunch. Może pojechała do biblioteki - Alice lubiła coś czytać, opalając się obok basenu. Tanner próbował wyobrazić sobie, że jego żona robi wszystkie te rzeczy. Robi jedną z nich albo wszystkie po kolei - to było jedyne wytłumaczenie. Wykręcił ponownie numer i ponownie nie było odpowiedzi. Zadzwonił do klubu.

- Przykro mi, panie Tanner. Wysłaliśmy posłańca na zewnątrz.
Pani Tanner u nas nie ma.
Loomisowie. Oczywiście, pojechała do Loomisów.
- Pudło, John. Alice powiedziała, że Janet rozboleł brzusek.
Może zabrała ją do doktora.
Do osiem po pierwszej Tanner jeszcze dwa razy usiłował się dodzwonić do domu. Ostatnim razem trzymał słuchawkę przy uchu prawie przez pięć minut. Wyobrażał sobie wpadającą do domu bez

tchu Ali, ciągle powtarzając sobie, że to już ostatni sygnał i że tym razem jego żona w końcu odbierze. Ale nie odebrała.

Powtarzał sobie bez przerwy, że zachowuje się nierozsądnie. Na własne oczy widział jadący za nimi policyjny samochód, kiedy Alice odwoziła go na stację. Fassett przekonał go wczoraj, że nic nie umknie uwagi jego cichociemnych.

Fassett.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer awaryjny, który dał mu agent CIA. Sądząc po kierunkowym biuro mieściło się na Manhattanie.

- Tu Grover...

Kto? - przeleciało przez głowę Tannerowi.

-Halo? Halo? Mówi George Grover.

-Nazywam się John Tanner. Chciałbym mówić z Laurence'em Fassettem.

-A, dzień dobry, panie Tanner. Czy coś się stało? Fassetta chwilowo nie ma. W czym mogę panu pomóc?

-Pracuje pan razem z Fassettem?

-Tak jest, proszę pana.

-Nie mogę skontaktować się z moją żoną. Dzwonię bez przerwy. Nie odpowiada.

-Może wyszła gdzieś na chwilę. Na pana miejscu zbytnio bym się nie przejmował. Jest pod ciągłym nadzorem.

-Jest pan tego pewien?

-Oczywiście.

-Prosiłem, żeby nie oddalała się od aparatu. Powiedziałem jej, że oczekuję ważnego telefonu.

-Skontaktuję się z naszymi ludźmi i zaraz do pana zadzwonię. To pana uspokoi.

Tanner odłożył słuchawkę lekko zawstydzony. Ale potem minęło pięć minut i zapowiadanego telefonu nie było. Wykręcił numer Fassetta, ale linia była zajęta. Szybko odłożył słuchawkę, obawiając się, że przez jego niecierpliwosć Grover nie może się do niego dodzwonić. Czy Grover wykręcał właśnie jego numer? Musiał to robić. Zaraz spróbuje ponownie.

Ale telefon nie zadzwonił.

Tanner podniósł słuchawkę. Powoli i uważnie wykręcił numer, sprawdzając, czy dobrze wybrał każdą cyfrę na tarczy.

-Tu Grover.

-Mówi Tanner. Miał pan zaraz zadzwonić z powrotem.

-Przykro mi, panie Tanner. Mamy niewielkie kłopoty. Nie ma powodu do niepokoju.

-Z czym macie kłopoty?

-Ze skontaktowaniem się z naszymi ludźmi w terenie. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Nie możemy oczekiwać, że będą bez przerwy przy radiotelefonie. Wkrótce się z nimi połączymy i natychmiast potem zadzwonimy do pana.

-To mi nie wystarcza!

John Tanner rzucił słuchawkę na widelki i poderwał się z fotela. Wczoraj po południu Fassett opowiedział mu dokładnie, co robili przez cały dzień wszyscy członkowie jego rodziny - a także co robią w trakcie ich rozmowy. A teraz ten Grover nie może skontaktować się z żadnym agentem, których wyznaczono do obserwacji domu. Co takiego powiedział Fassett?

"Mamy w Saddle Valley trzynastu agentów..."

A Grover nie potrafi połączyć się z żadnym z nich!

Trzynastu ludzi i z żadnym nie sposób się skontaktować!

Ruszył ku drzwiom gabinetu.

- Coś się stało, Normo. Proszę, odbieraj wszystkie moje telefony.

Gdyby dzwonił facet o nazwisku Grover, powiedz mu, że pojechałem do domu.

Wita Was

SADDLE VALLEY

RADA MIEJSKA ZAŁOŻONA W 1862

-Dokąd teraz, proszę pana?

-Niech pan jedzie prosto. Pokażę panu.

Taksówka wjechała w Orchard Drive, o dwie przecznice od ich domu; puls Tannera bił jak oszalały. Bez przerwy wyobrażał sobie stojące na podjeździe kombi. Jeszcze jeden zakręt i zobaczy, czy rzeczywiście tam stoi. To będzie oznaczało, że wszystko jest w porządku. O, Chryste! Spraw, żeby wszystko było w porządku! Samochodu nie było na podjeździe.

Tanner spojrzął na zegarek.

Druga czterdzieści pięć. Za kwadrans trzecia! A Alice nie było w domu!

-Niech pan skręci w lewo. Tam gdzie stoi ten dom z gontowym dachem.

-Ładny domek, proszę pana. Naprawdę, przyjemnie popatrzeć.

-Niech pan się pospieszy!

Taksówka zatrzymała się przy ścieżce z granitowych płyt. Tanner zapłacił i otworzył drzwi. Nie czekał na podziękowania kierowcy.

- Ali! Ali!

Przebiegł przez pralnię, żeby sprawdzić garaż. Nic. W środku stał mały triumph. Cisza.

Coś zwróciło jego uwagę. Zapach. Słaba woń, której nie potrafił zlokalizować i od której robiło mu się niedobrze.

- Ali! Ali!

Wbiegł do kuchni i wyjrzał przez okno na basen. O Boże! Nie odrywając oczu od powierzchni wody ruszył ku drzwiom prowadzącym na patio. Zasuwka zacięła się i pchnął mocno drzwi, wyłamując zamek.

Dzięki Bogu! W wodzie nie było nikogo!

Jego mały walijski terier obudził się z drzemki. Uwiązany na długiej smyczy, natychmiast zaczął jazgotliwie ujadać.

Tanner wbiegł z powrotem do domu, kierując się ku drzwiom do piwnicy.

- Ray! Janet! Ali!

Cisza. Przerzywana tylko wściekłym szczekaniem psa na dworze.

Zostawił drzwi do piwnicy otwarte i podbiegł do schodów na górę.

Może są na piętrze!

Przeskakując po trzy schodki pomknął na piętro; drzwi do pokoiów dzieci i pokoju gościnnego były otwarte, drzwi do głównej sypialni zamknięte.

Nagle usłyszał grające cicho radio. To było radio Alice z automatycznym zegarem, który wyłączał je najpóźniej po godzinie od chwili włączenia. On i Alice zawsze używali automatu, kiedy włączali radio. Nigdy przycisku z napisem ON. A Ali nie było w domu przez co najmniej dwie i pół godziny. Musiał je włączyć ktoś inny.

Otworzył drzwi do sypialni.

W środku nie było nikogo.

Już miał się odwrócić i przeszukać resztę domu, kiedy coś przykuło jego uwagę. Na radiu leżała napisana czerwonym ołówkiem wiadomość. Podbiegł do stolika przy łóżku.

Twoja żona i dzieci wybrały się na niespodziewaną wycieczkę samochodem. Odnajdziesz ich koło starego dworca przy Lassiter Road.

Starając się nie wpaść w panikę, Tanner zebrał myśli, żeby przypomnieć sobie, gdzie znajduje się opuszczony dworzec. Stał w głębi lasu, przy rzadko używanej bocznej drodze.

Jak mógł do tego dopuścić? Jak mógł, na rany Chrystusa, do tego dopuścić? Pozwolił ich zabić! Jeśli to prawda, zabije Fassetta. Zabije Grovera! Zabije tych wszystkich, których psim obowiązkiem było pilnowanie domu!

Wypadł z sypialni, zbiegł po schodach i ruszył w stronę garażu. Brama była otwarta. Wskoczył za kierownicę triumphu, uruchomił silnik i wyjechał małym sportowym samochodem na zewnątrz, skręcając w prawo, w Orchard Drive. Wszedł na pełnym gazie w długi zakręt, próbując sobie przypomnieć najkrótszą drogę do Lassiter Road. Po jakimś czasie dojechał do stawu, któremu nadano nazwę Lassiter Lake i którego mieszkańcy Saddle Valley używali w zimie jako ślizgawki. Po jego drugiej stronie zaczynała się Lassiter Road - wąska droga, która zdawała się ginąć w gęstwinie liści.

Przez cały czas ani na chwilę nie spuszczał nogi z gazu.

- Ali! Ali! Janet! Ray! - powtarzał urywanym głosem z początku cicho, potem coraz głośniejsze.

Droga była kręta, o ograniczonej widoczności. Przez gałęzie prześwitywały promienie słońca. Nie napotkał żadnego innego samochodu, żadnego śladu życia.

Nagle zobaczył przed sobą stary opuszczony dworzec. A obok. swój własny samochód; ktoś zostawił go w połowie na zarośniętym parkingu, w połowie w wysokiej trawie. Wcisnął ostro hamulec. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Wyskoczył z triumpha i podbiegł do samochodu.

Na chwilę zupełnie stracił głowę. Przed oczyma miał horror. Stało się to, w co nie chciał uwierzyć.

Na przednim fotelu leżała jego żona. Nieruchoma, nieprzytomna. Z tyłu była mała Janet i Raymond. Leżeli na czerwonym siedzeniu ze zwieszonymi w dół głowami.

O, Chryste! Chryste! Stało się. Łzy podeszły mu do oczu. Zaczął cały drzeć.

Otworzył przednie drzwi, krzycząc z przerażenia, i nagle w nozdrza uderzył go jakiś zapach. Wywołujący torsje zapach, który poczuł po raz pierwszy w garażu. Złapał głowę Alice i podniósł ją w górę. Tracił zmysły z rozpaczy.

- Ali! Ali! Mój Boże! Błagam Cię! Ali!

Jego żona powoli otworzyła oczy. Zamrugała. Przytomna, ale zarazem nieprzytomna. Poruszyła rękoma.

- Gdzie... gdzie ja jestem? Gdzie są dzieci! - W głosie Alice zabrzmiała histeria. Jej krzyk sprawił, że Tanner oprzytomniał.

Wychylił się za przedni fotel i przyjrzał się synowi i córce.

Poruszali się. Żyli! Wszyscy żyli!

Alice wysiadła z samochodu i chwiejąc się stanęła na trawie. Tanner podniósł córkę z tylnego siedzenia i przytulił ją do siebie. Janet zaczęła cicho płakać.

-Co się stało? Co się stało? - Alice Tanner powoli dochodziła do siebie.

-Nie mów nic, Ali. Oddychaj. Tak głęboko, jak tylko możesz. Już! - Podeszedł do niej i podał jej chlipiącą Janet. - Zabiorę stamtąd Raya.

-Co się stało? Masz mi natychmiast...

-Cicho! Po prostu oddychaj! Głęboko!

Pomógł synowi wsiąść. Chłopcu było niedobrze i zaczął wymiotować. Tanner przytrzymał w prawej dłoni czoło Raya, obejmując go drugą ręką w pasie.

-John, nie możesz po prostu...

-Spaceruj. Spróbuj zmusić Janet, żeby przeszła kilka kroków. Rób, co mówię!

Zamroczone Alice wykonywała posłusznie polecenia męża. Głowa chłopca drżała w dłoni Tannera.

-Lepiej się czujesz, synu?

-O rany! O rany! Gdzie my jesteśmy? - Chłopiec nagle się przestraszył.

- Wszystko w porządku. Wszystko w porządku... Nic wam się nie stało.

Tanner rzucił okiem na żonę. Postawiła Janet na ziemi i trzymała ją teraz za ramiona. Mała płakała coraz głośniejsze, a on czuł, jak ogarnia go nienawiść i strach. Podeszedł do samochodu, żeby sprawdzić, czy kluczyki są w stacyjce.

Nie było ich. To wszystko nie miało sensu.

Zajrzał pod siedzenia i do schowka, obejrzał się do tyłu. W końcu je zobaczył. Leżały owinięte w kawałek białego papieru, ściśnięte gumką. Paczuszka wetknięta była między składane tylne siedzenia. wetknięta głęboko, tak że ledwo ją było widać.

Janet zanosila się teraz płaczem. Alice wzięła ją na ręce, próbując uspokoić, powtarzając bez przerwy, że wszystko jest w porządku.

Upewniwszy się, że Alice go nie obserwuje, Tanner wyjął małą paczuszkę spomiędzy foteli, zsunął z niej gumkę i rozprostował papier.

Był nie zapisany.

Zmiał go w rękę i schował do kieszeni. Powie Alice, co się wydarzyło. Odjadą stąd. Daleko. Ale nie będzie jej tego mówił w obecności dzieci.

- Wsiądź do samochodu - powiedział cicho do syna i podeszedł do Alice, biorąc jej z rąk rozhisteryzowaną Janet. - Weź kluczyki z triumpha, Ali. Jedziemy do domu.

Alice stała przed nim; oczy miała rozszerzone strachem, łzy płynęły jej po policzkach. Próbowowała się opanować; ostatkiem sił powstrzymywała się, żeby nie krzyknąć.

- Co się stało? Co to było?

Od konieczności odpowiedzi wybawił Tannera głośny warkot samochodu. Mimo targającego nim gniewu, poczuł coś w rodzaju ulgi. Na parking wpadł z dużą szybkością wóz patrolowy policji z Saddle Valley. Zatrzymał się dziesięć jardów od nich.

Z samochodu wyskoczyli Jenkins i McDermott. Jenkins trzymał w ręku rewolwer.

-Nic się nie stało? - zawołał, podbiegając do Tannera. McDermott podszedł szybkim krokiem do samochodu i powiedział coś cicho do siedzącego na tylnym siedzeniu chłopca.

-Znaleźliśmy wiadomość w państwa sypialni. Przy okazji odzyskaliśmy chyba większość skradzionych rzeczy.

-Jakich rzeczy?

-Dwa odbiorniki telewizyjne, biżuterię pani Tanner, srebrną szkatułkę, zastawę, trochę gotówki. Kompletną listę mamy na posterunku. Nie wiemy, czy udało nam się odzyskać wszystko. Mogli jeszcze coś ukraść. Musicie państwo sprawdzić.

Tanner oddał Alice córkę.

-O czym, do jasnej cholery, pan mówi?

-Zostaliście okradzeni. Pańska żona musiała zaskoczyć złodziei. Razem z dziećmi uspiono ją w garażu. To byli profesjonaliści, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Prawdziwi profesjonaliści.

-Kłamie pan - powiedział cicho Tanner. - Nic nam nie...

-Proszę... - przerwał mu Jenkins. - Musi pan się teraz zająć dziećmi i żoną. To jest najważniejsze.

-Tego chłopca trzeba odwieźć do szpitala - zawołał, jakby na dany sygnał, siedzący w samochodzie McDermott. - Natychmiast!

-O mój Boże! - Alice Tanner podbiegła do samochodu, trzymając w ramionach Janet.

-Zabierze ich ze sobą McDermott - powiedział Jenkins.

-Jak mogę panu ufać? Okłamał mnie pan. Z domu nic nie zginęło. Nie było żadnych śladów włamania, nie brakowało żadnych telewizorów. Dlaczego pan kłamie?

-Nie ma czasu. Wysyłam pańskie dzieci i żonę razem z McDer-mottem - odparł szybko Jenkins.

-Pojadą ze mną!

-Nie pojadą.

Jenkins uniósł lekko do góry swój pistolet.

-Zabiję cię, Jenkins.

-I kto będzie was wtedy ochraniał przed Omega? - zapytał ze spokojem policjant. - Niech pan będzie rozsądny. Fassett jest już w drodze. Chce się z panem zobaczyć.

Przykro mi. Naprawdę strasznie mi przykro. Coś takiego już się nie powtórzy, nie ma prawa się powtórzyć.

-Co się w ogóle zdarzyło? Gdzie się podziała pańska szczelna ochrona?

-Logistyczny błąd w harmonogramie inwigilacji, który nie został

-

w wystarczającym stopniu sprawdzony. Taka jest prawda. Nie mam powodu, żeby pana okłamywać. Odpowiedzialność za to ponoszę wyłącznie ja.

-Pana tutaj nie było.

-Ale to moja wina. To ja jestem odpowiedzialny za działający tutaj zespół. Ludzie z Omegi zorientowali się, że posterunek nie jest obsadzony - tak się składa, że trwało to krócej niż kwadrans - i wkroczyli.

-To jest niedopuszczalne. Wskutek pana niedopatrzenia życie mojej żony i dzieci znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

-Powiedziałem już panu, że to się nie powtórzy. A poza tym to, co wydarzyło się dzisiaj po południu, powinno pana w przewrotny sposób uspokoić. Omega nie zabija. Posługuje się terrorem. Ale nie morderstwem.

-Dlaczego? Bo pan tak mówi? Nie wierzę. Cała historia CIA składa się z kolejnych wpadek. Nie będzie pan więcej podejmował za mnie żadnych decyzji, ustalmy to jasno.

-Naprawdę? To znaczy, że od tej chwili pan będzie o wszystkim decydował?

-Tak.

-Niech pan się nie wygłupia. Jeśli nie ze względu na samego siebie, to przynajmniej ze względu na pańską rodzinę.

Tanner wstał z krzesła. Przez weneckie żaluzje zobaczył stojących za oknem motelu dwóch strażników.

-Zabieram stąd moją rodzinę.

-I dokąd pan z nimi pojedzie?

-Nie wiem. Wiem tylko, że tutaj nie zostanę.

-Sądzi pan, że Omega nie ruszy pana śladem?

-Dlaczego miałyby to zrobić? Nie mam z wami nic wspólnego.

-Nie uwierzą w to.

-Więc to ujawnię.

-Jak? Zamierza pan zamieścić ogłoszenie w "Timesie"?

-Nie! - Tanner obrócił się i wycelował palcem w Fassetta. - Pan to zrobi. W jaki sposób, to już wasza sprawa. Bo jeśli się pan nie zgodzi, ujawnię w telewizji całą prawdę o tej operacji i o tym, w jak nieodpowiedzialny, niekompetentny sposób pan ją prowadzi. Nie przeżyje pan tego.

- Ani pan, bo do tego czasu przeniesie się pan na tamten świat. Podobnie jak pańska żona i dzieci. Wszyscy zginą.

-Nie zastraszy mnie pan...

-Na litość boską, niech pan spojrzy na fakty! Niech pan spojrzy na to, co się naprawdę wydarzyło - wybuchnął Fassett. - A potem nagle ściszył głos i dotknął dłonią własnej piersi. - Niech pan weźmie na przykład mnie... - powiedział wolno. - Moją żonę zamordowano w Berlinie Wschodnim. Zabito ją tylko dlatego, że była moją żoną. Udzielono mi... stosownej lekcji. Żeby to zrobić, odebrano mi ją. Więc niech mnie pan nie poucza. Ja tam byłem. Pan był wtedy bezpieczny. Teraz i pan narażony jest na niebezpieczeństwo.

Tanner na chwilę osłupiał.

-Co to ma znaczyć?

-To znaczy, że zrobi pan teraz dokładnie to, co zaplanowaliśmy. Zbyt blisko znaleźliśmy się końca całej operacji. Muszę mieć w swoich rękach Omegę.

-Nie może mnie pan zmusić i wie pan o tym!

-Owszem, mogę... Bo jeśli pan się teraz wycofa, jeśli pan ucieknie, odwołam wszystkich agentów z Saddle Valley. Zostanie pan sam jak palec... i bardzo wątpię, czy potrafi pan sobie w pojedynkę poradzić.

-Zabieram stąd moją rodzinę...

-Niech pan się puknie w głowę. Omega wykorzystwała nasz prosty błąd logistyczny. To oznacza, że weszła do akcji, niezależnie od tego kimkolwiek są jej agenci. Są szybcy, skuteczni i dokładni. Jakie, według pana, ma pan szanse przeżycia? Jakie szanse przeżycia daje pan swojej rodzinie? Przyznaliśmy się do błędu. Nie popełnimy następnych.

Tanner wiedział, że Fassett ma rację. Jeśli zostanie teraz sam, nie zdoła opanować sytuacji.

-Nie bawi się pan ze mną w chowanego?

-Bawiłby się pan kiedykolwiek w chowanego na polu minowym?

-Chyba nie... Co się zdarzyło dzisiaj po południu?

-Taka jest taktyka terroru. Anonimowa. Na wypadek gdyby okazał się pan czysty. Wiemy dokładnie, co się stało, ale na użytek ciekawskich sfingowaliśmy włamanie. Dopóki nie będzie po wszystkim, usunęliśmy z domu niektóre wasze rzeczy: niewielkie rozmiarami, takie jak na przykład biżuteria.

-

-Co oznacza, że ja również mam powtarzać wszystkim bajeczkę o włamywaczach.

-Oczywiście. Tak jest najbezpieczniej.

-Tak... oczywiście. - Tanner sięgnął do kieszeni po papierosa. Zadzwoił telefon i Fassett podniósł słuchawkę.

Przez chwilę rozmawiał cicho, a potem odwrócił się do Tannera.

-Pańska rodzina wróciła do domu - powiedział. - Nic im nie jest. Są wciąż przestraszeni, ale zdrowi. Kilku naszych ludzi porządkuje dom. Panuje tam niezły rozgardiasz. Próbują zebrać jakieś odciski palców. Okaze się jednak oczywiście, że złodzieje byli w rękawiczkach. Pańskiej żonie powiedzieliśmy, że wciąż składa pan zeznania na posterunku.

-Rozumiem.

-Chce pan, żebyśmy pana odwieźli?

-Nie... nie, nie chcę. Choć domyślam się, że i tak będziecie mnie śledzić.

-Bardziej odpowiednim słowem byłoby chyba "ochraniać".

1 Tanner zająchał pod miejscowy pub, jedyny modny lokal w Saddle Valley. Wszedł do środka i zadzwonił do Tremayne'ow.

-Ginny, tu John. Chciałbym rozmawiać z Dickiem. Jest w domu?

-John Tanner? - Dlaczego tak się zdziwiła? Dlaczego dodała do imienia nazwisko? Znała przecież jego głos.

-Tak. Możesz poprosić Dicka?

-Nie... oczywiście, że nie. Jest w biurze. A o co chodzi?

-Nic ważnego.

-Nie możesz mi powiedzieć?

-Potrzebuję po prostu drobnej porady prawnej. Spróbuję złapać go w biurze. Cześć. - Tanner zdawał sobie sprawę, że źle to rozegrał. Zachował się niezręcznie. Ale to samo można było powiedzieć o Virginii Tremayne. Wykręcił kierunkowy Nowego Jorku.

- Przykro mi, panie Tanner. Pan Tremayne wyjechał na Long Island. Bierze udział w konferencji.

- To pilne. Pod jakim numerem mogę go zastać?

Sekretarka Tremayne'a niechętnie podała mu numer telefonu. Wykręcił go.

- Przykro mi, pana Tremayne'a u nas nie ma.

-W jego biurze poinformowano mnie, że uczestniczy u was w jakiejś konferencji.

-Zadzwoń dzisiaj rano i odwołaj udział. Przykro mi, proszę pana.

Tanner nacisnął widełki i zadzwonił do Cardone'ów.

-Tata i mama wyjechali z domu na cały dzień, wujku Johnie. Powiedzieli, że nie wrócą przed kolacją. Chcesz, żeby do ciebie zadzwonili po powrocie?

-Nie, to nie jest takie ważne...

Poczuł, jak ssie go w żołądku. Wykręcił numer centrali i podał telefonistce niezbędne informacje, łącznie z numerem swojej karty kredytowej. W odległości trzech tysięcy czterystu mil, w Beverly Hills, zadzwonił telefon.

-Tu rezydencja Ostermanów.

-Czy zastałem pana Ostermana?

-Nie ma go. Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni?

-A panią Osterman?

-Nie.

-Kiedy spodziewa się ich pani z powrotem?

-W przyszłym tygodniu. Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni?

-Nazywam się Cardone. Joseph Cardone.

-C-A-R-D-O-N-E.

-Zgadza się. Dokąd pojechali państwo Osterman?

-Wczoraj wieczorem polecili do Nowego Jorku. Lotem o dziesiątej, jeśli się nie mylę.

John Tanner odwiesił słuchawkę. Ostermanowie byli w Nowym Jorku! Wylądowali tu o szóstej rano! Tremayne'owie, Cardone'owie, Ostermanowie. Żadnej pary nie udało mu się zlokalizować. To mógł być każdy z nich. Albo wszyscy. Wszyscy mogli należeć do Omegi!

14

Czwartek, godzina 3.00

Fassett postarał się, żeby wszystko wyglądało bardzo przekonująco. Kiedy Tanner wrócił, dom był uprzątnięty, ale wciąż panował w nim niewielki rozgardiasz. Krzesła nie stały na zwykłych miejscach, dywany i lampy były lekko poprzesuwane; pani domu nie zdążyła jeszcze poustawiać wszystkiego po swojemu.

Alice przyznała, że policja trochę jej pomogła; nawet jeżeli podejrzewała mistyfikację, nie dała po sobie nic poznać.

Ale dla Alice McCall przemoc nie była czymś nowym; w dzieciństwie często oglądała w swoim domu panoszących się policjantów. Przyzwyczyła się nie wpadać w histerię.

Za to jej mąż w najmniejszym stopniu nie był przyzwyczajony do grania powierzonej mu roli. Nie spał już przez drugą noc z rzędu. Zerknął na tarczę wbudowanego w radio zegara; dochodziła trzecia rano, a jemu wciąż nie dawały spokoju złe myśli, nie zamykały się powieki.

To nie miało sensu. Musiał wstać i przejść się po domu; może coś zje, coś przeczyta, zapali papierosa. Zrobi cokolwiek, co pomoże mu przestać myśleć.

Przed pójściem do łóżka wypili wspólnie z Alice kilka kieliszków brandy - o kilka za dużo dla żony, która spała teraz głęboko, zmorzona alkoholem i przeżyciami minionego dnia.

Tanner wstał z łóżka i zszedł na dół. Wałęsał się bez celu po domu; zjadł pozostawione w kuchni resztki melona, przeczytał przysłane pocztą reklamy, przerzucił czasopisma w salonie. W końcu zawędrował do garażu. Wciąż unosił się tu słaby - bardzo słaby odór gazu, którego użyto przeciwko jego żonie i dzieciom. Wrócił do salonu, zapominając zgasić światło w garażu.

Wypaliwszy ostatniego w paczce papierosa, rozejrzał się za następną; bardziej z chęci upewnienia się, że ich nie zabraknie, niż z prawdziwej potrzeby. Przypomnił sobie, że ma cały karton w gabinecie. Kiedy otwierał górną szufladę biurka, usłyszał nagły hałas. Uniósł wzrok.

Ktoś pukał w okno gabinetu; Tanner zobaczył za szybą zataczający kręgi promień latarki.

- To ja, Jenkins, panie Tanner - odezwał się stłumiony głos. -

Niech pan podejdzie do tylnych drzwi.

Uspokojony Tanner kiwnął głową w stronę ciemnej sylwetki za szybą.

-Zasuwka w tych drzwiach jest wyłamana - powiedział Jenkins, stając w progu. - Nie wiemy, jak to się stało.

-Ja ją wyłamałem. Co pan tam robi na dworze?

-Pilnuję, żeby nie powtórzyło się to, co miało miejsce wczoraj po południu. Jest nas czterech. Zaniepokoiło nas, co pan robi. Wszędzie na dole pozapalane są światła. Nawet w garażu. Czy coś się stało? Ktoś do pana zatelefonował?

- Macie chyba na podsłuchu mój telefon.

Jenkins uśmiechnął się i wszedł do kuchni.

-Jak widzę, zdaje pan sobie z tego sprawę. Ale zawsze może się coś zepsuć.

-Nie wydaje mi się. Ma pan ochotę na filiżankę kawy?

-Tylko jeżeli zrobi pan kawę także dla trzech pozostałych. Nie wolno im zejść z posterunku.

-Jasne. - Tanner nalał wody do czajnika. - Może być rozpuszczalna?

-Oczywiście. Dzięki.

Jenkins usiadł przy kuchennym stole, przesuwając dużą policyjną kaburę na bok, żeby mu nie przeszkadzała. Posłał Tannerowi baczne spojrzenie, a potem rozejrzał się po kuchni.

-Cieszę się, że pilnujecie domu. Naprawdę jestem wam wdzięczny. Wiem, że na tym polegają wasze obowiązki, ale mimo to...

-Nie traktujemy tego wyłącznie w kategorii obowiązku. Naprawdę zależy nam, żeby doprowadzić tę sprawę do końca.

14

Czwartek, godzina 3.00

Fassett postarał się, żeby wszystko wyglądało bardzo przekonująco. Kiedy Tanner wrócił, dom był uprzątnięty, ale wciąż panował w nim niewielki rozgardiasz. Krzesła nie stały na zwykłych miejscach, dywany i lampy były lekko poprzesuwane; pani domu nie zdążyła jeszcze poustawić wszystkiego po swojemu.

Alice przyznała, że policja trochę jej pomogła; nawet jeżeli podejrzewała mistyfikację, nie dała po sobie nic poznać.

Ale dla Alice McCall przemoc nie była czymś nowym; w dzieciństwie często oglądała w swoim domu panoszących się policjantów. Przyzwyczała się nie wpadać w histerię.

Za to jej mąż w najmniejszym stopniu nie był przyzwyczajony do grania powierzonej mu roli. Nie spał już przez drugą noc z rzędu. Zerknął na tarczę wbudowanego w radio zegara; dochodziła trzecia rano, a jemu wciąż nie dawały spokoju złe myśli, nie zamykały się powieki.

To nie miało sensu. Musiał wstać i przejść się po domu; może coś zje, coś przeczyta, zapali papierosa.

Zrobi cokolwiek, co pomoże mu przestać myśleć.

Przed pójściem do łóżka wypili wspólnie z Alice kilka kieliszków brandy - o kilka za dużo dla żony, która spała teraz głęboko, zmorzona alkoholem i przeżyciami minionego dnia.

Tanner wstał z łóżka i zszedł na dół. Wałęsał się bez celu po domu; zjadł pozostawione w kuchni resztki melona, przeczytał przysłane pocztą reklamy, przerzucił czasopisma w salonie. W końcu zawędrował

do garażu. Wciąż unosił się tu słaby - bardzo słaby odór gazu, którego użyto przeciwko jego żonie i dzieciom. Wrócił do salonu, zapominając zgasić światło w garażu.

Wypaliwszy ostatniego w paczce papierosa, rozejrzał się za następną; bardziej z chęci upewnienia się, że ich nie zabraknie, niż z prawdziwej potrzeby. Przypomniał sobie, że ma cały karton w gabinecie. Kiedy otwierał górną szufladę biurka, usłyszał nagły hałas. Uniósł wzrok.

Ktoś pukał w okno gabinetu; Tanner zobaczył za szybą zataczający kręgi promień latarki.

- To ja, Jenkins, panie Tanner - odezwał się stłumiony głos. -

Niech pan podejdzie do tylnych drzwi.

Uspokojony Tanner kiwnął głową w stronę ciemnej sylwetki za szybą.

-Zasuwka w tych drzwiach jest wyłamana - powiedział Jenkins, stając w progu. - Nie wiemy, jak to się stało.

-Ja ją wyłamałem. Co pan tam robi na dworze?

-Pilnuję, żeby nie powtórzyło się to, co miało miejsce wczoraj po południu. Jest nas czterech. Zaniepokoiło nas, co pan robi. Wszędzie na dole pozapalane są światła. Nawet w garażu. Czy coś się stało? Ktoś do pana zatelefonował?

- Macie chyba na podsłuchu mój telefon.

Jenkins uśmiechnął się i wszedł do kuchni.

-Jak widzę, zdaje pan sobie z tego sprawę. Ale zawsze może się coś zepsuć.

-Nie wydaje mi się. Ma pan ochotę na filiżankę kawy?

-Tylko jeżeli zrobi pan kawę także dla trzech pozostałych. Nie wolno im zejść z posterunku.

-Jasne. - Tanner nalał wody do czajnika. - Może być rozpuszczalna?

-Oczywiście. Dzięki.

Jenkins usiadł przy kuchennym stole, przesuwając dużą policyjną kaburę na bok, żeby mu nie przeszkadzała. Posłał Tannerowi baczne spojrzenie, a potem rozejrzał się po kuchni.

-Cieszę się, że pilnujecie domu. Naprawdę jestem wam wdzięczny. Wiem, że na tym polegają wasze obowiązki, ale mimo to...

-Nie traktujemy tego wyłącznie w kategorii obowiązku. Naprawdę zależy nam, żeby doprowadzić tę sprawę do końca.

-Miło mi to słyszeć. Ma pan żonę i dzieci?

-Nie, proszę pana, nie mam.

-Myślałem, że jest pan żonaty.

-To mój partner. McDermott.

-Ach, rozumiem... Jest pan tutaj na służbie... niech się zastanowię... od kilku lat. prawda?

-Coś koło tego.

Tanner odwrócił się od kuchenki i popatrzył na Jenkinsa.

-Należy pan do wtajemniczonych?

-Słucham pana?

-Zapytałem, czy należy pan do wtajemniczonych w sprawę. Dzisiaj po południu użył pan nazwy Omega. To oznacza, że pracuje pan dla Fassetta.

-Powiedziałem to, co mi kazano. Spotkałem się, oczywiście, z panem Fassettem.

-Ale nie jest pan zwyczajnym małomiasteczkowym policjantem, prawda?

Jenkins nie zdążył odpowiedzieć. Ktoś nagle krzyknął na dworze. Obaj siedzący w kuchni mężczyźni słyszeli już wcześniej podobny krzyk, Tanner we Francji, Jenkins niedaleko rzeki Yalu w Korei. Taki krzyk wydaje tylko ktoś, komu śmierć zajrzała w oczy.

Jenkins pierwszy dopadł kuchennych drzwi i wybiegł na zewnątrz. Tanner pognął w ślad za nim. Z ciemności wynurzyli się dwaj inni agenci.

- To Ferguson! Ferguson! - odezwał się któryś z nich chrap

liwym głosem. Jenkins okrążył basen i ruszył w kierunku lasu, z którym graniczyła posiadłość Tannera. Dziennikarz potknął się, próbując dotrzymać mu kroku.

Okaleczone ciało leżało w gęstych chaszczach. Agent miał poderżnięte gardło i otwarte szeroko oczy, tak jakby ktoś przebił mu powieki gwoździemi.

- Niech pan się cofnie, panie Tanner! Niech pan tutaj nie patrzy!

Proszę nie podnosić głosu!

Jenkins złapał sparaliżowanego dziennikarza za ramiona i odsunął od zwłok. Po chwili dobiegli do nich z pistoletami w dłoniach dwaj pozostali agenci.

Tanner osunął się na ziemię. Nie mógł powstrzymać drżenia

i poczuł, jak robi mu się niedobrze. Ogarnął go strach, jakiego nie zaznał jeszcze nigdy w życiu.

- Niech pan mnie posłucha - szepnął klękając obok niego

Jenkins. - Ten widok nie był przeznaczony dla pana. Te zwłoki nie mają z panem nic wspólnego! Są pewne reguły i pewne znaki, które znamy tylko my. Śmierć tego człowieka miała być sygnałem dla Fassetta. Nie dla pana.

Dwaj mężczyźni unieśli owinięte w płótno ciało i ruszyli w stronę Orchard Drive. Poruszali się bezszelestnie jak zawodowcy.

- Pańska żona wciąż śpi - powiedział cicho Fasset. - To

dobrze... Chłopiec obudził się i zszedł na dół. McDermott powiedział mu, że robi pan kawę dla naszych ludzi.

Tanner siedział na trawie po drugiej stronie basenu, próbując zrozumieć to, co zdarzyło się w ciągu ostatniej godziny. Stali nad nim Fasset i Jenkins.

- Na litość boską, jak to się mogło stać? - zapytał ledwie słyszalnym szeptem, przyglądając się niosącym ciało mężczyznom.

Fasset przyklęknął obok niego.

-Ktoś zaskoczył go z tyłu.

-Z tyłu?

-Ktoś, kto dobrze zna las graniczący z pańską posiadłością. - Oczy Fassetta spoczęły na Tannerze i dziennikarz wyczuł skierowany pod jego adresem niemy wyrzut.

-To moja wina, prawda?

-Całkiem możliwe. Jenkins zszedł ze swego posterunku. Ubezpieczał Fergusonsona... Dlaczego zszedł pan na dół? Dlaczego pozapalał pan wszystkie światła na parterze?

-Nie mogłem zasnąć. Wstałem z łóżka.

-Światło paliło się także w garażu. Dlaczego pan tam poszedł?

-Nie pamiętam... Nie mogłem przestać myśleć o tym, co się wczoraj zdarzyło.

-Zostawił pan światło w garażu... Potrafię zrozumieć kogoś, kto nie może zasnąć ze zdenerwowania, kto wstaje, zapala papierosa, wypija drinka. Ale nie potrafię zrozumieć, po co ktoś miałby chodzić

do garażu i zostawiać tam zapalone światło... Może pan się gdzieś wybierał, panie Tanner?

- Wybierałem się gdzieś?... Nie, oczywiście, że nie. Gdzie mógłbym się wybierać?

Fasset zerknął na Jenkinsa, który obserwował twarz Tannera w przyćmionym, padającym od strony domu świetle.

-Jest pan tego pewien? - zapytał Jenkins.

-Mój Boże... Myśleliście, że chcę uciec. Myśleliście, że chcę uciec, i przyszliście mnie powstrzymać.

-Niech pan nie podnosi głosu - powiedział prostując się Fasset.

-Myślicie, że bym to zrobił? Myślicie, że choć na jedną minutę opuściłbym swoją rodzinę?

-Mógł pan ich zabrać ze sobą - odparł Jenkins.

-Chryste Panie! Dlatego przyszedł pan pod to okno. Dlatego opuścił pan swój... - Tanner nie był w stanie dokończyć zdania. Zrobiło mu się niedobrze. Zastanawiał się przez chwilę, czy zdąży dobiec do toalety. Podniósł wzrok na dwóch agentów. - Chryste Panie!

-Należało się z czymś takim liczyć - spokojnie powiedział Fasset. - Choć nikt tego pierwotnie nie planował. Ale musi pan to zrozumieć. Zachował się pan nienormalnie. To, co pan zrobił, wykraczało poza pana przyzwyczajenia. Musi pan zwracać uwagę na wszystko, co pan mówi i robi. Nie może pan o tym zapominać. Nigdy.

Tanner niepewnie wstał. Ledwo trzymał się na nogach.

- Nie będzie pan chyba kontynuował akcji? Musi pan ją odwołać!

- Odwołać? Przed chwilą zabito jednego z moich ludzi. Jeśli

odwołamy akcję, nie doczeka pan jutra. Podobnie jak reszta pańskiej rodziny.

W oczach agenta Tanner zobaczył smutek. Z takimi ludźmi się nie dyskutuje. Mówią prawdę.

-Sprawdziliście podejrzanych?

-Tak, zrobiliśmy to.

-Gdzie są?

-Cardone'owie są w domu. Tremayne zatrzymał się w Nowym Jorku; jego żona została tutaj.

-A co z Ostermanami?

-Do tego przejdę później. Niech pan lepiej wraca do środka. Podwoiliśmy patrole.

-Wpierw chcę usłyszeć, co z Ostermanami. Nie ma ich w Kalifornii?

-Wie pan o tym. O szesnastej czterdzieści sześć zadzwonił pan do nich korzystając ze swojej karty kredytowej.

- Gdzie w takim razie są?

Fassett przyjrzał się dziennikarzowi.

-Na pewno zarezerwowali bilety pod innym nazwiskiem - odpowiedział po prostu. - Wiemy, że są gdzieś na terenie Nowego Jorku. Znajdziemy ich.

-Więc to mógł być Osterman.

-Mógł być. Niech pan lepiej wraca do środka. I o nic się nie martwi. Mamy tutaj prawdziwą armię.

Tanner spojrział w stronę lasku, w którym zamordowany został agent. Mimowolnie zadrżał. Fakt, że tak blisko jego domu popełniono brutalną zbrodnię, poraził go. Skinął głową dwóm agentom i ruszył w stronę domu, czując wewnątrz obezwładniającą pustkę.

-Czy Tremayne rzeczywiście jest w mieście? - zapytał po cichu Jenkins.

-Tak. Łyknął parę głębszych i wynajął pokój w Biltmore.

-Czy ktoś go sprawdzał tej nocy?

Fassett przez chwilę przyglądał się znikającemu wewnątrz domu Tannerowi.

-Wcześniej tak - odpowiedział w końcu Jenkinsowi. - Nasz człowiek doniósł, że wszedł do swojego pokoju... prawdopodobnie zalany... trochę po północy. Kazaliśmy mu się wycofać i przejąć z powrotem Tremayne'a o siódmej rano. Coś cię niepokoi?

-Dokładnie nie wiem. Sytuacja byłaby jaśniejsza, gdybyśmy sprawdzili także Cardone'a.

-Sprawdziliśmy go. Jest w domu.

-Zakładamy, że siedzi w domu, ponieważ nie mamy żadnego powodu sądzić, że jest inaczej.

-To znaczy?

- Cardone'owie mieli na kolacji gości. Trzy małżeństwa. Przyjechali wszyscy jednym samochodem z nowojorską rejestracją. Nasi ludzie donieśli, że wyjechali w pośpiechu o wpół do pierwszej w nocy...

Zastanawiam się teraz, czy Cardone przypadkiem się z nimi nie zabrał. Było ciemno. Mógł to zrobić.

- Lepiej sprawdźmy ich ponownie. Jednego i drugiego. Telefon do hotelu Biltmore nie stanowi problemu. Do Cardone'a powinien znowu zadzwonić pan Da Vinci.

Osiemnaście minut później dwaj agenci rządowi siedzieli na przednim siedzeniu zaparkowanego przy Orchard Drive samochodu, kilkaset jardów od domu Tannera.

-Informacja dla pana Fassetta - odezwał się jasno i wyraźnie głos z radia. - Telefon od pana Da Vinci nic nam nie dał. Pani Cardone twierdzi, że jej mąż źle się poczuł; zasnął w pokoju gościnnym, a ona nie chce go budzić. Odłożyła słuchawkę. W hotelu Biltmore oświadczono nam, że pokój sto dwadzieścia jeden jest pusty. Tremayne nawet na chwilę nie położył się do łóżka.

-Dziękuję, Nowy Jork - odparł Laurence Fassett i przycisnął wyłącznik radia. - Potrafisz sobie wyobrazić - powiedział, zwracając się do Jenkinsa - człowieka pokroju Cardone'a, który nie przyjmuje telefonu o wpół do piątej rano? Telefonu od pana Da Vinci?

-Nie ma go w domu.

-Podobnie jak Tremayne'a.

Czwartek, godzina 6.40

Fassett pozwolił mu nie iść w czwartek do pracy. Tannerowi nie potrzebne było zresztą specjalne pozwolenie; nie wyciągnęłoby go tego dnia z domu. Agent CIA zapowiedział także, że skontaktuje się z nim rano i przedstawi, jakie środki bezpieczeństwa przedsięwzięto w celu lepszej ochrony jego rodziny.

Tanner założył spodnie khaki i zszedł na dół, trzymając tenisówki i koszulę w ręku. Spojrzał na kuchenny zegar; była za dwadzieścia siódma. Dzieci powinny leżeć w łózkach jeszcze przynajmniej przez półtorej godziny. Alice, przy odrobinie szczęścia, będzie spała do wpół do dziesiątej albo dziesiątej.

Zastanawiał się, ilu ludzi może znajdować się na zewnątrz. Fassett twierdził, że jest ich cała armia, ale czy armia stanowiła wystarczające zabezpieczenie przed Omegą? Czy armia przydała się na coś ukrytemu w lesie agentowi o wpół do czwartej nad ranem? Było zbyt wiele możliwości. Zbyt wiele okazji. Fassett powinien to sobie w końcu uświadomić. To wszystko zaszło zbyt daleko. Jeśli te nedorzecznosci były prawdą, jeśli Ostermanowie, Cardone'owie i Tremayne'owie naprawdę wchodzili w skład Omegi, nie mógł tak po prostu powitać ich w progu swego domu. Nie mógł odnosić się do nich tak, jakby nic się nie wydarzyło. To absurd!

Podszedł do kuchennych drzwi i cicho wyszedł na zewnątrz. Będzie chodził po lesie, aż się na kogoś natknie. W ten sposób skontaktuje się z Fassettem.

- Dzień dobry. - To był Jenkins, miał podkrążone po nie

przespanej nocy oczy. Siedział na ziemi zaraz za pierwszą linią drzew, niewidoczny z domu, a nawet z basenu.

- Witam. Nie zamierza pan w ogóle spać?

- Schodzę z posterunku o ósmej. To już niedługo. A co z panem? Marnie pan wygląda.

- Chcę się zobaczyć z Fassettem. Muszę się z nim spotkać, zanim podejmie jakieś dalsze decyzje.

Policjant spojrział na zegarek.

- Miał do pana zadzwonić zaraz po otrzymaniu od nas meldunku, że pan wstał. Chyba nie spodziewał się, że nastąpi to tak wcześnie. Ale może to i lepiej. Proszę chwilę zaczekać.

Jenkins cofnął się kilka kroków w głąb lasu i po chwili wrócił z zapakowanym w płócienną torbę radiem.

- Chodźmy. Pojedziemy samochodem.

- Dlaczego on nie może przyjechać tutaj?

- Spokojnie. Nikt i tak nie dostanie się w pobliże pańskiego domu. Proszę za mną. Sam pan zobaczy.

Jenkins założył sobie torbę z radiem na ramię i ruszył razem z Tannerem świeżo wytyczoną w lesie ścieżką. Agenci rozstawieni byli co trzydzieści, czterdzieści stóp. Leżeli na brzuchu, klęczeli i siedzieli, bacznie obserwując dom - niewidoczni, ale czujni. Na widok Jenkinsa i Tannera każdy z nich wyciągał broń. Jenkins podał radio agentowi, który trzymał wartę na wschodniej flance.

- Zadzwoń do Fassetta - powiedział. - Przekaż mu, że do niego jedziemy.

I en agent zginął, bo morderca zdał sobie sprawę, że dobraliśmy mu się do skóry. Omega przestała być anonimowa i to było nie do przyjęcia. - Fassett pociągnął łyk kawy, wpatrując się w Tannera. - Było to także kolejne ostrzeżenie, ale to nie powinno pana obchodzić.

- Zamordowano go w odległości pięćdziesięciu jardów od mojego domu, od mojej rodziny. To nie może mnie nie obchodzić!

- W porządku... Niech pan spróbuje zrozumieć. Zakładamy, że Omega otrzymała już informacje na pański temat; potwierdziło się, że jest pan zwyczajnym dziennikarzem, nikim więcej. Krążą teraz jak

jastrzębie, wzajemnie się obserwując. Żaden z nich nie wie, czy pozostali nie mają jakichś wspólników, jakichś pomocników. Zabójca - jedna z macek Omegi - prowadził obserwację na własną rękę. Natknął się na naszego agenta i musiał go zabić; nie miał innego wyboru. Nie znał go, nigdy przedtem go nie widział. Wiedział tylko jedno: człowiek, który postawił tam na warcie tego agenta, czeka na jego raport. Gdy go nie otrzyma, będzie się niepokoił. Przyjdzie do lasu i odnajdzie zwłoki. Śmierć agenta będzie stanowić ostrzeżenie właśnie dla niego.

- Nie może pan wiedzieć tego na pewno.

- Nie mamy do czynienia z amatorami. Zabójca wiedział, że ciało musi być usunięte przed świtem. Powiedziałem panu już w Waszyngtonie, że Omega to fanatycy. Odnaleziony w odległości pięćdziesięciu jardów od pańskiego domu trup z poderżniętym gardłem to pomyłka, za którą NKWD każe śmiercią. Jeśli rzeczywiście odpowiedzialna jest Omega. Jeśli nie...

-Skąd pan wie, że ze sobą nie współpracują? Jeżeli Ostermanowie, Cardone'owie i Tremayne'owie w ogóle wchodzi w skład siatki, mogli zaplanować to wspólnie.

-Niemożliwe. Nie kontaktowali się ze sobą od chwili, kiedy dobraliśmy się im do skóry. Przedstawiliśmy im wszystkim... każdemu z osobna... niespójne opowieści, nielogiczne supozycje i półprawdy. Telegramy nadane z Zurychu, telefony z Lizbony, wiadomości, które dostarczyli posłańcy, czekający na nich w ślepych uliczkach. Każde małżeństwo jest zdezorientowane. Żadne nie wie, co robią inni.

Siedzący na krześle przy motelowym oknie agent o nazwisku Cole przyjrzał się uważnie Fassettowi. Wiedział, że to ostatnie stwierdzenie nie było do końca prawdziwe. Na blisko dwanaście godzin stracili z oczu Ostermanów. Agenci zgubili także na trzy oraz na trzy i pół godziny Tremayne'a i Cardone'a. Mimo to, pomyślał Cole, Fassett miał pełne prawo tak powiedzieć.

-Gdzie są Ostermanowie? W nocy, to znaczy nad ranem, przyznał pan, że nie znacie miejsca ich pobytu.

-Odnależliśmy ich. W nowojorskim hotelu. Z tego, co się dowiedzieliśmy, wątpliwe wydaje się, by przebywali w nocy na tym terenie.

-Ale znowu nie ma pan stuprocentowej pewności.

-Powiedziałem, wątpliwe. Niewykluczone.

-I jest pan przekonany, że to musi być ktoś z nich?

-Tak uważamy. Zabójca był prawie na pewno mężczyzną. To, co zrobił, wymagało olbrzymiej siły. Znał lepiej od nas tereny wokół pańskiej posiadłości. A powinien pan wiedzieć, że przez długie tygodnie zapoznawaliśmy się z tym miejscem.

-Na litość boską, niech pan ich w takim razie powstrzyma! Skonfrontuje ich ze sobą. Nie może pan pozwolić, żeby to trwało dalej.

-Kogo mam powstrzymać? - zapytał cicho Fassett.

- Wszystkich! Zginął człowiek!

Fassett odstawił filiżankę.

-Postępując zgodnie z pańską sugestią, co, przyznając, jest dosyć kuszące... niech pan nie zapomina, że zabity był moim agentem... zaprzepaścilibyśmy wszystkie szanse zdemaskowania Omegi, a na dodatek wystawilibyśmy pana i pańską rodzinę na niebezpieczeństwo, którego nie mogę usprawiedliwić.

-Nie możemy być wystawieni na większe niebezpieczeństwo niż to, które nam teraz grozi. Świetnie pan o tym wie.

-W tej chwili nic wam nie grozi. I nie będzie grozić tak długo, jak długo będziecie zachowywać się normalnie. Gdybyśmy teraz wkroczyli, przyznalibyśmy tym samym, że wspólny weekend był pułapką. Nie moglibyśmy jej zastawić bez pańskiej pomocy. Podpisałibyśmy w ten sposób na pana wyrok śmierci.

-Nie rozumiem tego.

-Niech pan mi uwierzy na słowo - oświadczył oschle Fassett. - Omega musi do nas przyjść sama. Nie ma innego wyjścia.

Tanner wpatrywał się uważnie w Fassetta.

- Nie mówi pan całej prawdy... Chce pan powiedzieć, że jest już za późno.

- Bardzo pan spostrzegawczy.

Fassett wziął do ręki filiżankę i podszedł do stołu, na którym stał termos z kawą.

-Został nam tylko jeden dzień. Najwyżej dwa. Do tego czasu na pewno pęknie któreś z ogniów tworzących Omegę. Wystarczy jedno. Jedno przyznanie się do winy i będzie po wszystkim.

-A jedna przemycona do mojego domu laska dynamitu wysadzi nas wszystkich w powietrze.

-Nic takiego się nie wydarzy. Nie dojdzie do żadnego aktu

przemocy. Wymierzonego przeciwko panu. Mówiąc szczerze, pańska osoba nie jest już ważna. Już nie. Będą zainteresowani tylko sobą wzajemnie.

-A co z wczorajszym popołudniem?

-Policja odnotowała to jako włamanie. Z całą pewnością dziwne, ale jednak włamanie. Niech pan się trzyma wersji, w którą wierzy pana żona. Nie musi pan niczemu zaprzeczać.

- Będą wiedzieć, że to kłamstwo. Zarzucą mi to w oczy.

Fassett spojrział na niego chłodno znad termosu.

-Wtedy będziemy mieli w rękę Omegę, prawda? Będziemy wiedzieli, który z nich należy do siatki.

-A co ja mam wtedy robić? Podnieść słuchawkę i zatelefonować do pana? Oni mogą mieć w tej kwestii inne zdanie...

-Będziemy słyszeli każde wypowiedziane w pańskim domu słowo, począwszy od chwili, kiedy pojawi się jutro po południu pański pierwszy gość. Dziś rano odwiedzi pana dwóch monterów, żeby naprawić sprzęt uszkodzony podczas włamania. Zakładając nową antenę, rozmieszczą w całym domu miniaturowe mikrofony. Po przyjeździe pierwszego gościa zostaną one włączone.

-Chce pan, żebym uwierzył, że nie włączy ich pan wcześniej?

-Nie, nie zrobimy tego - wtrącił się Cole. - Nie interesują nas pańskie prywatne sprawy. Wyłącznie bezpieczeństwo.

-Niech pan już lepiej wraca - stwierdził Fassett. - Jenkins wysadzi pana przy południowym skraju pańskiej posiadłości. Nie mógł pan zasnąć i wyszedł pan po prostu na spacer.

Tanner ruszył powoli ku drzwiom. W połowie drogi zatrzymał się i spojrzał po raz ostatni na agenta CIA.

-Sytuacja jest taka sama jak w Waszyngtonie, prawda? -

zapytał. - Nie daję mi pan żadnego wyboru.

Fassett odwrócił się do niego plecami.

-Będziemy w kontakcie. Na pana miejscu odprężyłbym się i poszedł do klubu. Niech pan pogra sobie w tenisa, popływa.

I przestanie o tym bez przerwy myśleć. Lepiej się pan poczuje.

Tanner wpatrywał się w odwrócone do niego plecy. Nie wierzył własnym oczom. Fassett po prostu go spławiał - w sposób, w jaki odprawia się namolnego podwładnego przed odbyciem ważnej konferencji.

-Chodźmy - odezwał się wstając Cole. - Odprowadzę pana do samochodu. - Wyszli na dwór. - Powinien pan chyba wiedzieć - mówił po drodze agent - że śmierć Fergusona skomplikowała Fassettowi całą operację w znacznie większym stopniu, niż panu się wydaje. To zabójstwo było wymierzone przeciwko niemu. To ostrzeżenie.

Dziennikarz przyjrzał się uważnie Cole'owi.

-Co pan przez to rozumie?

-Zawodowcy starej daty posługują się pewnymi określonymi znakami i ten właśnie jest jednym z nich. Pańska osoba nie ma teraz żadnego znaczenia. Fassett jest genialny. Puścił wszystko w ruch i teraz nic nie może ich zatrzymać. Ludzie, z których składa się Omega, zorientowali się, co jest grane. I zaczynają dostrzegać własną bezsilność. Chcą pokazać człowiekowi, który jest za to odpowiedzialny, że jeszcze wrócą. Wcześniej czy później. Poderżnięte gardło oznacza masakerę, panie Tanner. Zamordowali już jego żonę. Teraz ma trójkę dzieci, o które musi się troszczyć.

Tanner poczuł, jak znowu robi mu się niedobrze.

-W jakim wy żyjecie świecie? - zapytał.

-W tym samym co pan.

16

Czwartek, godzina 10.15

1 ego czwartkowego ranka Alice obudziła się kwadrans po dziesiątej. W pierwszej chwili nie chciała w ogóle wstawać z łóżka. Słyszała klójące się na dole dzieci i cierpliwy głos uspokajającego je męża. Uderzyło ją, z jaką wielką delikatnością okazuje swoją troskę. Całkiem niezłe, jeśli się wzięło pod uwagę, ile lat byli po ślubie.

Być może jej mąż nie był taki szybki i efektowny jak Dick Tremayne, tak wpływowy jak Joe Cardone ani tak błyskotliwy i dowcipny jak Bernie Osterman, ale za nic w świecie nie zamieniłaby się miejscami z Ginny, Betty ani Leilą. Nawet gdyby miała zaczynać wszystko od początku, poczekałaby na Johna Tannera albo kogoś takiego jak on. Był kimś wyjątkowym. Chciał się wszystkim dzielić, taką miał wewnętrzną potrzebę. Nie można było tego powiedzieć o innych. Nawet o Bernieem, chociaż najbardziej przypominał Johna. Nawet Bernie miał według Leili swoje małe sekrety.

Z początku Alice myślała, że otwartość męża wynikała po prostu z tego, że było mu jej żal. Ponieważ naprawdę zasługiwała na litość - zdawała sobie z tego jasno sprawę. Przez całe życie przed spotkaniem

Johna Tannera albo przed kimś uciekała, albo szukała azylu. Jej ojciec, domorosły naprawiacz wad tego świata, nigdzie nie zagrzebał dłużej miejsca. Był kimś w rodzaju współczesnego Johna Browna. Gazety uznały go w końcu za szaleńca. A policja z Los Angeles w końcu go zabiła. Pamiętała słowa komunikatu.

Los Angeles, 10 lutego 1945. W dniu dzisiejszym został zabity Jason McCall, którego władze posądzały o pozostawianie na żołądź komunistów. Stało się to w chwili, gdy McCall wyszedł ze swojej siedziby w kanionie, wymachując przedmiotem przypominającym broń palną. Policja Los Angeles, działając w porozumieniu z agentami FBI, odkryła miejsce przebywania McCalla po długim dochodzeniu...

Policjanci z Los Angeles, działając w porozumieniu z agentami Federalnego Biura Śledczego, nie zadali sobie jednak trudu, by ustalić, że przedmiot przypominający broń palną był w istocie zakrzywionym kawałkiem metalu, który McCall nazywał swoim "lemieszem".

Na swoje szczęście Alice była wtedy u ciotki w Pasadenie. Spotkała się z młodym studentem dziennikarstwa, Johnem Tannerem, podczas publicznego śledztwa, które zarządziły władze Los Angeles w sprawie śmierci jej ojca. Niepotrzebny był im nowy męczennik. Chodziło o to, aby ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, że śmierć McCalla nie była popełnionym z zimną krwią morderstwem.

Którym oczywiście była.

Młody dziennikarz, który dopiero co wrócił z frontu, wiedział o tym i wcale tego nie krył. I chociaż jego artykuł niewiele pomógł rodzinie McCallów, Tanner dzięki niemu poznał bliżej pograżoną w rozpacz i zdezorientowaną dziewczynę, która później została jego żoną.

Alice przestała wspominać i obróciła się na brzuch. To wszystko należało do przeszłości. Teraz żyje w świecie, o którym zawsze marzyła.

Po kilku minutach usłyszała dobiegające z holu na dole dziwne męskie głosy. Usiadła na łóżku i w tej samej chwili drzwi otworzyły się i do sypialni wszedł jej mąż. Uśmiechnął się i pochylił, całując ją lekko w czoło. Mimo widniejącej na jego twarzy pogodnej miny wyczuła w nim jakieś napięcie.

-Kto jest na dole? - zapytała.

-Monterzy telewizyjni. Instalują z powrotem odbiorniki, ale okazało się, że coś jest nie w porządku z anteną. Muszą zlokalizować miejsce, w którym się obluźowała.

-Co oznacza, że muszę wstać.

-Tak. W przeciwnym razie ryzykowałbym, że zobaczy cię w łóżku dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn w kombinezonach.

-Ty też kiedyś nosiłeś kombinezon. Pamiętasz? Na ostatnim roku dostałeś tę pracę na stacji benzynowej.

-Pamiętam również, że kiedy wracałem do domu, zsuwał się ze mnie z niepokojącą łatwością. No, wstawaj już.

Rzeczywiście jest spięty, pomyślała; udaje tylko, że panuje nad sytuacją. I nad sobą samym. Ogłosił, że chociaż w czwartki zawalony jest na ogół robotą, tego dnia zostanie w domu.

Wyjaśnienie było proste. Po tym, co stało się wczoraj, bez względu na toczące się śledztwo, nie miał najmniejszego zamiaru opuszczać rodziny. I nie opuści jej aż do ostatecznego wyjaśnienia sprawy.

Zabrał ich do klubu, gdzie wspólnie z Ali zagrali debła ze swoimi sąsiadami, Dorothy i Tomem Scanlanami. Tom cieszył się opinią człowieka do tego stopnia zamożnego, że od dziesięciu lat nie musiał chodzić do pracy.

Ali uderzyła determinacja, z jaką jej mąż starał się wygrać. Słuchała z zakłopotaniem, jak zarzuca Tomowi oszustwo w sprawie autu, i była wprost przerażona, kiedy ostro ściał, mijając piłką o parę cali twarz Dorothy.

Wygrali pierwszy set, a potem drugi. Potem poszli na basen, gdzie John zażądał, by obsługiwali go kelnerzy, co było dość niezwykłą ekstrawagancją. Po południu spotkał McDermotta i nalegał, by ten napił się z nim drinka. McDermott pojawił się w klubie - tak przynajmniej John wyjaśnił żonie - aby zawiadomić jednego z członków, że jego zaparkowany w miasteczku samochód przekroczył znacznie czas wybity na parkometrze.

I za każdym razem, kiedy dzwonił do niego telefon, Tanner biegł do środka klubu. Mógł poprosić, żeby przyniesiono mu aparat do stolika przy basenie, ale nie zrobił tego. Twierdził, że narady z Woodwardem są raczej gorące i woli nie rozmawiać z nim przy ludziach.

Alice nie wierzyła w to. Jej mąż miał wiele zalet i prawdopodobnie największą z nich było to, że nie wytrącały go z równowagi codzienne kłopoty. Ale tego dnia najwyraźniej nie panował nad sobą.

Wrócili na Orchard Drive o ósmej wieczorem. Tanner kazał dzieciom iść do łóżka, ale Alice się zbuntowała.

- Mam tego dosyć - oświadczyła zdecydowanym tonem. Zaciąg-

nęła męża do salonu i przytrzymała go za ramię. - Zachowujesz się irracjonalnie, kochanie. Wiem, co czujesz. Ja czuję to samo, ale ty przez cały dzień wydajesz tylko rozkazy. Zrób to! Zrób tamto! To niepodobne do ciebie.

Tanner przypomniał sobie, co powiedział mu Fassett. Musi pozostać spokojny, musi zachowywać się tak, jak zawsze. Nawet z Alice.

-Przepraszam. To chyba opóźniona reakcja. Ale masz rację. Wybacz.

-Tamta sprawa jest skończona raz na zawsze - dodała, nie całkiem wierząc w jego pospieszne przeprosiny. - To było przerażające, ale teraz wszystko jest z powrotem w porządku. Już po wszystkim.

Chryste Panie, pomyślał Tanner. Dziękowałby Bogu, gdyby to było takie proste.

-Jest już po wszystkim, a ja zachowałem się jak dziecko - przyznał. - A teraz chcę usłyszeć, że moja żona mnie kocha, wypijemy przed snem parę drinków i pójdziemy razem do łóżka. - Pocałował ją lekko w usta. - To jest, proszę pani, najlepszy pomysł, jaki przyszedł mi do głowy w ciągu całego dzisiejszego dnia.

-Musiałeś się nad nim długo zastanawiać - powiedziała z uśmiechem. - Poczekaj na mnie kilka minut. Obiecałam Janet, że przeczytam jej bajkę.

-Co masz zamiar jej przeczytać?

- O Pięknej i Bestii. Przemysł to sobie. - Wysunęła mu się z ramion i dotknęła jego twarzy palcami. - Daj mi dziesięć, no, może piętnaście minut.

Tanner patrzył, jak Alice idzie korytarzem w stronę schodów. Tyle w życiu wycierpiała. Teraz czekała ją jeszcze konfrontacja z Omegą.

Spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po ósmej. Alice powinna zostać na górze przez co najmniej dziesięć minut. Być może nawet dwa razy dłużej. Postanowił zadzwonić do Fassetta do motelu.

To miała być inna rozmowa. Koniec z wydawanymi protekcjonalnym tonem instrukcjami, koniec z kazaniem. Mijał właśnie trzeci dzień - trzy dni trwało już nękanie podejrzanych.

John Tanner domagał się konkretów. Miał do tego prawo.

Fassett z irytacją i zaskoczeniem słuchał precyzyjnych pytań dziennikarza.

-Nie mam czasu dzwonić do pana za każdym razem, kiedy ktoś przechodzi ulicę.

-Żądam odpowiedzi. Weekend zaczyna się jutro i jeśli chce pan, żebym z panem współpracował, musi mi pan powiedzieć, co się wydarzyło. Gdzie się obecnie znajdują? Jakie były ich reakcje? Muszę to wiedzieć.

Przez kilka sekund w słuchawce trwała cisza. Kiedy Fassett odezwał się ponownie, w jego głosie brzmiała rezygnacja.

- Dobrze... Tremayne spędził ostatnią noc w Nowym Jorku.

Mówiłem już o tym, pamięta pan? W hotelu Biltmore spotkał człowieka

o nazwisku Townsend. Townsend jest znanym manipulatorem gier dowym z Zurychu. Cardone pojechał dzisiaj po południu z żoną do Filadelfii. Ona odwiedziła swoją rodzinę w Chestnut Hill, on spotkał się z człowiekiem, o którym wiemy, że jest jednym z przywódców mafii. Godzinę temu wrócili do Saddle Valley. Ostermanowie są w nowojorskim hotelu Plaza. Dzisiaj wieczorem mają zjeść kolację z niejakimi Bronsonami. Bronsonowie są ich starymi przyjaciółmi. Znajdują się także na sporządzonej przez prokuratora generalnego liście podejrzanych o działalność wywrotową.

Fassett przerwał, czekając na reakcję Tannera.

-I żaden z nich nie spotkał się z pozostałymi? Nawet nie zadzwonił? Nie ustalili żadnych planów? Chcę znać prawdę!

-Jeżeli ze sobą rozmawiali, to nie za pośrednictwem telefonów, które kontrolujemy. Innymi słowy, musieliby jednocześnie korzystać z dwu budek telefonicznych, a wiemy, że tego nie robili. Wiemy również, że się nie spotkali... wynika to z prostej inwigilacji. Jeżeli któryś z nich ma jakieś plany, to ułożył je sam, bez porozumienia z innymi... Mówiłem już panu, na tym właśnie opieramy wiarę w powodzenie akcji. To wszystko.

-Wygląda na to, że się ze sobą nie skontaktowali.

-Zgadza się. Do takiego właśnie doszliśmy wniosku.

-Ale nie tego dokładnie oczekiwaliście. Powiedział pan, że wpadną w panikę. Omega powinna już dawno wpaść w panikę.

-Moim zdaniem są spanikowani. Każdy z nich. Oddzielnie. Nasze przewidywania się sprawdziły.

-Co pan przez to, do diabła, rozumie?

-Niech pan pomyśli. Jedno małżeństwo kontaktuje się z wpły-

wowym mafioso. Inne spotyka się z parą, której fanatyzm dorównuje tylko członkom sowieckiego prezydium. Adwokat odbywa niespodziewaną naradę z międzynarodowym aferzystą. To właśnie jest panika. NKWD ma wiele macek. Każdy z nich bliski jest załamania. A my siedzimy z założonymi rękoma.

- Od jutra siedzenie z założonymi rękoma nie będzie już takie łatwe.

-Niech pan zachowuje się naturalnie. Zobacz pan, że funkcjonowanie na dwóch poziomach jest naprawdę całkiem wygodne. Tak jest zawsze. Nic panu nie grozi, nawet jeśli na chwilę przestanie pan grać. Oni są teraz zbyt zajęci sobą. Niech pan pamięta, nie musi pan ukrywać tego, co stało się wczoraj po południu. Niech pan o tym mówi. Będzie agresywny. Niech pan robi i mówi rzeczy, które są w takiej sytuacji normalne.

-Chyba pan nie myśli, że mi uwierzą?

-Nie mają wyboru. Nie rozumie pan tego? Zrobił pan przecież karierę jako wnikliwy reporter. Czy mam panu przypominać, że dochodzenie kończy się, kiedy doprowadzimy do konfrontacji podejrzanych? To reguła stara jak świat.

-A ja mam być tylko niewinnym katalizatorem?

-Niech pan lepiej w to uwierzy. Im bardziej niewinnym, tym pewniejsze szczęśliwe zakończenie.

Tanner zapalił papierosa. Nie mógł dłużej odmawiać racji agentowi CIA. Jego logika była nie do odparcia. Co najważniejsze, w rękach tego chłodnego profesjonalisty znalazło się teraz życie i bezpieczeństwo Alice i dzieciaków.

-W porządku. Powitam ich w progu niczym dawno nie widzianych członków rodziny.

-I o to właśnie chodzi. Jeśli ma pan ochotę, niech pan zadzwoni do nich rano i upewni się, czy przyjeżdżają. Z wyjątkiem, oczywiście, Ostermana. Tak jak zrobiliby pan normalnie... I niech pan pamięta, że bez przerwy tam jesteśmy. Oddaliśmy do pańskiej dyspozycji najbardziej zaawansowaną technologię, jaką posiada największa na świecie firma ochrony. Do pańskiego domu nikt nie przemyci nawet trzy-calowego ostrza.

-Taki jest pan tego pewien?

-Gdyby znalazło się w czyjejs kieszeni, natychmiast byśmy

o tym wiedzieli. Czterocalowy damski rewolwer sprawi, że w ciągu sześćdziesięciu sekund wygarniemy wszystkich na zewnątrz.

Tanner odłożył słuchawkę i zaciągnął się głęboko papierosem. Kiedy zdejmował dłoń z aparatu, miał uczucie - dotkliwie fizyczne uczucie - że się z kimś rozstaje, odjeżdża, zanurza w otchłań.

To było dziwne - opanowało go bolesne poczucie samotności.

Kiedy zdał sobie sprawę z jego charakteru, przeraził się.

Jego wewnętrzny spokój zależał teraz od człowieka o nazwisku Fassett. Znajdował się całkowicie pod jego kontrolą.

CZEŚĆ TRZECIA
WEEKEND

17

Taksówka zajechała pod dom Tannera. Pies Johna, chudy walijski terier, biegał w kółko po podjeździe, szczekając piskliwie przy każdym nawrocie, czekając, aż ktoś wyjdzie na spotkanie gości. Janet wybiegła na trawnik. Drzwi taksówki otworzyły się i wysiedli z niej Ostermanowie. Oboje nieśli opakowane elegancko prezenty. Kierowca wyjął z bagażnika dużą walizkę.

Tanner obserwował obojga z wnętrza domu: Berniego, ubranego w jasnoniebieskie spodnie i drogą, modnie skrojoną marynarkę z Palm Beach; i Leilę - w białym żakiecie, spiętym w pasie złotym łańcuszkiem, spódniczce, która sięgała jej wysoko nad kolana, oraz miękkim kapeluszu z szerokim rondem, który ocieniał lewą połowę twarzy. Oboje stanowili żywy obraz kalifornijskiego sukcesu. Mimo to w pozie Berniego i Leili było coś wystudiowanego; w świat prawdziwych pieniędzy wkroczyli dopiero przed dziewięciu laty.

A może cały ich sukces jest tylko fasadą, pomyślał Tanner, obserwując Ostermanów, którzy pochylili się, żeby uściskać jego córkę. Może od wielu lat żyli w świecie, w którym scenariusze i plany zdjęciowe były

czymś drugorzędnym - stanowiły, jak powiedziała Fasset, dobrą przykrywkę dla ich prawdziwej działalności.

Tanner spojrział na zegarek. Dwie minuty po piątej. Ostermanowie przyjechali wcześniej, niż powinni. Może popełnili w ten sposób swój pierwszy błąd? A może po prostu nie spodziewali się go zastać. Zawsze kiedy przyjeżdżali, wychodził ze studia wcześniej, ale mimo to rzadko udawało mu się wrócić do domu przed wpół do szóstej. Leila wyraźnie

napisała w liście, że ich samolot z Los Angeles wylądował na lotnisku Kennedy'ego około piątej. Opóźnienie byłoby zrozumiałe, normalne. Ale kto kiedyś słyszał o samolocie, który przylatuje godzinę wcześniej? Musieli przygotować jakieś wyjaśnienie. A może nie sądzili, że będzie im potrzebne?

-Johnny! Na litość boską! - W drzwiach kuchni pojawiła się Alice. - Usłyszałam chyba szczekanie psa. To Bernie i Leila. Na co tutaj czekasz?

-Och, przepraszam... chciałem po prostu dać Janet trochę czasu, żeby się nimi nacieszyła.

-Wyjdź na dwór, głuptasie. Nastawię tylko zegar.

Ali zawróciła do kuchni, a Tanner zbliżył się do drzwi wejściowych. Wbił wzrok w mosiężną klamkę, czując się tak, jak jego zdaniem może czuć się aktor przed zagranieniem trudnej roli. Nie miał pojęcia, jak wypadnie.

Zwilżył językiem usta i przesunął wierzchem dłoni po czole. Ostrożnie przekreślił klamkę i uchylił szybko wewnętrzne drzwi, a potem otworzył drugie, aluminiowe i wyszedł na zewnątrz.

Zaczął się weekend z Ostermanem.

-Czołem, mistrzowie pióra! - zawołał, uśmiechając się szeroko. Tak ich na ogół witał; Bernie uważał, że w ten sposób wyświadcza im prawdziwy zaszczyt.

-Johnny!

-Cześć, kochanie!

Oddaleni o trzydzieści jardów pozdrawiali go głośno i posyłali szerokie uśmiechy - a jednak nawet z tej odległości John Tanner widział, że ich oczy się nie śmieją. Szukali oczyma jego wzroku - trwało to krótko, ale nie mogło być mowy o pomyłce. Na ułamek sekundy Bernie przestał się uśmiechać: cała jego twarz zastygła w bezruchu.

Po chwili wszystko wróciło do normy. Tak jakby zawarli cichą umowę, żeby nie zdradzać nurtujących ich myśli.

- John, strasznie się cieszę, że cię widzę! - zawołała Leila, ruszając w jego stronę przez trawnik.

Rzuciła mu się na szyję i Tanner uświadomił sobie, że odwzajemnia z uczuciem jej uścisk, mimo że nie tak dawno wątpił, czy zdoła podać jej rękę. Zgadywał dlaczego. Przeszedł pomyślnie pierwszy sprawdzian;

minęły pierwsze sekundy weekendu z Ostermanem. Zaczynał przyznawać w duchu rację Laurence'owi Fassetowi. Możliwe, że jakoś sobie z tym wszystkim poradzi.

Zachowuj się tak jak zawsze, zachowuj się tak, jak zachowywałbyś się normalnie. Nie myśl o niczym innym.

-John, wyglądasz wspaniale, po prostu wspaniale, chłopie!

-Gdzie jest Alice, kochanie? - zapytała Leila, odsuwając się na bok, żeby Bernie mógł go objąć swymi długimi chudymi rękoma.

-W kuchni. Pilnuje, żeby się nie przypaliła potrawka. Wchodźcie! Ja wezmę walizkę. Nie, Janet, dziecko, nie dasz rady unieść walizki wujka Berniego.

-Nie rozumiem dlaczego - zaśmiał się Bernie. - W środku jest tylko parę ręczników z Plaza.

-Z Plaza? - Tanner nie potrafił ukryć zaskoczenia. - Myślałem, że dopiero co przylecieliście.

Osterman rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Nie... Przylecieliśmy przed kilkoma dniami. Opowiem ci potem...

W jakiś dziwny sposób wszystko przypominało stare dobre czasy i Tanner był zdumiony, że bez protestu przyjmuje to do wiadomości. Wciąż czuli coś w rodzaju ulgi, przyglądając się sobie wzajemnie, wiedząc, że czas i odległość nie mają znaczenia dla ich przyjaźni. Wciąż czuli, że mogą podjąć przerwany przed wielu miesiącami temat, spuentować dowcip, zakończyć anegdotę. No i wciąż był z nimi Bernie; delikatny mądry Bernie ze swoimi wypowiedzianymi cichym głosem bezlitosnymi uwagami na temat otoczonego palmami supermarketu. Bezlitosnymi, ale nigdy protekcjonalnymi; z absurdów świata telewizji Bernie śmiał się równie głośno co z siebie, bo był to przecież także jego świat.

Tanner przypomniał sobie słowa Fassetta.

Zobaczy pan, że funkcjonowanie na dwóch poziomach jest naprawdę całkiem wygodne. Tak jest zawsze.

Ponownie Fasset miał rację... Tanner bez przerwy włączał się i wyłączał; włączał się i wyłączał.

Uderzyło go, że Leila bez przerwy wpatruje się to w niego, to w męża. Kiedy raz odwzajemnił jej spojrzenie, spuściła oczy jak skarczone dziecko.

W gabinecie zadzwonił telefon. Wszyscy oprócz Alicji prawie podskoczyli na dźwięk dzwonka. Na stoliku przy sofie stał drugi aparat, ale John zignorował go i mijając Ostermanów wyszedł z salonu.

- Odbiorę u siebie - powiedział. - To na pewno ze studia.

Już w gabinecie usłyszał ściszy głos Leili.

- Kochanie - mówiła do Alice - Johnny wydaje się jakiś spięty.

Czy coś się stało? Bernie nie daje nikomu dojść do słowa.

- Spięty to mało powiedziane! Powinnaś była widzieć go wczoraj!

Telefon znowu zadzwonił; Tanner wiedział, że nie powinien dłużej zwlekać z podniesieniem słuchawki. Jednocześnie jednak chciał usłyszeć, jak zareagują Ostermanowie na opowieść Alice o środowym horrorze.

Zdecydował się na kompromis. Podniósł słuchawkę, przycisnął ją do boku i przysłuchiwał się przez kilka sekund trwającej w salonie rozmowie.

Coś zwróciło jego uwagę. Bernie i Leila zareagowali na słowa Ali zbyt szybko. Tak jakby z góry spodziewali się, co powie. Zadawali jej pytania, zanim jeszcze skończyła mówić. Musieli coś wiedzieć!

-Halo? Halo! Halo! - Poirytowany głos po drugiej stronie linii należał do Cardone'a.

-To ty, Joe? Przepraszam, upadła mi słuchawka...

-Nie słyszałem żadnego stuku.

-Bardzo miękkie, bardzo drogie dywany.

-Niby gdzie? W tym twoim wyłożonym klepką gabinecie?

-Daj spokój, Joe.

-Przepraszam... Miałem dzisiaj w mieście paskudny dzień. Ceny lecą na łeb na szyję.

-Teraz już lepiej. Teraz mówisz jak ten pogodny, miły facet, na którego czekamy.

-To znaczy, że wszyscy już są?

-Nie. Tylko Bernie i Leila.

-Wcześniej się pojawili. Wydawało mi się, że ich samolot ląduje o piątej.

-Przylecieli parę dni temu.

Cardone chciał coś powiedzieć, ale nagle przerwał w połowie słowa, tak jakby nie mógł złapać oddechu.

-Dziwne, że nie zadzwonili. To znaczy, że się ze mną nie skontaktowali. Wiedziałeś, że tu są?

-Nie. Załatwiali chyba jakieś interesy.

-Jasne, ale powinni chyba... - Cardone ponownie przerwał w połowie zdania. Tanner zastanawiał się, czy jego zaskoczenie nie jest udawane; czy Joe nie chce go w ten sposób przekonać, że nie spotkał się z Bernie ani z nim nie rozmawiał.

-Bernie prawdopodobnie o wszystkim nam opowie.

-Jasne... - odparł Cardone, tak jakby go w ogóle nie słuchał. - Chciałem tylko powiedzieć, że trochę się spóźnimy. Wezmę szybko prysznic i jedziemy.

-Do zobaczenia. - Tanner odłożył słuchawkę, zdumiony własnym spokojem. Uświadomił sobie, że przez cały czas kontrolował tę rozmowę. Kontrolował ją. Musiał to robić. Cardone był człowiekiem nerwowym i nie zadzwonił bynajmniej, żeby uprzedzić o swoim spóźnieniu. Prawdę mówiąc, wcale nie był spóźniony.

Zadzwonił, żeby zorientować się, czy przyjechali inni. Względnie czy w ogóle przyjadą.

Tanner wrócił do salonu i usiadł w fotelu.

-Kochanie! Alice właśnie nam opowiedziała. To okropne! Naprawdę straszne!

-Mój Boże, John! Co za potworna historia! I policja uznała to za włamanie?

-Podobnie jak "The New York Times". Wydaje mi się, że tak brzmi w związku z tym wersja oficjalna.

-Nie widziałem w "Timesie" żadnej wzmianki - oświadczył zdecydowanym tonem Bernie.

-Zamieścili tylko kilka linijek na jednej z ostatnich stron. Więcej napisze o tym nasza lokalna gazeta w przyszłym tygodniu.

-Nigdy nie słyszałam o podobnym włamaniu - stwierdziła Leila. - Ja osobiście nie wierzyłabym we wszystko, co mówi policja. Naprawdę.

-No nie wiem - powiedział, spoglądając na nią, Bernie. - Właściwie to bardzo sprytne. Nie zostawili żadnych śladów i nie zrobili nikomu krzywdy.

-Nie rozumiem tylko, dlaczego nie zostawili nas po prostu w garażu - oświadczyła Ali, zwracając się do męża. To było pytanie, na które nie udzielił jej dotąd satysfakcjonującej odpowiedzi.

-Czy policja powiedziała dlaczego? - zapytał Bernie.

-Powiedzieli, że gaz nie był zbyt mocny. Złodzieje nie chcieli, żeby Alice albo dzieciaki wyszły z garażu i zobaczyły, jak odjeżdżają. Profesjonalna robota.

-Dla mnie to trochę przerażające - skomentowała Leila. - Jak przeżyły to dzieci?

-Ray został oczywiście kimś w rodzaju miejscowego bohatera - odparła Alice. - A Janet nadal nie zdaje sobie chyba do końca sprawy, co się wydarzyło.

-A gdzie się w ogóle podział Ray? Mam nadzieję - dodał Bernie, wskazując na leżącą w holu paczkę - że nie jest za stary, żeby bawić się modelami samolotów. Tym można kierować za pomocą radia.

-Będzie wniebowzięty - powiedziała Alice. - Jest w piwnicy. John przekazuje mu...

-Nie, jest na zewnątrz. W basenie. - Tanner zdał sobie sprawę, że przerywając w tak ostry sposób i korygując żonę ściągnął na siebie spojrzenie Berniego. Nawet Alice była zdumiona kategorycznym tonem jego głosu.

Trudno, niech będzie, pomyślał. Niech wszyscy wiedzą, że ojciec czuwa, że przez cały czas wie, gdzie znajdują się jego dzieci!

Rozległo się szczenie psa, a potem usłyszeli wjeżdżający na podjazd samochód. Ali podeszła do okna.

-To Dick i Ginny. A Ray wcale nie jest w basenie - dodała, uśmiechając się do Johna. - Stoї przed domem i wita gości.

-Musiał usłyszeć warkot samochodu - stwierdziła Leila, choć nikt jej o to nie pytał.

Tanner zastanawiał się, dlaczego to powiedziała; zabrzmiało to tak, jakby występowała w jego obronie. Podeszedł do frontowych drzwi i otworzył je.

- Chodź, synku. Są tutaj jeszcze inni twoi przyjaciele.

Na widok Ostermanów chłopcu zaświeciły się oczy. Bernie i Leila nigdy nie przyjeżdżali z pustymi rękoma.

-Dzień dobry, ciociu Leilo, dzień dobry, wujku Bernie. - Raymond Tanner, lat dwanaście, dał się wyściskać Leili, a potem trochę nieśmiało wymienił męski uścisk dłoni z Berniem.

-Przywieźliśmy ci pewien mały drobiazg. Prawdę mówiąc, sugestię, co to ma być, dał twój kumpel, Merv. - Bernie przeszedł przez hol i podniósł leżącą na półce paczkę. - Mam nadzieję, że ci się spodoba.

- Dziękuję bardzo. - Chłopiec złapał prezent i pobiegł do alni, żeby go rozpakować.

Do holu weszła Virginia Tremayne - uosobienie chłodnej zmysłowości. Ubrana była w prostą, męską w stylu koszulę w różnokolorowe paski i obcisłą spódniczkę z dzianiny, która podkreślała ruchy jej ciała. Niektóre mieszkanki Saddle Valley miały Ginny za zły sposób, w jaki się ubiera. Tutaj ich jednak nie było. Ginny była równą babką.

- Powtórzyłam Dickowi, że dzwoniłeś do niego w środę - zwróciła się do Tannera - ale on twierdzi, że się z nim nie skontaktowałeś. Biedaka osaczyli na sali konferencyjnej jacyś okropni finansisci z Cincinnati, Cleveland, czy jeszcze skądś indziej... Leila, skarbie! Bernie, kochany! - Ginny dotknęła ustami policzka Tannera i ruszyła dalej, omijając go tanecznym krokiem.

Do holu wszedł Richard Tremayne. Wbił wzrok w obróconego do niego tyłem Tannera i to, co zobaczył, najwyraźniej mu się spodobało.

Tanner poczuł jego wzrok na plecach i trochę zbyt szybko się obejrzał. Tremayne nie miał czasu uciec oczyma w bok. Jego mina przypominała dziennikarzowi wyraz twarzy studiującego historię lekarza. Przez ułamek sekundy obaj mężczyźni przyglądali się sobie w milczeniu, przyznając mimo woli, że coś przed sobą kryją. A potem wszystko wróciło do normy, tak jak to się stało wcześniej po przyjeździe Ostermanów. Żaden z nich nie odważył się odkryć kart.

-Cześć, John. Żałuję, że nie udało ci się ze mną skontaktować. Ginny wspominała, że chodziło ci zdaje się o poradę prawną.

-Sądziłem, że już o tym czytałeś.

-O czym, na litość boską?

-Nowojorskie gazety nie poświęciły nam co prawda zbyt wiele uwagi, ale poczekaj, aż przeczytasz poniedziałkowe wydanie naszego tygodnika. Zostaniemy lokalnymi sławami.

-O czym, do diabła, mówisz?

-Obrabowano nas. W środę. Obrabowano, porwano, uśpiono chloroformem i Bóg jeden wie, co jeszcze!

-Chyba żartujesz?

-Niech go diabli, jeśli to robi - stwierdził, wchodząc do holu, Osterman. - Jak się masz, Dick?

-Bernie! Co u ciebie słysząc, stary byku! - Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, ale Tremayne najwyraźniej nie mógł oderwać oczu od Johna Tannera.

-Słyszałeś, co on opowiada? Słyszałeś? Co się stało, na litość boską? Od wtorku siedziałem w mieście. Nie miałem nawet czasu zajrzeć do domu.

-Wszystko wam opowiemy. Później. Teraz zrobię drinki. - Tanner oddalił się od nich szybkim krokiem. Nie mógł się mylić co do Tremayne'a. Adwokat był nie tylko wstrząśnięty tym, co usłyszał, ale wyraźnie przerażony. Do tego stopnia, że zaraz pospieszył z zapewnieniem, iż od wtorku nie było go w Saddle Valley. Zrobił drinki dla Tremayne'ów i przeszedł do kuchni, żeby rzucić okiem na basen i rosnący za nim las. Chociaż nie było nikogo widać, wiedział, że cały teren naszpikowany jest agentami. Ludźmi z lornetkami, krótkofalówkami i być może małymi odbiornikami, dzięki którym słyszeli każde wypowiedziane w tym domu słowo.

-Hej, John, ja nie żartuję. - To był Tremayne. Zawędrował za nim do kuchni. - Jak Boga kocham, o niczym nie słyszałem. Mam na myśli to, co się tutaj stało w środę. Dlaczego, do diabła, się ze mną nie skontaktowałeś?

-Próbowałem. Zadzwoiłem nawet pod ten numer na Long Island. Chyba w Oyster Bay.

-Cholera! Mówisz, jakbyś mnie nie znał. Ty albo Alice powinniście powiedzieć Ginny, co się stało. Wyszedłbym z tej pieprzonej konferencji, chyba nie masz co do tego żadnych wątpliwości!

-Sprawa jest i tak nieaktualna. Zrobiłem ci drinka.

Tremayne podniósł szklanekę do ust. Miał mocną głowę. Pijąc łeb w łeb potrafił upić każdego z nich do nieprzytomności.

-Nie możesz tego tak zostawić. W jakiej konkretnie sprawie dzwoniłeś?

To głupie, uświadomił sobie Tanner, ale w ogóle nie był przygotowany na to pytanie.

-Nie podobał mi się... nie podobał mi się sposób, w jaki zajęła się tą sprawą policja.

-Policja? Ten grubas, MacAuliff?

-W ogóle nie miałem do czynienia z kapitanem MacAuliffem.

-Nie złożyłeś zeznań?

-Nie... to znaczy, tak, złożyłem. Na ręce Jenkinsa i McDermotta.

-A gdzie, do diabła, podziewał się ich szef?

-Nie wiem. Nie było go na posterunku.

-No dobrze, MacAuliffa nie było. Powiadasz, że zajęli się tym Jenkins i McDermott. Alice mówiła, że to oni właśnie was znaleźli.

-Tak. I o to właśnie miałem pretensję.

-O co?

-Po prostu nie podobał mi się sposób, w jaki się do tego zabrali. Nie podobał mi się wtedy, w środę. Teraz już ochłonałem. Byłem wtedy cały rozgorączkowany, dlatego próbowałem się do ciebie dodzwonić.

-Ale co im zarzucasz? Zaniedbanie obowiązków? Naruszenie praw? Co konkretnie?

-Nie wiem, Dick! Wpadłem po prostu w panikę, to wszystko. Kiedy człowiek wpada w panikę, dzwoni do adwokata.

-Ja nie. Ja przygotowuję sobie drinka. - Tremayne nie spuszczał z oczu Tannera, który w końcu mimowolnie zamrugał - jak mały chłopczyk, który nie potrafi wytrzymać dłużej wzroku przeciwnika.

-Teraz jest już po wszystkim. Wracajmy do salonu.

-Może powinniśmy o tym jeszcze później porozmawiać. Może rzeczywiście masz jakiś powód, żeby złożyć zażalenie. Ja go w każdym razie nie widzę.

Tanner wzruszył ramionami, wiedząc, że w rzeczywistości Dick wcale nie ma ochoty wracać do sprawy. Adwokat był najwyraźniej przestraszony - strach powstrzymywał jego profesjonalną dociekliwość. Wychodząc do salonu Tanner nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Tremayne mówi prawdę, przynajmniej jeśli chodzi o jedno. Nie było go tutaj w środę po południu.

Ale czy na pewno nie wiedział nic o "włamywaczach"?

Minęła szósta, ale Cardone'ów nadal nie było. Nikt o nich nie pytał; godzina minęła szybko i nawet jeśli ktoś się niepokoił, nie dał tego po sobie poznać. Dziesięć po szóstej oczy Tannera przyciągnął przejeżdżający

wolno obok domu samochód. To była taksówka z Saddle Valley. Od czarnego lakieru odbijały się promienie słońca, rzucając w ich stronę nieregularne ostre błyski. Przez chwilę

zobaczył przylepioną do tylnej szyby twarz Cardone'a. Joe chciał się upewnić, czy przyjechali wszyscy goście. Albo czy jeszcze wszyscy są. Trzy kwadransy później na podjazd wjechał Cadillac Cardone'ów. Kiedy goście weszli do domu, nie sposób było nie zauważyć, że Joe jest po paru głębszych. Nie sposób, ponieważ Joe nie był właściwie pijakiem i w gruncie rzeczy nie lubił alkoholu. Mimo to jego głos brzmiał donośniej niż zwykle.

- Bernie! Leila! Witajcie w sercu wschodniego establishmentu!

Betty Cardone, sztywna, grubokoścista, anglikańska Betty, przyłączyła się, nie tracąc przy tym dobrych manier, do rozentuzjzmowanego męża i cała czwórka wymieniła serdeczne uściski.

-Betty, wyglądasz uroczo - oświadczyła Leila. - A z ciebie, Joe, istny okaz zdrowia! Jakim cudem mężczyzna może wyglądać tak kwitnąco? Bernie też wybudował przy domu salę gimnastyczną i zobacz, co ja z tego mam!

-Nie naśmiewaj się z mojego Berniego! - Joe objął ramieniem Ostermana.

- Powiedz jej, Joe. - Bernie podszedł do Betty, pytając o dzieci.

W drodze do kuchni Tanner spotkał w holu Alice. Niosła półmisek zakąsek.

- Wszystko jest już gotowe. Możemy zacząć jeść, kiedy tylko będziemy mieli ochotę. Na chwilę z wami przysiadę... Przygotuj mi drinka, dobrze, kochanie?

- Oczywiście. Przyjechali Joe i Betty.

Alice roześmiała się.

-Domyśliłam się... Co się stało, kochanie? Wyglądasz jakoś dziwnie.

-Nie, nic się nie stało. Pomyślałem sobie po prostu, że zadzwonię do studia.

Ali przyjrzała się uważnie mężowi.

- Proszę cię. Są tam wszyscy. Wszyscy nasi najlepsi przyjaciele.

Zabawmy się. Zapomnij o tym, co było w środę, proszę cię, Johnny.

Tanner pochylał się nad półmiskiem i pocałował ją.

- Niepotrzebnie dramatyzujesz - powiedział, przypominając sobie przestrogę Fassetta. - Naprawdę muszę zadzwonić.

Znalazłszy się w kuchni, ponownie podszedł do okna. Minęła siódma i słońce schowało się za wysokimi drzewami. Na trawniku za

domem i na spokojnej tafli basenu kładły się długie cienie. A za tymi cieniami kryli się ludzie Fassetta. To było bardzo ważne.

Jak powiedziała Alice, byli tam wszyscy. Wszyscy jego najlepsi przyjaciele.

Już przyrządzony na ostro gulasz, a także tuzin zakąsek okazały się jak zwykle kulinarnym sukcesem Alice. Kobiety zadawały normalne w takich okolicznościach pytania, a Alice zdradziła im kilka przepisów. Mężczyźni wdali się w normalną sprzeczkę na temat wad i zalet różnych baseballowych drużyn, a Bernie wtrącał co jakiś czas dowcipne i zaskakujące uwagi, odkrywając przed nimi tajemnice hollywoodzkiej telewizji.

Po kolacji Ginny i Betty pomogły Alice posprzątać w jadalni. Tremayne wykorzystał okazję, żeby przycisnąć Tannera do muru.

-Co tu się, do diabła, zdarzyło w środę? Bądź z nami szczerzy. Nie wierzę w tę historyjkę o włamaniu.

-Dlaczego? - zapytał Tanner.

-Nie trzyma się kupy.

-Żaden włamywacz nie posługuje się gazem - dodał Cardone. - Ogłuszają, zawiązują opaski na oczach, strzelają czasami w tył głowy. Ale nie używają gazu.

-Używają coraz bardziej zaawansowanych metod. Jeśli o mnie chodzi, wołę, że posłużyli się gazem, zamiast ogłuszyć ich jakimś ciężkim narzędziem.

-Słuchaj, Johnny. - Osterman przerwał na widok Betty, która wyszła z kuchni, żeby pozbierać pozostałe talerze. Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech. - Czy pracujesz nad jakimś tematem, który mógłby przysporzyć ci wrogów?

-Wydaje mi się, że tak jest zawsze.

-Mam na myśli coś podobnego do afery w San Diego.

Joe Cardone rzucił uważne spojrzenie Ostermanowi. Zastanawiał się, czy Bernie poda jakieś szczegóły. W sprawę San Diego zamieszana była mafia.

- O niczym takim nie wiem. Moi ludzie węższą w wielu miejscach, ale nie słyszałem, żeby kroila się jakaś grubsza afera. Tak mi się

przynajmniej wydaje. Moim najlepszym reporterom zostawiam wolną rękę... Próbujesz powiązać ten napad z moją pracą zawodową?

-Nie przyszło ci to do głowy? - zapytał Tremayne.

-Nie, do diabła! Jestem profesjonalistą. Martwisz się o takie rzeczy, kiedy masz na wokandzie jakąś śmierdzącą sprawę?

-Czasami się martwię.

-Czytałem o tym twoim programie w ostatnią niedzielę - podjął Cardone, siadając na kanapie obok Tremayne'a. - Ralph Ashton ma wysoko postawionych przyjaciół.

-To szalony pomysł.

-Niekoniecznie. - Cardone miał lekkie kłopoty z wymówieniem słowa "niekoniecznie". - Kiedyś go spotkałem. To bardzo mściwy facet.

-Ale nie jest szalony - przerwał Osterman. - Nie, to nie może mieć z nim nic wspólnego.

-Dlaczego w ogóle miałyby mieć z kimś coś wspólnego? Dlaczego uważacie, że to nie było zwykłe włamanie? - Tanner zapalił papierosa, próbując obserwować jednocześnie twarze trzech mężczyzn.

-Ponieważ w ten sposób nie robi się, do jasnej cholery, włamania - oświadczył Cardone.

-Na pewno? - Tremayne przyjrzał się uważnie siedzącemu obok niego na sofie Cardone'owi. - Taki z ciebie ekspert od włamań?

- Nie większy od ciebie, mecenasie - odciął się Joe.

18

w początku weekendu było coś sztucznego; Ali nie mogła tego nie odczuć. Może chodziło o to, że wszyscy przemawiali głośniejsz niż zwykle, może zbyt często rozbrzmiewały wybuchy śmiechu.

Normalnie po przyjeździe Berniego i Leili wszyscy siadali spokojnie w salonie i opowiadali o sprawach rodzinnych. Rozmowy o dzieciach, o tej czy innej decyzji dotyczącej życia zawodowego - te rzeczy zawsze wypełniały pierwsze "godziny. Jej mąż nazywał to syndromem Ostermana. Bernie i Leila wydobywali z nich to, co mieli w sobie najlepszego. Rozmowa stawała się szczerą i autentyczną.

Tym razem nikt nie opowiedział, co ostatnio mu się przydarzyło. Nikt nie zająknął się nawet na temat swoich spraw - wszyscy walczyli tylko bez przerwy nieszczęsny środowy epizod.

Ale Alice pamiętała o tym, że wciąż martwi się o męża - martwi się, że nie poszedł do pracy, że jest nadpobudliwy i dziwnie się zachowuje od środowego popołudnia. Może obserwując innych coś sobie po prostu uroiła.

Pozostałe kobiety dołączyły do swoich mężów; Alice posprzątała w kuchni. Dzieci były już w łóżkach. Nie chciało się jej dłużej słuchać głośnego Betty i Ginny o pokojówkach. O tym, że ją także stać na pomoc! Skoro one mogą je mieć! I tak żadnej nie zatrudni!

Jej ojciec miał wiele pokojówek. Nazywał je swymi uczennicami. Uczennicami, które sprzątały, zamiatały, przynosiły zakupy i...

Matka nazywała je "pokojówkami".

Ali przestała wspominać. Może wypłała po prostu jednego drinka za dużo. Odkręciła kran i spryskała sobie twarz zimną wodą. W kuchennych drzwiach pojawił się nagle Joe Cardone.

-Szef powiedział, że jeśli mam ochotę na drinka, mogę sobie nalać sam. Nie mów mi, gdzie co stoi; znam tę kuchnię jak własną kieszeń.

-Wal prosto do przodu, Joe. Widzisz wszystko, czego potrzebujesz?

-Jasne. Uroczy gin; przepiękny tonik... Hej, co się stało? Płakałaś?

-Dlaczego miałabym płakać? Spryskałam sobie tylko twarz wodą.

-Masz mokre policzki.

- Tak na ogół bywa, kiedy dotknie ich woda.

Joe postawił na stole tonik i podszedł do niej bliżej.

-Czy ty i Johnny wpadliście w jakieś tarapaty? Myślę o tym, co zdarzyło się w środę... dobrze, przyjmijmy, że to było rzeczywiście jakieś kretyńskie włamanie, tak jak twierdzi Johnny... ale jeśli coś się za tym kryje, nie powinnaś tego przede mną tać. Chyba nie zwietrzyły jego krwi rekiny? Gdyby tak było, nie trzymałabyś tego przede mną w tajemnicy, prawda?

-Rekiny?

-Wierzyciele. Kilku moich klientów pracuje w Standard Mutual. Mam nawet trochę akcji. Znam tę firmę. Ty i Johnny żyjecie na niezłym poziomie, ale sześćdziesiąt tysięcy po opodatkowaniu to już nie są te same pieniądze co kiedyś.

Alice Tanner wstrzymała oddech.

-John bardzo dobrze zarabia!

-To sprawa względna. Według mnie, cierpi na typowy syndrom klasy średniej. Nie może związać końca z końcem, ale brakuje mu odwagi, żeby porzucić swoje małe królestwo i spróbować czegoś bardziej lukratywnego. To zresztą jest wyłącznie wasza sprawa. Ale chcę, żebyś mu powiedziała w moim imieniu... Jestem przecież jego przyjacielem. Dobrym przyjacielem. No i jestem czysty. Na sto procent czysty. Powiedz mu, że jeśli znalazł się w potrzebie, niech po prostu do mnie zadzwoni, dobrze?

- Jestem wzruszona, Joe. Szczerze. Ale nie sądzę, żeby to było konieczne. Naprawdę nie sądzę.

-Ale powtórzysz mu?

-Powiedz mu to sam. John i ja zawarliśmy między sobą ciche przymierze. Nie rozmawiamy już na temat jego wynagrodzenia. Szczerze mówiąc dlatego, że się z tobą zgadzam.

-Więc jednak macie jakieś problemy.

-Teraz ty nie grasz fair. To, co ty uważasz za problem, niekoniecznie stanowi problem dla nas.

-Mam nadzieję, że się nie mylisz. To też możesz mu przekazać. -

Cardone wrócił szybkim krokiem do baru, wziął do ręki szklankę i zanim Ali zdążyła się odezwać, zniknął w drzwiach do salonu.

Joe próbował jej coś przekazać, ale ona nie zrozumiała, o co mu chodzi.

Nikt nie dał wam prawa występowania w roli nieomylnych strażników prawdy. Tobie i w ogóle żadnemu pracownikowi mass mediów. Muszę z tym żyć, ale mam tego powyżej dziurek w nosie.

Tremayne stał przy kominku; wszyscy widzieli, że jest wściekły.

-Nie rościmy sobie wcale pretensji do nieomyślności - odparł Tanner. - Ale sądy nie mają prawa zabronić nam zbierania informacji, jeśli czynimy to w obiektywny sposób.

-Kiedy informacja przynosi szkodę klientowi albo jego oponentowi, nie macie prawa jej publikować. Jeśli jest zgodna z faktami, powinna zostać przedstawiona sądowi, a jej publikacja poczekać do ogłoszenia wyroku.

-To niemożliwe i świetnie o tym wiesz. Tremayne uśmiechnął się kwaśno i westchnął.

-Wiem. W gruncie rzeczy nie ma żadnego wyjścia.

-Czy jesteś pewien, że chcesz je znaleźć? - zapytał Tanner.

-Oczywiście.

- Po co? I tak to ty jesteś zawsze górą. Jeśli wygrywasz sprawę, wszystko jest w porządku. Jeśli przegrywasz, oświadczasz, że sąd uległ stronnictwom prasy, i składasz apelację.

- Rzadko kiedy wygrywa się apelację - oświadczył Bernie Osterman. Siedział na podłodze, oparty o sofę. - O tym wiem nawet ja. Takie przypadki są głośne, ale bardzo rzadkie.

- Apelacja kosztuje - dodał Tremayne, wzruszając ramionami. - I człowiek traci przeważnie czas na darmo. Zwłaszcza w sprawach gospodarczych.

-Więc wydajcie prasie polecenie, żeby powstrzymała się od komentarza. To proste. - Joe wypił do końca swojego drinka i popatrzył wymownie na Tannera.

-To nie takie proste - stwierdziła Leila, siadając w fotelu naprzeciwko sofy. - Takie polecenie można różnie interpretować. Kto zdefiniuje "powstrzymanie się od komentarza"? To właśnie ma na myśli Dick. Brak wyraźnej definicji.

-Boję się, że narażę się mężowi, przed czym niech mnie Pan Bóg strzeże - powiedziała, śmiejąc się, Virginia
- ale uważam, że dobrze poinformowana opinia publiczna jest tak samo ważna jak nieuprzedzony sąd. Te dwie rzeczy są właściwie nierozłączne. Jestem po twojej stronie, John.
-Kolejna interpretacja - stwierdził Tremayne. - Jak odróżnić komentarz od czystej informacji? Co to jest czysta informacja?
-Czysta informacja to prawda - wypaliła prosto z mostu Betty. Obserwowała z niepokojem swego męża. Za dużo pił.
- Czyja prawda? Jaka prawda? Przypuśćmy, całkiem hipotetycznie, że doszłoby do kontrowersji między mną a Johnem. Powiedzmy, że przez sześć miesięcy pracowałam nad doprowadzeniem do skutku skomplikowanej fuzji. Jako adwokat kierujący się kodeksem etycznym pracowałam dla ludzi, w których sprawę wierzę; dzięki połączeniu kilku firm udało się uratować tysiące miejsc pracy, a spółki, którym groziło bankructwo, chwyciłyby wiatr w żagle. I nagle pojawiłoby się kilka osób, które w wyniku własnej nieudolności zostały poszkodowane, i te osoby zaczęłyby krzyczeć, że wyrządzono im krzywdę. Powiedzmy, że dotarliby do Johna. A ponieważ sprawiliby na nim wrażenie niewinnych ofiar, John poświęciłby im jedną minutę, tylko jedną minutę czasu antenowego w programie, który idzie na cały kraj. Moja sprawa natychmiast jest przegrana. I nie dajcie sobie wmówić, że sądy nie ulegają naciskom mass mediów. Jedna minuta niszczy efekty sześciomiesięcznej pracy.
- Myślisz, że pozwoliłbym na coś takiego? Myślisz, że ktokolwiek z nas by na to pozwolił?

- Na wszystko potrzebujecie podkładek! Zawsze potrzebujecie podkładek! Są momenty, kiedy niczego nie chcecie zrozumieć! - Tremayne mówił coraz głośniej.

Virginia wstała.

- Nasz John nigdy by czegoś takiego nie zrobił, kochanie... Mam ochotę na jeszcze jedną filiżankę kawy.

- Przyniosę ci - powiedziała Alice, wstając z sofy. Obserwowała Tremayne'a, zaskoczona jego nagłym wybuchem.

-Nie wygłupiaj się, poradzę sobie sama - odparła Ginny, ruszając w stronę kuchni.

-Napiłbym się czegoś. - Cardone podniósł szklankę, oczekując, że ktoś ją od niego weźmie.

-Jasne, Joe. - Tanner wziął jego szklankę. - Gin z tonikiem?

-To właśnie piję.

-Za dużo - dodała jego żona.

Tanner wszedł do kuchni i zaczął przygotowywać Cardone'owi drinka. Przy kuchence stała Ginny.

-Ogrzewam Chemex. Poprzedni wkład się wypalił - powiedziała.

-Dzięki.

-Zawsze to samo. Cholerne wkłady szybko się wypalają i kawa robi się zimna.

Tanner zachichotał i dolał do szklanki toniku. A potem zdał sobie sprawę, że słowa Ginny nie brzmią zbyt życzliwie.

-Powiedziałem Ali, żeby kupiła elektryczny ekspres - wyjaśnił - ale ona nie chce.

-John?

-Tak?

-Jest taka piękna noc. Może byśmy trochę popływali?

-Jasne. Wspaniały pomysł. Zaraz przepłuczę filtr. Zaniosem tylko drinka twojemu mężowi.

Wchodząc do salonu usłyszał pierwsze tony "Tangerine". Alice puściła płytę "Hits of Yesterday".

Rozległy się stłumione śmiechy; wszyscy rozpoznali stary przebój.

- Proszę bardzo, Joe. Czy ktoś jeszcze ma na coś ochotę?

Odpowiedzią było chóralne "nie, dzięki". Betty stała tuż przy

Dicku obok kominka. Tanner nie mógł się oprzeć wrażeniu, że na jego widok przerwali kłótnię. Alice kłęczała przy zestawie stereo, pokazując

Berniemu tylną okładkę albumu; Leila Osterman siedziała naprzeciwko Cardone'a, obserwując, jak popija gin z tonikiem, najwyraźniej zaniepokojona, że tak szybko zdążył się wstawić.

- Ginny i ja chcemy wypluć filtr. Co powiecie na małą kąpiel?

Wszyscy na pewno macie kostiumy; jeżeli nie, w garażu leży tuzin zapasowych.

Dick przyglądał się badawczo Tannerowi. Jego wzrok wydał się dziennikarzowi jakiś dziwny.

-Nie pokazuj tylko Ginny z bliska, jak się płucze ten cholerny filtr. W tej sprawie jestem nieugięty. Żadnego basenu.

-Niby dlaczego? - zapytał Cardone.

-Za dużo kręci się naokoło dzieciaków.

-To załóż ogrodzenie - odparł Joe. W jego głosie zabrzmiało lekceważenie.

Tanner wszedł z powrotem do kuchni. Otwierając tylne drzwi usłyszał za sobą wybuch śmiechu, ale nie był to śmiech ludzi, którzy się dobrze bawią. Śmiali się z przymusem, nieprzyjemnie.

Czy Fassett miał rację? Czy Omega zaczyna wpadać w panikę? Czy daje o sobie znać wzajemna wrogość? Podszedł do skraju basenu, gdzie stała skrzynka z filtrem.

-Ginny?

-Jestem tutaj, w ogródku Ali. Jeden z palików przewrócił się i nie mogę przywiązać z powrotem pomidorów.

-W porządku. - Odwrócił się i podszedł do niej. - Który palik? Nie widzę.

-Tutaj - powiedziała Ginny, wskazując ręką.

Tanner ukląkł i zobaczył palik. Nie przewrócił się, ale został złamany.

- Musiało to zrobić któreś z dzieci. - Wyciągnął z ziemi cienki złamany kołek i położył delikatnie obok niego pędy pomidora. -

Jutro to naprawię.

Podniósł się z klęczek. Ginny stanęła tuż obok niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Zdął sobie sprawę, że nie widać ich z domu.

-To ja zламаłam palik - powiedziała.

-Dlaczego?

-Chciałam z tobą porozmawiać. Sam na sam.

Miała rozpiętych kilka górnych guzików bluzki i Tanner zobaczył

zarys jej piersi. Zastanawiał się, czy nie jest przypadkiem pijana. Ale Ginny nigdy się nie upijała, w każdym razie nikt o tym nie słyszał.

- O czym chcesz ze mną rozmawiać?

- Po pierwsze o Dicku. Przepraszam za jego zachowanie. Kiedy jest zdenerwowany, staje się niedelikatny... nawet ordynarny.

-Niedelikatny? Ordynarny? Nie zauważyłem.

- Oczywiście, że zauważyłem. Obserwowałam cię.

- Pomyliłaś się.

- Nie sądzę.

- Wypłuczmy lepiej ten filtr.

- Poczekaj chwilę. - Roześmiała się cicho. - Chyba się mnie nie boisz?

- Nie boję się przyjaciół - odparł uśmiechając się Tanner.

- Dużo o sobie nawzajem wiemy.

Tanner popatrzył z bliska w twarz Ginny. Przyjrzał się jej oczom i lekko spierzchniętym wargom. Zastanawiał się, czy teraz właśnie nastąpi ten moment, czy teraz dowie się prawdy, w którą nie chciał uwierzyć. Jeżeli tak, pomoże Ginny ją wypowiedzieć.

-Wydaje nam się, że dobrze znamy swoich przyjaciół. Czasami zastanawiam się, czy to nie jest złudzenie.

-Bardzo mnie fascynujesz... fizycznie. Wiedziałeś o tym?

-Nie, nie wiedziałem - odparł zaskoczony.

-Nie powinieneś się tym przejmować. Za nic w świecie nie skrzywdziłabym Alice. Nie sądzę, żeby fizyczna fascynacja musiała koniecznie oznaczać uczucie. A ty?

-Každy ma jakieś fantazje.

-Uchylasz się od odpowiedzi.

-Pewnie, że się uchylam.

-Powiedziałam już, że nie zamierzam ranić twoich uczuć.

-Nie jestem z kamienia. Musiałyby zostać zranione.

-Ja też nie jestem z kamienia. Czy mogę cię pocałować? Zasluguje przynajmniej na pocałunek.

Ginny zarzuciła zdumionemu Tannerowi ręce na szyję i dotknęła jego warg otwartymi ustami. Zdawał sobie sprawę, że robi wszystko, żeby go podniecić. Nie potrafił tego zrozumieć. Jeśli naprawdę chciała się kochać, nie było to odpowiednie miejsce.

A potem zrozumiał. Ginny składała mu obietnicę.

To właśnie chciała dać mu do zrozumienia.

-Och, Johnny! O Boże, Johnny!

-W porządku, Ginny. W porządku. Nie... - Może naprawdę się upiła, pomyślał Tanner. Jutro będzie wszystkiego żałowała. - Porozmawiamy później.

Ginny trochę się odsunęła. Poczul jej usta na policzku.

-Oczywiście, że porozmawiamy później... Możesz mi coś powiedzieć, Johnny? Kim jest Blackstone?

-Blackstone?

-Proszę! Muszę to wiedzieć! Nic się nie zmieni, obiecuję ci. Kim jest Blackstone?

Tanner złapał ją za ramiona i spojrzał prosto w twarz. Płakała.

-Nie znam żadnego Blackstone'a.

-Nie rób tego! - szepnęła. - Na miłość boską, proszę, nie rób tego. Powiedz Blackstone'owi, żeby przestał.

-Czy to Dick cię tu przysłał?

-Gdyby wiedział, co tutaj robię, chyba by mnie zabił - odparła cicho.

-Pozwól, że powiem to bez owijania w bawełnę. Oferujesz mi...

-Wszystko, co chcesz! Po prostu zostaw go w spokoju... Mój mąż to dobry człowiek. Bardzo uczciwy. Był dla ciebie dobrym przyjacielem. Proszę, nie rób mu nic złego!

-Zależy ci na nim.

-Bardziej niż na własnym życiu. Proszę, nie krzywdź go. Powiedz Blackstone'owi, żeby przestał - poprosiła i pobiegła w stronę garażu.

Chciał za nią pójść i być dla niej miły, ale powstrzymał go strach przed Omegą. Zastanawiał się, czy Ginny, która nie zawahała się wystąpić w roli płatnej dziwki, nie chodzi po głowie o wiele bardziej niebezpieczne myśli.

Ale Ginny nie była przecież dziwką. Była może zalotna, czasami w nieszkodliwy sposób prowokowała mężczyzn, ale Tannerowi i nikomu, kogo znał, nigdy nie przyszłoby do głowy, że mogłaby pójść do łóżka z kimś innym oprócz własnego męża. Nie była po prostu taką kobietą.

Chyba że to Omega posługiwała się nią jako dziwką.

Z salonu ponownie dobiegł go ten nieszczerzy śmiech. Usłyszał

otwierające „Amapolę” dźwięki klarnetu. Ukłękł i wyjął z wody termometr.

Nagle zorientował się, że nie jest sam. O kilka stóp od niego stała na trawniku Leila Osterman. Musiała wyjść po cichu; a może to on był zbyt zajęty, żeby usłyszeć trzaśnięcie kuchennych drzwi bądź odgłos kroków.

-Cześć! Zaskoczyłaś mnie.

-Myślałam, że pomaga ci Ginny.

-Poplamiła sobie spódniczkę proszkiem od filtru... Spójrz, woda ma dwadzieścia osiem stopni. Joe powie, że jest za ciepła.

-Jeśli zdoła jeszcze coś powiedzieć.

-Rozumiem, co masz na myśli. - Tanner z uśmiechem podniósł się z klęczek. - Joe nie jest pijakiem.

-Ale próbuje nim zostać.

-Po co przyjechaliście z Bernieem kilka dni wcześniej, Leilo?

-Nie powiedział ci? - Leila grała na zwłokę, najwyraźniej poirytowana, że to ona musi udzielić odpowiedzi.

-Nie.

-Rozgląda się. Odbył kilka spotkań, zjadł kilka lunchów.

-Za czym się rozgląda?

-Och, te jego wieczne plany. Znasz Berniego; przechodzi przez różne fazy. Nigdy nie zapomniał, że "The New York Times" napisał kiedyś, że ma cięte pióro czy wnikliwe spojrzenie... nigdy nie pamiętam, jak to dokładnie brzmiało. Niestety ostatnio zaczął przejawiać kosztowne gusta.

-Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

-Chce zrobić jakiś wartościowy serial; wiesz, w stylu starego Omnibusa. Dużo się teraz mówi o podniesieniu poziomu produkcji.

-Rzeczywiście? Nic nie słyszałem.

- Pracujesz w wiadomościach, nie w rozrywce.

Tanner wyjął paczkę papierosów i poczęstował Leilę. Podając ogień, zobaczył w jej oczach troskę i napięcie.

-Bernie ma wyrobione nazwisko - powiedział. - Agencje zarabiają dzięki wam obojgu kupę szmalu. Nie sądzę, żeby miał jakieś kłopoty; jest piekielnie przekonujący.

-Obawiam się, że to wymaga czegoś więcej niż siły przekonywania - odparła Leila. - Chyba że zgodzi się pracować na procent,

licząc się w każdej chwili z totalną plajtą... Nie, to wymaga odpowiednich wpływów. Potężnych wpływów, takich, które skłoniłyby do zmiany zdania ludzi, mających w rękę pieniądze. - Leila zaciągnęła się głęboko papierosem, unikając wzroku Tannera.

-Myślisz, że mu się uda?

-Całkiem możliwe. Słowo Berniego liczy się bardziej niż innych scenarzystów na Wybrzeżu. Jest, jak mówią, grubą szychą. Ludzie szanują go nawet w Nowym Jorku, możesz mi wierzyć.

Tanner poczuł nagle, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę. Zbyt była dla niego bolesna. Leila prawie się przyznała, pomyślał. Nie dodała tylko, że swoje siły Bernie czerpie z Omegi. Oczywiście, że Osterman dopnie swego. Był całkowicie zdolny skłonić ludzi do zmiany zdania, do podjęcia odmiennych decyzji. Była do tego zdolna Omega, a on stanowił jej część - stanowił część siatki.

- Tak - powiedział cicho. - Wierzę ci na słowo. Bernie to rzeczywiście gruba szycha.

Przez chwilę stali w milczeniu.

-Jesteś zadowolony? - zapytała nagle ostrym głosem Leila.

-Co?

-Pytam, czy jesteś zadowolony. Przesłuchujesz mnie jak jakiś gliniarz. Jeśli sobie tego życzysz, mogę ci nawet dostarczyć listę jego rozmówców. Są poza tym fryzjerzy, domy mody, sklepy; jestem pewna, że obsługa potwierdzi, że tam byłam.

-O czym ty, do diabła, mówisz?

-Świetnie wiesz, o czym mówię. Atmosfera tam w środku, jeśli przypadkiem tego nie zauważyłeś, nie jest wcale przyjemna. Zachowujemy się wszyscy, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy w życiu i wcale nie przypadli nam do gustu nowi znajomi.

-To nie ma nic wspólnego ze mną. Może powinniście raczej przyjrzeć się samym sobie!

-A to dlaczego? - Leila dała krok do tyłu. Sprawiała na Tannerze wrażenie rozzłoszczonej, ale nie ufał już własnemu sądowi. - Dlaczego powinniśmy? O co ci chodzi, John?

-Nie możesz mi tego sama powiedzieć?

-Dobry Boże... ty coś na niego masz, prawda? Masz coś na Berniego?

-Wcale nie. Nie mam nic na nikogo.

- Posłuchaj, John! Bernie oddałby za ciebie życie! Nie zdajesz sobie z tego sprawy? - zapytała Leila, a potem rzuciła papierosa na ziemię i odeszła.

Tanner miał właśnie odnieść do garażu wiadro z chlorem, kiedy na dwór wyszła Alice razem z Bernie Ostermanem. Przez chwilę sądził, że dowiedzieli się czegoś od Leili, ale już po chwili okazało się, że jego obawy są niesłuszne. Alice i Bernie chcieli się po prostu dowiedzieć, gdzie trzyma wodę sodową, i zakomunikować, że wszyscy przebrali się już w kostiumy.

Tremayne stał przy kuchennych drzwiach ze szklanką w dłoni, obserwując całą trójkę. Wydawał się podenerwowany i jednocześnie skrepowany.

Tanner wszedł do garażu i postawił plastikowe wiadro w kącie obok toalety. Było to najchłodniejsze miejsce w całym garażu. Nagle drzwi do kuchni otworzyły się i po stopniach zszedł na dół Tremayne.

-Chciałem zamienić z tobą dwa słowa.

-Proszę bardzo.

Tremayne prześlizgnął się bokiem obok triumpha.

-Nigdy nie widziałem, żebyś go prowadził.

-Nienawidzę go. Wsiadanie i wysiadanie to prawdziwa męka.

-Za duży urosłeś.

-To mały samochód.

-Chciałem... chciałem powiedzieć, że przykro mi z powodu tych wszystkich bzdur, które wygadywałem. Nie mam do ciebie żadnej pretensji. Po prostu kilka tygodni temu załatwił mnie pewien reporter z "The Wall Street Journal". Wyobrażasz sobie? Pismak z "Journalu"! Moja firma postanowiła nie wnosić przeciwko niemu pozwu.

-Wolna prasa albo sprawiedliwy proces. To problem o kapitalnym znaczeniu. Nie potraktowałem tego jako osobisty atak.

Tremayne oparł się o triumpha.

- Kilka godzin temu - zaczął ostrożnie - kiedy mówiliśmy o tym, co wydarzyło się w środę, Bernie zapytał, czy nie jesteś na tropie afery podobnej do tego, co odkryłeś w San Diego. Nigdy nie Wiedziałem dokładnie, o co tam chodziło, oprócz tego, że wciąż wspomina się o tym w gazetach.

- Rozdmuchano to wszystko trochę ponad miarę. Chodziło o parę łapówek w przemyśle stoczniowym.

- Nie bądź taki skromny.

- Wcale nie jestem. Urobiłem się przy tym po łokcie i o mało nie dostałem Pulitzera. Zawdzięczam tej sprawie całą swoją późniejszą karierę.

- W porządku... Dobrze... Nie będę bawić się z tobą w ciuciubabkę. Czy trafiłeś na trop jakiejś sprawy, która dotyczy mojej osoby?

- Nic mi o tym nie wiadomo... To właśnie powiedziałem Berniemu: podlega mi około siedemdziesięciu osób. Wszystkie przez cały czas zbierają różne informacje. Nie żądam od nich codziennych raportów.

- Próbujesz mi wmówić, że nie wiesz, co robią?

- Wprost przeciwnie - stwierdził, wybuchając śmiechem, Tanner. - Zatwierdzam ich delegacje; nic nie pojawia się na antenie bez mojej zgody.

Tremayne odsunął się od triumpha.

- Dobrze, nie będę niczego ukrywał... Piętnaście minut temu wróciła do salonu Ginny. Żyję z tą kobietą od szesnastu lat i dobrze ją znam... Płakała. Wyszła z tobą na dwór i wróciła zapłakana. Chcę wiedzieć dlaczego.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Lepiej się postaraj... Zazdrościsz mi moich pieniędzy, prawda?

- To nieprawda.

- Akurat. Myślisz, że nie wiem, co wygaduje za twoimi plecami Alice! A teraz rzucasz nonszalancko, że nic nie pojawia się na antenie bez twojej zgody. Czy to właśnie powiedziałeś mojej żonie? Czy mam ją zapytać o szczegóły? Żona nie może składać zeznań przeciwko własnemu mężowi; czy w ten sposób chcesz nas ochronić? Czego ty właściwie chcesz?

- Opanuj się! Czy wdepnąłeś w takie szambo, że miesza ci się od tego w głowie? Mam rację? Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie. Nie! Powiedz, dlaczego płakała?

- Sam ją o to zapytaj.

Tremayne odwrócił się i kiedy opierał ręce o maskę małego sportowego samochodu, Tanner spostrzegł, że cały drży.

- Znamy się od wielu lat - stwierdził adwokat - ale tak

naprawdę nigdy mnie nie rozumiałeś. Nie powinieneś osądzać ludzi, których nie rozumiesz.

A więc stało się, pomyślał Tanner. Tremayne zaraz się przyzna. Stanowi część Omegi.

A potem adwokat odezwał się ponownie i pewność Tannera rozwiła się.

- Można mi wiele zarzucić - powiedział, odwracając się z żalną miną do dziennikarza - ale nigdy nie naruszyłem prawa. Wiem, na czym polega ten system. Nie musi mi się podobać, ale przestrzegam jego reguł!

Tanner zastanawiał się, czy ludzie Fassetta założyli podsłuch w garażu. Czy słyszą te słowa, słowa brzmiące tak szczerze i przepełnione tak głębokim smutkiem. Spojrzał na stojącego przed nim całkiem rozklejonego Tremayne'a.

- Chodźmy do kuchni. Potrzebujesz drinka, podobnie jak ja.

19

Alice włączyła ustawione na patio głośniki, żeby mogli słuchać muzyki na zewnątrz. Wszyscy siedzieli teraz wokół basenu. Nawet John i Dick Tremayne wstali w końcu od kuchennego stołu; siedzieli tam przez całe dwadzieścia minut, prawie się do siebie nie odzywając i Alice wydało się to trochę dziwne.

-Dobry wieczór łaskawej pani! - To był Joe i Alice poczuła, jak ogarnia ją zniecierpliwienie. Wszedł do salonu z holu; ubrany był w kąpielowe spodenki. W jego nagim ciele było coś odstręczającego; pomniejszało po prostu wszystko, co znajdowało się wokół niego.

-Skończył wam się lód, więc zadzwoniłem, żeby dowieźli.

-O tej porze?

-To łatwiejsze, niż gdyby któryś z nas miał przywieźć go samochodem.

-Gdzie zadzwoniłeś?

-Do sklepu Rudy'ego.

-O tej godzinie jest zamknięty.

Cardone podszedł do niej, lekko się zataczając.

-Zostałem go w domu; jeszcze się nie położył... Wyświadcza mi czasem drobne uprzejmości. Kazałem mu zostawić kilka torebek na ganku i zapisać to na mój rachunek.

-To nie było konieczne. Mam na myśli twój rachunek.

-Liczy się każdy grosik.

-Daj spokój.

Ruszyła w stronę sofy, żeby uciec przed odorem ginu,' który czuć było mu z ust. Joe ruszył za nią.

-Przemyślałaś sobie to, co ci powiedziałem?

-Jesteś bardzo wielkoduszny, ale nie potrzebujemy żadnej pomocy.

-Tak właśnie powiedział John?

-Tak by powiedział.

-Więc z nim nie rozmawiałaś?

-Nie.

Cardone ujął delikatnie jej dłoń. Chciała ją instynktownie cofnąć, ale nie pozwolił jej. Trzymał ją mocno, bez śladu wrogości, niemal życzliwie, ale jednak trzymał.

- Mogę mieć lekko w czubie - oświadczył - ale chcę, żebyś potraktowała mnie poważnie... Miałem w życiu szczęście; nigdy ciężko nie tyrałem, naprawdę... Szczerze mówiąc, czuję się nawet trochę winien; wiesz, co mam na myśli? Podziwiam Johnny'ego. On tyle z siebie daje. Ja nie daję z siebie zbyt wiele; na ogół zabieram innym. Nikogo nie krzywdzę, ale jednak zabieram... Poczulbym się o wiele lepiej, gdybyś pozwoliła mi raz coś komuś dać... po prostu dla samej odmiany.

Puścił nagle jej dłoń i ponieważ się tego nie spodziewała, uderzyła się ręką w bok. Poczuła, jak ogarnia ją zakłopotanie. I zniecierpliwienie.

- Dlaczego tak się uparłeś, żeby nam pomóc? Co cię do tego skłania?

Cardone usiadł ciężko na poręczy sofy.

-Człowiek słyszy to i owo. Plotki, pogłoski.

-O nas? O tym, że mamy kłopoty z pieniędzmi?

-Coś w tym rodzaju.

-To nieprawda. Po prostu nieprawda.

-Ujmijmy to nieco inaczej. Przed trzema laty, kiedy Dick, Ginny, Bernie i Leila wybrali się z nami na narty do Gstaad, ty i Johnny nie chcieliście jechać. Mam rację?

Alice zamrugła, próbując zrozumieć, o co chodzi Cardone'owi.

-Tak, pamiętam. Woleliśmy wtedy pojechać razem z dziećmi do Nassau.

-Ale teraz John bardzo się zainteresował Szwajcarią, prawda? - zapytał, chwiejąc się lekko, Joe.

-Nic mi o tym nie wiadomo. Nic mi o tym nie mówił.

-Więc jeśli nie Szwajcarią, to może Włochami. Może interesuje go Sycylia; to bardzo interesujące miejsce.

- Po prostu cię nie rozumiem.

Cardone wstał z sofy i wyprostował się.

-Nie różnimy się tak bardzo od siebie, Alice. Chodzi o to, że choć oboje mamy świadectwo moralności, nie dano nam go bezpośrednio do ręki... Ale zasłużyliśmy sobie na nie, na nasz własny sposób zapracowaliśmy na nie, do diabła.

-To, co mówisz, jest obraźliwe.

-Przepraszam, nie chciałem cię obrazić... Chcę być po prostu uczciwy, a uczciwość wynosi człowiek z własnego domu...

-Jesteś pijany.

-Naturalnie. Jestem pijany i zdenerwowany. To fatalna kombinacja... Porozmawiaj z Johnem. Powiedz, żeby spotkał się ze mną jutro albo pojutrze. Powiedz, żeby nie przejmował się Szwajcarią ani Włochami, dobrze? Powtórz mu, że bez względu na to, co o mnie usłyszał, jestem czysty i szanuję ludzi, którzy coś z siebie dają. Ludzi, którzy nie krzywdzą innych. I że gotów jestem zapłacić.

Cardone dał dwa kroki w stronę Alice i złapał ją za lewą rękę. Delikatnie, ale stanowczo uniósł ją do warg i zamykając oczy złożył pocałunek na jej dłoni. Alice oglądała już kiedyś tego rodzaju pocałunek; w dzieciństwie całowali tak w dłoń jej ojca jego fanatyczni wyznawcy. A potem Joe odwrócił się i zataczając się zniknął w holu.

Jakieś załamanie albo odbicie światła przyciągnęło wzrok Alice. Odwróciła się w stronę okna i to, co zobaczyła, sprawiło, że zastygła w bezruchu. Na trawniku, nie dalej niż sześć stóp od okna, stała w białym kąpielowym kostiumie, skąpiana w dobiegającej od basenu niebieskozielonej poświacie, Betty Cardone.

Betty widziała, co zaszło pomiędzy jej mężem i Alice. Powiedziały to Alice jej oczy.

Żona Cardone'a gapiała się na nią przez okno. W jej oczach Alice dostrzegła okrucieństwo.

W nocnym ciepłym powietrzu unosił się głos młodego Sinatry. Cztery małżeństwa siedziały wokół basenu. Co jakiś czas ktoś - Tannerowi wydawało się, że nigdy nie robili tego wspólnie - wchodził do wody i przepływał leniwie parę długości basenu.

Kobiety gawędziły o dzieciach i o tym, jak im idzie w szkole, mężczyźni, zgromadzeni po drugiej stronie basenu, dyskutowali nieco głośniejszym głosem, polityce i meandrach ekonomii.

Tanner usiadł na skraju trampoliny, niedaleko Cardone'a. Nigdy nie widział go tak pijanego. Nie spuszczał go z oczu. Jeśli siedzący przy basenie mężczyźni wchodził w skład Omegi, Joe stanowił jej najsłabsze ogniwo. On powinien załamać się pierwszy.

Wybuchwały i gasły drobne sprzeczki. W pewnej chwili Joe powiedział coś głośniejszym głosem niż cała reszta.

-Jesteś pijany, mój mężu - zareagowała szybko, ale spokojnie Betty.

-Joe jest w porządku - oświadczył Bernie, klepiąc Cardone'a po kolanie. - Miał dzisiaj paskudny dzień w Nowym Jorku, pamiętasz?

-Ty też byłeś w Nowym Jorku, Bernie - zauważyła Ginny Tremayne, wystawiając nogi nad basen. - Rzeczywiście tak tam paskudnie?

-Paskudnie, kochanie - potwierdził, odpowiadając zamiast Ostermana, Dick.

Tanner zauważył, że Osterman i Tremayne wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Dotyczyły one najprawdopodobniej Cardone'a, ale on, Tanner, nie miał ich spostrzec, a tym bardziej zrozumieć, co oznaczają. A potem Dick wstał i zapytał, czy ktoś chce się jeszcze czegoś napić.

Tylko Joe odpowiedział twierdząco.

-Ja przyniosę - powiedział Tanner.

-Daj spokój - odparł Dick. - Pilnuj piłkarza. Ja muszę i tak zadzwonić do córki. Kazaliśmy jej wrócić przed pierwszą; zbliża się druga. W dzisiejszych czasach człowiek musi być ostrożny.

-Jesteś małoduszny ojcem - stwierdziła Leila.
- Wolę być małoduszny ojcem niż wielkoduszny dziadkiem.
Tremayne przeciął trawnik, kierując się w stronę tylnych drzwi.
Przez kilka sekund panowała cisza, a potem kobiety podjęły
przerwaną rozmowę. Bernie zanurzył się w basenie.
Joe Cardone i Tanner nie odzywali się do siebie.
Po kilku minutach w drzwiach kuchni pojawił się, niosąc dwie szklanki, Dick.

-Hej, Ginny! Peg miała pretensję, że ją obudziłem. Co o tym sądzisz?
-Myślę, że znudził ją jej chłopak.
Tremayne zbliżył się do Cardone'a i wręczył mu drinka.
-Proszę bardzo, tylny obrońco.
-Byłem cholernym środkowym obrońcą. Kiwałem tego waszego cholernego Leviego Jacksona podczas
Pucharu Yale.
-Jasne. Rozmawiałem kiedyś z Levim. Powiedział, że mieli na ciebie jeden sposób. Wystarczyło zawołać zza
linii "idzie ładna dupa" i od razu zbiegałeś z boiska.
-Cholernie śmieszne! Ogrywałem, jak chciałem, tego czarnego sukinsyna!
-Miał o tobie całkiem dobre zdanie - powiedział z uśmiechem Bernie, wynurzając się z wody.
-A ja mam dobre zdanie o tobie, Bernie. I o dużym Dicku! - Cardone podniósł się niezgrabnie. - O
wszystkich was mam cholernie dobre zdanie.
-Hej, Joe... - Tanner wstał z trampoliny.
-Naprawdę, Joe, lepiej usiądź - powiedziała Betty. - Przewrócisz się.
-Da Vinci! - wrzasnął nagle, ile miał sił w płucach, Cardone. - Da Vinci... - krzyknął ponownie, przeciągając
jak rodowity Włoch samogłoski.
-O co ci chodzi? - zapytał Tremayne.
-To ty mi powiedz! - ryknął Cardone, przerywając pełną napięcia ciszę, która zapadła wokół basenu.
-On oszalał - powiedziała Leila.
-Urznął się po prostu w trupa, jeśli wolno mi tak powiedzieć - dodała Ginny.

-Ponieważ nie wiemy... przynajmniej ja nie wiem - rzucił lekkim tonem Bernie - co ma oznaczać nazwisko
Da Vinci, może byś nam łaskawie wyjaśnił, o co chodzi.
-Przeستاń! Lepiej przeستاń! - jęknął Cardone, zaciskając i otwierając pięści.
Osterman wyszedł z wody i podszedł do Cardone'a. Ręce zwisały mu luźno wzdłuż boków.
-Uspokój się, Joe. Proszę... uspokój się.

-Zuryyych!
Tannerowi wydawało się, że wrzask Cardone'a słyhać w promieniu kilku mil. A więc stało się. Joe w końcu
się zdemaskował.
-Co masz na myśli, Joe? - zapytał Tremayne, ruszając z wahaniem w stronę Cardone'a.
-Zurych! To właśnie mam na myśli!
-Jest takie miasto w Szwajcarii! I co z tego, do jasnej cholery? - Osterman stał, mierząc Cardone'a
badawczym wzrokiem; nie miał zamiaru ustąpić. - Powiedz, o co ci chodzi!
-Nie! - zawołał, biorąc Ostermana za ramię, Tremayne.
-Nie odzywaj się do mnie! - ryknął Cardone. - To właśnie ty...
-Przeستاńcie! Przeستاńcie wszyscy! - krzyknęła Betty. Stała na betonowej płycie po drugiej stronie basenu.
Tanner nigdy nie widział, żeby żona Cardone'a zachowywała się w ten sposób.
Udało jej się zapanować nad sytuacją; trzech mężczyźni rozeszli się niczym skarczone psy. Kobiety spojrzwały
na Betty, a potem Leilę i Ginny wstały i odeszły, pozostawiając zastygłą w bezruchu, kompletnie
zdezorientowaną Alice.
-Zachowujecie się jak dzieci - ciągnęła dalej, wracając do roli łagodnej żony, Betty. - Poza tym sądzę, że Joe
powinien już wracać do domu.
-Myślę... myślę, że napijemy się jeszcze wszyscy strzemiennego - oświadczył Tanner. - Co ty na to? -
zwrócił się do żony Cardone'a.
-Joe tego nie wytrzyma - odparła z uśmiechem Betty.

-Musimy się napić - stwierdził Bernie.

-Zajmę się tym - powiedział Tanner, ruszając w stronę kuchni. - Mam przygotować drinka dla wszystkich?

-Poczekaj chwilę, Johnny! - To był Cardone, na jego twarzy malował się szeroki uśmiech. - Byłem niegrzeczny, więc teraz ci pomogę. Muszę poza tym iść do łazienki.

Tanner wszedł do kuchni przed Cardone'em. Był zmieszany i poirytowany. Sądził, że kiedy Joe krzyknął „Zurych!”, jest już po wszystkim. Zurych był hasłem, które powinno było skłonić ich do przyznania się do winy. A jednak nic takiego się nie stało.

Wprost przeciwnie.

Sytuacja została opanowana, i to przez osobę, po której nikt się tego nie spodziewał: przez Betty Cardone.

Nagle usłyszał za sobą głośny łomot. W drzwiach kuchni stał Tremayne. Cardone leżał przed nim na podłodze.

- No, no. Zawaliła się góra princetońskich mięśni - oświadczył Dick. - Zanieśmy go do mojego samochodu. Będę dzisiaj robił za szofera.

Czy Joe rzeczywiście stracił przytomność? Tanner nie chciał w to uwierzyć. Był pijany, to prawda. Ale nie do tego stopnia, żeby zemdleć.

Trzej mężczyźni szybko się ubrali i umieścili ślaniającego się i bełkoczącego Cardone'a na przednim siedzeniu samochodu Dicka. Betty i Ginny usiadły z tyłu. Tanner obserwował bacznie twarz Joego, zwłaszcza jego oczy, wypatrując oznak świadczących o tym, że Cardone udaje. Nie spostrzegł żadnych. Mimo to w całej sytuacji krył się jakiś fałsz, zbyt wiele było precyzji w przesadnych ruchach rzekomo pijanego Cardone'a. Czy udawał nieprzytomnego, żeby sprawdzić innych?

A może, myślał Tanner, może wszystkiemu winien był stres? Może widział po prostu to, co chciał zobaczyć?

- Do diabła! - zaklął Tremayne. - Zostawiłem w domu marynarkę.

- Przyniosę ci jutro rano do klubu - powiedział John. - Jesteśmy umówieni na jedenastą.

- Nie, lepiej zabiorę ją teraz. Zostawiłem w kieszeni ważne notatki; mogę ich potrzebować... Zaczekaj tutaj razem z Bernieem. Zaraz wracam.

Dick wbiegł do środka i złapał swoją marynarkę, wiszącą na krześle w holu. Spojrzał na Leilę Osterman, która wycierała blat stołu w salonie.

- Jeśli uda mi się zetrzeć teraz te plamy, może Tannerom zostanie Parę zdatnych do użytku mebli - powiedziała.

- Gdzie jest Alice?

- W kuchni - odparła Leila, nie przestając szorować blatu.

Kiedy Tremayne wszedł do kuchni, Alice wkładała właśnie naczynia do zmywarki.

-Ali?

-Och! To ty, Dick. Czy z Joem wszystko w porządku?

-Nic mu nie będzie. Co z Johnem?

-Nie jest razem z tobą na zewnątrz?

-Ja jestem tutaj.

-Jest już późno; nie mam ochoty na żarty.

-Wcale nie zamierzam żartować... Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, Alice. Ty i Johnny wiele dla nas znaczyliście, dla Ginny i dla mnie.

-To samo można powiedzieć o nas; chyba o tym wiesz.

-Tak mi się do niedawna wydawało. Naprawdę w to wierzyłem. Posłuchaj... - Na twarzy Tremayne'a pojawił się rumieniec; kilka razy przełknął ślinę, nie mogąc opanować wyraźnego tiknięcia nad lewym okiem. - Nie oceniacie nikogo z góry. Nie pozwól Johnowi puszczać na antenę żadnych materiałów, które mogłyby wyrządzić krzywdę różnym osobom, zanim nie zrozumie, dlaczego ktoś zrobił to, co zrobił.

-Nie rozumiem, do czego zmierzasz...

-To bardzo ważne - przerwał jej Tremayne. - Powinien zrozumieć. To jedyna rzecz, jakiej nigdy nie popełniłem w sądzie. Zawsze starałem się zrozumieć.

Alice wyczuła w jego głosie groźbę.

-Moim zdaniem powinieneś porozmawiać z Johnem osobiście.

-Zrobiłem to i nie odpowiedział mi. Dlatego zwracam się do ciebie... Pamiętaj, Alice. Nikt nie jest dokładnie taki, na jakiego wygląda. Ale niektórzy z nas mają czasami większe, niż się wydaje, wpływy. Pamiętaj o tym!

Tremayne odwrócił się i wyszedł; po sekundzie Alice usłyszała trzask zamykanych frontowych drzwi. Kiedy spojrzała w pusty korytarz, poczuła nagle czyjaś bliską obecność. Nie mogła się mylić: słyszała przed chwilą czyjeś szybkie kroki. Ktoś przeszedł przez jadalnię i schował się w spiżarni, za rogiem, tam gdzie nie mogła go zobaczyć. Ruszyła powoli na palcach korytarzem. Kiedy zajrzała do małego wąskiego pomieszczenia, zobaczyła stojącą bez ruchu, wpatrzoną w ścianę Leilę.

Leila podsłuchiwała ich rozmowę w kuchni. Otworzyła usta na

widok Alice, a potem roześmiała się z przymusem. Wiedziała, że została złapana na gorącym uczynku.

- Przyszłam po następną ściereczkę. - Wzięła do ręki szmatkę i nie mówiąc więcej ani słowa zniknęła w jadalni.

Alice stała pośrodku spiżarni, zastanawiając się, co się z nimi wszystkimi dzieje. Wydarzyło się coś strasznego, coś, co dotyczyło wszystkich obecnych w jej domu.

Leżeli w łóżku; Alice na plecach, a John na lewym boku, tyłem do niej. Ostermanowie spali po drugiej stronie holu, w pokoju gościnnym. Po raz pierwszy podczas całego wieczoru Tannerowie byli ze sobą sami.

Alice wiedziała, że mąż jest zmęczony, nie mogła jednak powstrzymać dłużej cisnącego się jej na usta pytania, a może raczej stwierdzenia faktu.

- Pokłóciłeś się z Dickiem i Joem, prawda?

Tanner obrócił się na plecy; prawie z uczuciem ulgi spojrzął w sufit. Spodziewał się tego pytania i przeciwiczył na nie odpowiedź. Odpowiedź, którą stanowiło kolejne kłamstwo; powoli się do nich przyzwyczajał. Ale wszystko to miało trwać już tak krótko - gwarantował mu to Fassett.

-Jesteś cholernie spostrzegawcza - zaczął powoli, starając się, żeby w jego głosie zabrzmiała nonszalancja.

-Na pewno? - Obróciła się na bok i zmierzyła męża baczny wzrokiem.

-To nieprzyjemne, ale nie potrwa długo. Pamiętasz, co powiedziałem ci o interesie z akcjami, na który namawiał mnie Jim Loomis?

-Tak. Nie chciałeś, żeby Janet poszła tam na lunch...

-Zgadza się... No więc Joe i Dick spiknęli się z Loomisem. Powiedziałem im, żeby tego nie robili.

-Dlaczego?

-Ja też się do tego przymierzałem.

-Co?

-Przymierzałem się do tego. Mamy odłożone kilka tysięcy, Przynoszą nam rocznie pięć procent. Pomyślałem sobie, dlaczego nie?

Zadzwoiłem do Andy'ego Harrisona... jest u nas szefem działu prawnego, spotkałaś się z nim w zeszłą Wielkanoc. Przeprowadził małe dochodzenie.

-Co ustalili?

-Cała transakcja mocno śmierdzi. Te akcje są bezwartościowe. To jeden wielki szwindel.

-Transakcja jest nielegalna?

-Najprawdopodobniej będzie taka w przyszłym tygodniu... Harrison zasugerował, żebyśmy zrobili na jej temat program. Będzie niezły cyrk. Powiedziałem o tym Dickowi i Joemu.

-O mój Boże! Powiedziałeś, że zrobisz o nich program?

-Nie przejmuj się. Mamy zaklepane tematy na parę miesięcy, a ta sprawa nie ma priorytetu. Nawet gdybyśmy puścili program wcześniej i tak ich uprzedzę. Zdążą się wycofać.

Ali przypomniała sobie, co mówili jej Cardone i Tremayne: "Czy rozmawiałaś z nim? Co ci powiedział?" "Nie pozwól Johnowi puszczać na antenę żadnych materiałów". Wpadli w panikę i teraz zrozumiła dlaczego.

-Joe i Dick są śmiertelnie przerażeni, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

-Domyślam się.

-Domyślasz się?! Na litość boską, oni są przecież twoimi przyjaciółmi... Umierają ze strachu!

-Nie denerwuj się. Jutro w klubie powiem im, żeby się tak nie przejmowali. Sęp z San Diego nie jest już taki bezlitosny jak niegdyś.

-To naprawdę okrutne! Nic dziwnego, że byli tacy rozgorączkowani. Są przekonani, że chcesz zrobić coś strasznego. - Ali przypomniała sobie schowaną w spiżarni Leilę, która przysłuchiwała się w milczeniu groźbom i prośbom Tremayne'a. - Powiedzieli o tym Ostermanom.

-Na pewno? Skąd wiesz?

-Nieważne. Są przekonani, że im zagrażasz... Na litość boską, jutro rano musisz im powiedzieć, żeby przestali się bać.

-Powiedziałem już, że to zrobię.

-To wiele wyjaśnia. Te głupie krzyki na basenie, te wszystkie kłótnie... naprawdę jestem na ciebie wściekła.

- Ale w gruncie rzeczy Alice Tanner nie była wściekła; nareszcie dowiedziała się prawdy

i mogła jej teraz stawić czoło. Leżała na plecach, wciąż zmartwiona i zatroskana, czując zarazem, jak spływa na nią spokój, którego nie zaznała od kilku godzin.
Tanner zamknął oczy i wypuścił z ust powietrze. Kłamstwo przeszło gładko. Lepiej niż myślał. Jego sytuacja była teraz łatwiejsza. Łatwiej przyjdzie mu przekręcać fakty.
Fassett miał rację; może manipulować nimi wszystkimi.
Nawet Alice.

21

Tanner stał w oknie sypialni. Po bezksiężycowym niebie sunęły powoli chmury. Spojrzał w dół, na trawnik z tyłu domu, a potem na rosnący dalej las i nagle zaczął się zastanawiać, czy jego wzrok nie płata mu figla. W oddali żarzył się mały ognik. Ktoś przechadzał się, paląc papierosa, po trawniku; w ogóle nie zwracając uwagi na to, że widać go z domu. Chryste Panie! Czy ten facet nie uświadamia sobie, że papieros zdradza obecność patroli?

A potem przyjrzał się uważniej spacerującej postaci. Ubrana była w płaszcz kąpielowy. To był Osterman.

Czy Bernie coś zobaczył? Coś usłyszał?

Tanner wyszedł na palcach z sypialni i zbiegł na dół po schodach.

-Pomyślałem, że ty też pewnie nie możesz spać - oświadczył Bernie. Siedział na leżaku, wpatrując się w nieruchomą tafłę wody. - Ten wieczór to była prawdziwa katastrofa.

-Nie zauważyłem.

-W takim razie musisz być chyba ślepy i głuchy. To była prawdziwa uczta kanibali. Gdybyśmy mieli noże, woda w basenie spłynęłaby krwią.

-Dajesz upust swojej hollywoodzkiej wyobraźni - powiedział Tanner, siadając przy skraju basenu.

-Jestem pisarzem. Obserwuję i destyluję.

-Moim zdaniem nie masz racji - odparł Tanner. - Dick ma problemy w pracy; powiedział mi o tym. Joe upił się. I co z tego?

Osterman spuścił nogi z leżaka i wyprostował się.

-Zastanawiasz się, po co wyszedłem. To było przecucie, impuls. Pomyślałem, że ty też może zejdziesz na dół. Nie chciało ci się spać, w nie większym przynajmniej stopniu niż mnie.

-Intrygujesz mnie.

-Koniec żartów. Musimy porozmawiać.

-O czym?

Osterman wstał i spojrzał z góry na Tannera. Zapalił papierosa, przypalając go od poprzedniego.

- Czego pragniesz najbardziej? Dla siebie i swojej rodziny?

Tanner nie wierzył własnym uszom. Swoje wyznanie Osterman

zaczynał w najbanalniejszy pod słońcem sposób. Mimo to udał, że traktuje jego pytanie poważnie.

-Chyba spokoju. Spokoju, dachu nad głową, tego, żebyśmy nie byli głodni. Jakichś podstawowych wygod.

Czy tak brzmi prawidłowa odpowiedź?

-Masz to wszystko. Zaspokojone są wszystkie twoje potrzeby.

-Teraz naprawdę cię nie rozumiem.

-Czy nie przyszło ci kiedyś do głowy, że nie mamy już żadnego prawa wyboru? Całe twoje życie zaprogramowane jest tak, żeby wypełnić ustaloną z góry funkcję; zdajesz sobie z tego sprawę?

-Wydaje mi się, że tak jest wszędzie. Nie buntuję się.

-Nie wolno ci się zbuntować. Nie pozwala na to system. Wyszkolono cię, żebyś coś robił; nabrałeś w tym doświadczenia i to właśnie będziesz robił do końca życia. Żadnego sprzeciwu.

-Marny byłby ze mnie fizyk atomowy; ty niezbyt dobrze radziłeś sobie chyba jako neurochirurg.

-Oczywiście wszystko jest względne; nie mam na myśli fantazji. Chcę powiedzieć, że wszyscy jesteśmy kontrolowani przez siły, które wymknęły się spod kontroli. Weszliśmy w erę specjalizacji i to oznacza nasz koniec. Żyjemy i mieszkamy w ściśle określonych kręgach; nie wolno nam przekroczyć pewnych granic, nie wolno nawet się rozejrzeć. Obawiam się, że ciebie dotyczy to w jeszcze większym stopniu niż mnie. Ja mogę przynajmniej wybrać, jaki rodzaj chłamu mam produkować. Ale tak czy inaczej to chłam. Jesteśmy stłamszeni.

-Podtrzymuję to, co powiedziałem. Poza tym zostając dziennikarzem dobrze wiedziałem o zagrożeniach, z jakimi wiąże się ta praca.

-Ale nie masz żadnych zabezpieczeń! Nic! Nie możesz wyjść

z szeregu i powiedzieć: to jestem ja. Nie z takimi pieniędzmi! Nie możesz nic zrobić, jeśli chcesz to wszystko spłacić. - Osterman zatoczył ręką krąg, pokazując dom i posiadłość Tannera.

- Może masz rację... jeśli chodzi o pieniądze. Ale kogo na to stać?

Osterman przysunął sobie leżak i usiadł.

-Jest pewien sposób - powiedział cicho, patrząc Tannerowi prosto w oczy. - A ja chcę ci pomóc. - Przerwał na chwilę, tak jakby szukał odpowiednich słów. - Johnny... - zaczął i znowu przerwał. Tanner przestraszył się, że Osterman nie powie nic więcej, że nie znajdzie w sobie tyle odwagi.

-Mów dalej.

-Muszę mieć jakies... jakies zabezpieczenie; to bardzo ważne! - wybuchnął nagle Osterman, połykając sylaby.

Nagle obaj mężczyźni spojrzeli w stronę domu. W sypialni Janet zapaliło się światło.

-A to co? - zapytał Bernie, nie starając się nawet ukryć niepokoju.

-To tylko Janet. To jej sypialnia. Wbiliśmy jej nareszcie do głowy, że kiedy idzie do łazienki, powinna zapalić światło. W przeciwnym razie obija się o meble i mamy pół nocy z głowy.

Nagle powietrze przeszło przeraźliwy, rozdzierający bębenki krzyk. Krzyk dziecka.

Tanner rzucił się, okrążając basen, w stronę kuchennych drzwi. Krzyk nie ustawał. Zapaliły się światła w innych sypialniach. Bernie deptał po piętach Tannerowi. Wbiegli na górę tak szybko, że kiedy pojawili się na korytarzu, Alice i Leila wychodziły dopiero ze swoich sypialni.

John pechnął gwałtownie, nie naciskając klamki, drzwi do pokoju córki. Otworzyły się na oścież i cała czwórka wpadła do środka.

Dziewczynka stała pośrodku pokoju, pochylona nad ciałem walijskiego teriera Tannerów. Nie mogła się uspokoić.

Pies leżał w kałuży krwi.

Miał poderżnięte gardło.

John Tanner złapał w objęcia córkę i wybiegł z nią na korytarz. Nie wiedział, co działo się dalej, jego umysł przestał funkcjonować. Przed oczyma miał okropny obraz okaleczonego ciała w lesie, na który nakładał się widok martwego psa. Pamiętał straszne słowa, które wypowiedział człowiek Fassetta na parkingu przed motelem Howarda Johnsona.

"Poderżnięte gardło oznacza masakrę".

Musiał wziąć się w garść! Musiał kontrolować sytuację!

Zobaczył kątem oka Alice. Szeptala coś do ucha Janet, kołysząc ją w ramionach. Zdał sobie sprawę, że obok stoi, chlipiąc cicho, jego syn. Bernie Osterman próbował go pocieszyć.

A potem usłyszał głos Leili.

-Oddaj mi Janet, Alice. Zobacz, co się stało Johnny'emu. Zerwał się z wściekłością na nogi.

-Jeśli jej dotkniesz, zabiję cię. Słyszysz mnie? Zabiję cię!

-John! - krzyknęła z niedowierzaniem Alice. - Co ty wygadujesz?

-Jej pokój jest po drugiej stronie korytarza! Nie rozumiesz tego? Jej pokój jest po drugiej stronie korytarza!

Osterman skoczył ku Tannerowi. Pchnął go, przycisnął do ściany i wymierzył ostry policzek.

- Tego psa zabito kilka godzin temu! Uspokój się!

Kilka godzin temu? To nie mogła być prawda. To wydarzyło się przed chwilą. Janet zapaliła światło i zobaczyła odciętą głowę. Ktoś poderżnął głowę małemu terierowi. A pokój Leili jest po drugiej stronie korytarza! Pokój Leili i Berniego! Omega! Masakra!

Bernie wziął w obie dłonie jego twarz.

- Musiałem cię uderzyć. Zachowywałeś się jak wariat... Uspokój

się. Weź się w garść. To straszne, po prostu straszne, wiem o tym. Sam mam córkę.

Tanner zamrugał oczyma i próbował zebrać myśli. Wszyscy się w niego wpatrywali, nawet Raymond, który wciąż popłakiwał, stojąc w drzwiach swojej sypialni.

-Nikogo tutaj nie ma? - zapytał, nie mogąc się powstrzymać. Gdzie są ludzie Fassetta? Na co, do diabła, czekają?

-Kogo, kochanie? - zapytała Alice, obejmując go w pasie, Pilnując, żeby się znowu nie przewrócił.

-Nie ma nikogo - jęknął cicho Tanner.

-Jesteśmy tutaj. I zamierzamy wezwać policję. Natychmiast - oświadczył Bernie. Oparł rękę Johna na poręczy i pomógł mu zejść na dół.

Tanner spojrzał na szczupłego, silnego mężczyznę, który pomagał mu zejść po schodach. Czy Bernie tego nie rozumie? Należy przecież do Omegi! Jego żona należy do Omegi! Nie mogą wezwać policji!

-Policję? Chcesz wezwać policję?

-Oczywiście. Jeżeli to miał być żart, to popełnił go ktoś chory psychicznie. Nie mylisz się. Chcę wezwać policję. Masz coś przeciwko temu?

-Nie. Skądże znowu.

Weszli do salonu; Osterman objął dowodzenie.

- Alice, zadzwoń na policję. Jeśli nie znasz numeru, zapytaj

telefonistki - zawołał, wchodząc do kuchni.

Gdzie podzieli się ludzie Fassetta?

Alice podeszła do stojącego za sofą beżowego aparatu. Ale już po chwili okazało się, że nie musi dzwonić.

Przez frontowe okna wpadł do środka promień latarki. Omiótł podłogę i zatańczył na ścianie salonu.

Nareszcie pojawili się ludzie Fassetta.

Tanner zerwał się z kanapy na odgłos gongu i pognał do drzwi wejściowych.

-Usłyszeliśmy jakieś krzyki i zobaczyliśmy zapalone światła. Czy wszystko u państwa w porządku? - To był Jenkins; z trudem powstrzymywał niepokój.

-Trochę się spóźniliście! - stwierdził cichym głosem Tanner. - Niech pan lepiej wejdzie do środka. Omega złożyła nam wizytę.

-Niech pan się tym tak nie przejmuj - oświadczył Jenkins. W ślad za nim do środka wszedł McDermott.

-Jezu! Ale jesteście szybcy - powiedział Osterman, wychodząc z kuchni.

-Patrolujemy ulice między dwunastą a ósmą, proszę pana - odparł Jenkins. - Zobaczyliśmy światła i biegających w środku ludzi. O tej porze to raczej niezwykle.

-Jesteśmy wam bardzo wdzięczni za okazaną czujność...

-Przepraszam pana - przerwał mu Jenkins, wchodząc do salonu. - Czy wydarzyło się coś poważnego, panie Tanner? Chce pan złożyć zeznanie tutaj, czy może woli pan, żebyśmy porozmawiali na osobności?

-Nie ma tu o czym rozmawiać na osobności - oświadczył,

wchodząc w ślad za policjantem do salonu, Osterman. Tanner nie zdążył nawet otworzyć ust. - Na piętrze, w pierwszym pokoju po prawej stronie leży martwy pies.

-Tak? - Jenkins na chwilę się pogubił. Odwrócił się do Tannera.

-Ma uciętą głowę. Oderżniętą. Nie wiemy, kto to zrobił.

-Rozumiem... - odezwał się spokojnym głosem Jenkins. - Zajmiemy się tym. Przynies koc, Mac - zwrócił się do stojącego w drzwiach partnera.

-Tak jest.

McDermott odwrócił się i wyszedł.

-Czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu? - zapytał Jenkins.

-Oczywiście.

-Powinniśmy poinformować o całym incydencie kapitana MacAuliffa. Muszę zadzwonić do niego do domu. Tanner nie potrafił tego pojąć. To nie powinno interesować policji. To była sprawka Omegi. Czy Jenkins zwariował? Dlaczego dzwonił do MacAuliffa? Powinien przecież skontaktować się z Fassettem! MacAuliff był szefem lokalnej policji; osobą może i nie najgłupszą, ale mało ważną. Jego funkcja była w zasadzie polityczna: odpowiadał przed radą miejską Saddle Valley, a nie przed rządem Stanów Zjednoczonych.

-Uważa pan to za konieczne? O tej porze? Czy kapitan...

-Kapitan MacAuliff jest szefem lokalnej policji - przerwał mu ostro Jenkins. - Gdybym nie złożył mu raportu, uznaliby, że poważnie naruszyłem obowiązujące normy.

Dopiero teraz Tanner zrozumiał. Jenkins dawał mu wskazówkę.

Cokolwiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek się zdarzy - nie może być odstępstwa od normy.

Mieli do czynienia z Omegą.

Zdał sobie sprawę, że Jenkins telefonuje do MacAuliffa głównie ze względu na Bernarda i Leile Ostermanów.

Zaraz po wkroczeniu do domu Tannerów kapitan Albert MacAuliff dał do zrozumienia, kto jest tutaj najważniejszy. Tanner obserwował, jak policjant wydaje stłumionym, władczym głosem polecenia swoim podwładnym. Wysoki i otyły, miał kark,

który ledwie mieścił się w kołnierzyku koszuli. Jego ręce były również grube, ale dziwnie beczynne; kiedy chodził, zwisały mu nieruchomo po bokach, zdradzając człowieka, który całe lata patrolował pieszo ulice, przerzucając pałkę z ręki do ręki.

MacAuliff przeszedł do Saddle Valley z nowojorskiej policji i stanowił żywy przykład właściwego człowieka na właściwym miejscu. Przed wielu laty rada miejska doszła do wniosku, że potrzebuje kogoś rzeczowego, kogoś, kto oczyściłby miasteczko z niepożądanych elementów. A w tamtych czasach, czasach, kiedy wszystko uchodziło płazem, najlepszą obroną był atak.

Saddle Valley potrzebowało najemnika.

Przyjęło do pracy bigota.

-W porządku, panie Tanner. Chcę, żeby złożył pan zeznanie. Co wydarzyło się tutaj dziś w nocy?

-Zaprosiliśmy na przyjęcie kilku przyjaciół.

-Ilu?

-Trzy małżeństwa. Sześć osób.

-Wynajął pan kogoś do pomocy?

-Nie... nikt nam nie pomagał.

MacAuliff przyjrzał się bacznie Tannerowi, odkładając na bok swój notatnik.

-Nie zatrudniają państwo żadnej pokojówki?

-Nie.

-Czy po południu nikt nie odwiedził pani Tanner, żeby pomóc?

-Nie.

-Jest pan tego pewien?

-Niech pan ją o to sam zapyta.

Alice była w gabinecie, gdzie przygotowali prowizoryczne posłania dla dzieci.

- To może być ważne. Kiedy był pan w pracy, mógł ją odwiedzić jakiś Murzyn albo Portorykańczyk.

Tanner zobaczył, że stojący obok Leili Bernie przewraca ze zgrozą oczyma.

-Byłem dzisiaj przez cały dzień w domu.

-W porządku.

-Kapitanie - odezwał się Osterman, dając krok do przodu. - Ktoś włamał się do tego domu i poderżnął psu gardło. Czy nie uważa

pan za prawdopodobne, że to był złodziej? W środę państwo Tannerowie zostali obrabowani. Czy nie powinniśmy sprawdzić...

Tyle tylko udało mu się powiedzieć. MacAuliff spojrzał na scenarzystę z pogardą, której prawie wcale nie starał się ukryć.

- Zajmiemy się tym w swoim czasie, panie... - zajął do notatnika - panie Osterman. Chciałbym, żeby pan Tanner wyjaśnił, co wydarzyło się tutaj dziś wieczorem. Będę wdzięczny, jeśli pozwoli mi pan odpowiedzieć. Z panem porozmawiam później.

Tanner usiłował zwrócić na siebie uwagę Jenkinsa, ale policjant unikał jego wzroku. Dziennikarz nie wiedział, co ma mówić; dokładniej rzecz biorąc, czego ma nie mówić.

- W porządku, panie Tanner. - MacAuliff usiadł i otworzył

z powrotem swój notes. W palcach trzymał ołówek. - Zaczniemy od początku. I proszę nie zapominać o dostawcach.

Tanner otwierał już usta, kiedy usłyszeli nagle z piętra głos McDermotta.

- Kapitanie! Czy mógłby pan tu na chwilę zajrzeć? Jestem w pokoju gościnnym.

Nie mówiąc ani słowa Bernie pognął pierwszy na górę. W ślad za nim pobiegli MacAuliff i Leila.

Jenkins zbliżył się do siedzącego w fotelu Tannera.

-Nie mam czasu powtarzać dwa razy - powiedział, pochylając się. - Niech pan słucha uważnie i zastosuje się do tego, co mówię. Proszę nie mówić nic o Omedze. Ani słowa. Nic! Nie mogłem przekazać panu tego wcześniej, gdyż bez przerwy kręcili się wokół Ostermanowie.

-Dlaczego? Na Boga, przecież to sprawka Omegi... Co mam mu powiedzieć? Dlaczego nie wolno mi...

-MacAuliff nie wchodzi w skład naszej ekipy. Nie jest w nic wtajemniczony. Niech pan mu po prostu opowie wszystko, co wydarzyło się podczas przyjęcia. Nic więcej.

-Twierdzi pan, że on o niczym nie wie?

-O niczym. Powiedziałem już panu, jest nie wtajemniczony.

-A ci wszyscy ludzie na zewnątrz, patrole w lesie?

-To nie są jego ludzie. Jeśli zacznie pan o tym opowiadać, uzna Pana za wariata. Jeśli zwróci się pan do mnie, zaprzeczę wszystkiemu. Wyjdzie pan na wariata.

-Myślicie, że MacAuliff...

-Nie. Jest dobrym gliną. Wydaje mu się także, że jest tutaj kimś w rodzaju Napoleona i dlatego nie możemy z nim współpracować. Przynajmniej otwarcie. Ale jest sumienny i może nam pomóc. Niech pan go skłoni, żeby sprawdził, dokąd pojechali Tremayne'owie i Cardone'owie.

-Cardone upił się. Tremayne zabrał ich wszystkich do domu.

-Niech sprawdzi, czy pojechali prosto do domu. MacAuliff uwielbia przesłuchiwać ludzi; jeżeli oszukują, przygwoździ ich do muru.

-W jaki sposób mam...?

-Niech pan uda, że się o nich martwi. To wystarczająca wymówka. I niech pan pamięta, jest już prawie po wszystkim.

MacAuliff wrócił na dół. McDermottowi "wydawało się", że odkrył ślady włamania przy bocznej kłamce okna.

- W porządku, panie Tanner. Zaczniemy od momentu, kiedy przyjechali pańscy goście.

Funkcjonując na dwóch poziomach John Tanner zrelacjonował pogmatwane wydarzenia wieczoru. Bernie i Leila Ostermanowie zeszli na dół, ale nie dodali nic ważnego. Podobnie Alice, która wyszła na chwilę z gabinetu.

-Doskonale, proszę państwa - oświadczył MacAuliff, podnosząc się z fotela.
-Nie zamierza pan przesłuchać pozostałych? - zapytał, również wstając, Tanner.
-Miałem właśnie zamiar zapytać pana, czy pozwoli mi pan skorzystać z telefonu. Obowiązują nas określone przepisy.
-Naturalnie.
-Jenkins, zadzwoń do Cardone'ów. Z nimi zobaczymy się najpierw.
-Tak jest, proszę pana.
-A co z Tremayne'ami?
-Przepisy, panie Tanner. Zadzwońmy do Tremayne'ów dopiero, kiedy zobaczymy się z Cardone'ami.
-Żeby nie zdążyli się ze sobą porozumieć, prawda?
-Zgadza się, panie Osterman. Zna się pan na policyjnej robocie?
-To właśnie ja piszę wam regulaminy.

-Mój mąż jest telewizyjnym scenarzystą - wtrąciła Leila.
-Kapitanie... - odezwał się znad telefonu Jenkins. - Car-done'ow nie ma w domu. Mam na linii ich pokojówkę.
-Zadzwoń do Tremayne'ów.
Cała piątka przyglądała się w milczeniu wykręcającemu numer Jenkinsowi. Po krótkiej rozmowie policjant odłożył słuchawkę.
- Ta sama historia, kapitanie. Córka twierdzi, że nie ma ich w domu.

Tanner siedział ze swoją żoną w salonie. Oster-manowie poszli na górę, policja pojechała szukać zaginionych Car-done'ów i Tremayne'ów. John i Alice czuli się dziwnie zakłopotani. Alice bowiem wydawało się, że wie, kto zabił psa, John zaś nie potrafił przestać myśleć o tym, co mogła oznaczać śmierć teriera.

-To był Dick, prawda? - zapytała Alice.

-Dick?

-Groził mi. Przyszedł do kuchni i straszył mnie.

-Straszył cię? - Jeśli tak było, pomyślał Tanner, dlaczego ludzie Fassetta nie zjawili się wcześniej? - Kiedy? W jaki sposób?

-Tuż przed ich wyjazdem. To znaczy nie groził mi osobiście. Mówił ogólnie, o nas wszystkich.

-Co mówił? - Tanner miał nadzieję, że ich rozmowie przysłuchują się ludzie Fassetta. To będzie jedna ze spraw, którą poruszy z nimi później.

-Powiedział, żebyś nie oceniał ludzi z góry. Jako dziennikarz.

-Co jeszcze?

-Mówił, że niektórzy... niektórzy ludzie mają czasami większe, niż się wydaje, wpływy. Tak właśnie powiedział. Że powinnam pamiętać, iż nikt nie jest dokładnie taki, na jakiego wygląda. Ze niektórzy ludzie są bardziej wpływowi od innych.

-Mógł mieć na myśli kilka rzeczy.

-To musi być naprawdę gruba forsa.

-Jaka forsa?

- Ta, którą planują zarobić na tym interesie z Loomisem.

Interesie, który przeświliłeś.

Dobry Boże, pomyślał Tanner. Rzeczywiste i nierzeczywiste. Zapomniał prawie o własnym kłamstwie.

- Tak, chodzi o grubą forszę - powiedział cicho, zdając sobie sprawę, że wchodzi na śliski teren. Alice mogło przyjść do głowy, że same pieniądze to za mało. Doszedł do wniosku, że powinien uprzedzić jej wątpliwości. - Ale chyba nie tylko o forszę - dodał. - W diabły może pójść cała ich reputacja.

Alice wpatrywała się w jedyną zapaloną, stojącą na stole lampę.

- Tam na górze wydawało ci się... że to zrobiła Leila, prawda?

- Myliłem się.

- Jej pokój był po drugiej stronie korytarza...

-Ale to nie ma znaczenia; omówiliśmy to z MacAuliffem. Przyznał mi rację. Krew była zaschnięta, skrzepla. Szczeniak został zabity przed kilku godzinami.

-Chyba masz rację. - Alice wciąż miała przed oczyma Leilę - opartą o ścianę, wpatrzoną nieruchomym wzrokiem w przestrzeń i podsłuchującą rozmowę w kuchni.

Zegar na kominku pokazywał dwadzieścia po piątej. Uzgodnili, że noc spędzą w salonie, tuż obok śpiących w gabinecie dzieci.

Wpół do szóstej zadzwonił telefon. MacAuliff nie odnalazł ani Tremayne'ów, ani Cardone'ów. Oznajmił Tannerowi, że ma zamiar ogłosić komunikat o ich zaginięciu.

-Może pojechali do miasta, do Nowego Jorku - powiedział szybko Tanner. Komunikat o zaginięciu mógł spowodować, że Omega zejdzie do podziemia, mógł przedłużyć cały ten koszmar. - W Saddle Valley też jest kilka barów otwartych do późnej nocy. Niech pan da im trochę więcej czasu. Na litość boską, to są przecież przyjaciele.

-Nie zgadzam się. Żaden bar nie jest otwarty po czwartej.

-Może pojechali do jakiegoś hotelu.

-Wkrótce się dowiemy. Hotele i szpitale pierwsze dostają komunikaty o zaginięciu.

Tanner gorączkowo zbierał myśli.

-Przeszukał pan sąsiednie miasteczka? Znam kilka prywatnych klubów...

-Ja też. Sprawdziłem.

Wiedział, że musi coś wymyślić. Coś, co dałoby Fassetowi czas na opanowanie sytuacji. Ludzie Fassetta podsłuchiwali rozmowę, nie było co do tego wątpliwości; natychmiast dostrzegą niebezpieczeństwo.

-Przeszukał pan teren wokół starego dworca? Przy Lassiter Road?
-Kto, do jasnej cholery, by tam jeździł? Po co?
-Znalazłem tam w środę swoją żonę i córkę. Tak tylko pomyślałem.
MacAuliff złapał przynętę.
-Sprawdzę to. Jeszcze do pana zadzwonię.
-Żadnego śladu? - zapytała Alice, kiedy odkładał słuchawkę.
-Nie... Spróbuj trochę odpocząć, kochanie. Znam trochę barów i klubów, o których może nie wiedzieć policja. Postaram się z nimi skontaktować. Zadzwonię z kuchni, żeby nie budzić dzieci.
Fassett szybko podniósł słuchawkę.
-Tu Tanner. Wie pan, co się stało?
-Tak. Prawdziwy z pana spryciarz. Ma pan u mnie etat.
-To ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Co pan teraz zamierza? Nie może pan się przecież zgodzić na poszukiwania międzystanowe.

-Wiemy o tym. Cole i Jenkins są w kontakcie. Przejmiemy to.
-A potem co?
-Mam w zapasie kilka posunięć. Brakuje mi czasu, żeby je panu wyjaśniać. Potrzebuję poza tym tej linii. Jeszcze raz dziękuję.
Fassett odłożył słuchawkę.
-Próbowałem w dwóch miejscach - oświadczył Tanner, wracając do salonu. - Bezskutecznie... Postaraj się zasnąć. Trafili prawdopodobnie na jakieś przyjęcie i przyłączyli się. My też tak czasem robimy.
-Nie zdarzyło się to nam od lat.
Oboje udawali, że śpią. Tykanie zegara było niczym metronom, hipnotyczne i irytujące. W końcu Tanner zorientował się, że Alice zasnęła. Zamknął oczy, czując, jak ciężą mu powieki, świadom kompletnej czerni, w jakiej pograżony był jego umysł. Nie potrafił jednak przestać nasłuchiwać. Za dwadzieścia siódma usłyszał wjeżdżający na podjazd samochód. Podniósł się z fotela i podszedł szybko do okna. Ścieżką w stronę domu szedł MacAuliff. Był sam. Tanner wyszedł z domu na jego spotkanie.

-Moja żona śpi. Nie chcę jej budzić.
-To nie ma znaczenia - odparł nieprzyjemnym głosem MacAuliff. - Mam interes do pana.
-Jaki?
-Cardone'owie i Tremayne'owie zostali uspieni za pomocą dużej dawki eteru. Pozostawiono ich w samochodzie na poboczu drogi przy starym dworcu Lassiter. Chcę wiedzieć, dlaczego pan nas tam posłał. Skąd pan wiedział?
Tanner wlepił z niedowierzaniem oczy w policjanta. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa.
-Pańska odpowiedź?
-Słowo daję, nie wiedziałem! O niczym nie wiedziałem... Do końca życia nie zapomnę tej środy. Gdyby pan przeszedł przez to co ja, też by pan nie zapomniął. O starym dworcu pomyślałem zupełnie machinalnie. Przysięgam!
-Cholerny zbieg okoliczności, nieprawdaż?
-Niech pan zrozumie, gdybym wiedział, powiedziałbym panu wcześniej. Nie narażałbym na to wszystko mojej żony. Na litość boską, niech pan będzie rozsądny!
MacAuliff spojrzał na niego z powątpiewaniem.
-Jak to się stało? - naciskał go Tanner. - Co mówią? Gdzie teraz są?
-Przewieziono ich do szpitala Ridge Park. Nie wyjdą stamtąd wcześniej niż jutro rano.
-Musiał pan z nimi rozmawiać.
Według Tremayne'a, powtórzył mu MacAuliff, cała czwórka nie przejechała Orchard Drive więcej niż pół mili, kiedy zobaczyli czerwone światło na drodze i zaparkowany na poboczu samochód. Jakiś mężczyzna machał, żeby się zatrzymali; elegancko ubrany mężczyzna, który wyglądał na mieszkańca Saddle Valley. Ale, jak się okazało, nim nie był. Złożył wizytę przyjaciółom i wracał właśnie do Westchester, kiedy nawalił mu nagle silnik. Tremayne zaproponował, że odwiezie go z powrotem do jego przyjaciół.
I to jest ostatnia rzecz, jaką zapamiętał Tremayne i dwie panie. Wszystko wskazywało bowiem na to, że Cardone nie odzyskał przytomności podczas całego incydentu.
Przy opuszczonym dworcu policja znalazła na podłodze samochodu

Tremayne'a nie oznaczoną puszkę po sprayu. Puszka zostanie rano zbadana, ale MacAuliff nie miał wątpliwości, że był tam eter.

-Musi być jakiś związek między dzisiejszą nocą a tym, co wydarzyło się w środę - oświadczył Tanner.

-Ten wniosek narzuca się sam. Ale nie zapominajmy, że każdy, kto zna te lasy, wie, że teren wokół starego dworca jest opuszczony. Wie o tym również każdy, kto przeczytał w gazetach relację o środowym napadzie.

-Tak przypuszczam. Czy zostali również... obrabowani?

-Nie zabrano im pieniędzy, portfeli ani biżuterii. Tremayne skarżył się, że zniknęły papiery z jego marynarki. Bardzo był z tego powodu zmartwiony.

-Papiery? - Tanner przypomniał sobie stwierdzenie adwokata, że zostawił w marynarce jakieś notatki. Notatki, których może pilnie potrzebować. - Powiedział jakie papiery?

-Nie powiedział wprost. Był rozhisteryzowany; to, co mówił, nie miało większego sensu. Powtarzał tylko bez przerwy słowo "Zurych".

John wstrzymał oddech i tak, jak się nauczył, napiął mięśnie brzucha, starając się z całej siły nie okazać zdumienia. To było w stylu Tremayne'a: przybył na spotkanie z dokładnymi danymi na temat szwajcarskich rachunków. Gdyby doszło do konfrontacji, miał na podorędziu fakty.

MacAuliff dostrzegł reakcję Tannera.

-Czy nazwa "Zurych" coś panu mówi?

-Dlaczego miałyby mi coś mówić?

-Zawsze odpowiada pan pytaniem na pytanie?

-Ryzykuję, że znowu się pan obrazi, ale czy to oficjalne przesłuchanie?

-Z całą pewnością.

-W takim razie, nie. Nazwa "Zurych" nic mi nie mówi. Nie mam pojęcia, dlaczego ją wymienił. Jego firma jest oczywiście międzynarodowa.

MacAuliff nie próbował nawet ukryć irytacji.

- Nie wiem, co się tutaj dzieje, ale powiem panu jedno. Jestem doświadczonym policjantem i bywałem nieraz w różnych opałach.

Kiedy obejmowałem tę funkcję, dałem słowo, że zaprowadzę w tym mieście porządek. I zamierzam go dotrzymać.

Tanner miał go dosyć.

- Jestem tego pewien, kapitanie. Jestem pewien, że zawsze dotrzymuje pan słowa. - Odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę domu.

Teraz zdziwił się z kolei MacAuliff. Podejrzany oddalał się, a szef policji Saddle Valley nie potrafił na to nic poradzić.

Tanner stanął na werandzie i zaczął czekać na odjazd policjanta. Niebo rozjaśniło się, nie widać było jednak słońca. Nad ziemią wisiały niskie chmury i zanosiło się na deszcz, ale dopiero po południu.

Nieważne. Nic nie było ważne. Dla niego było już po wszystkim.

Umowa została złamana. Kontrakt między Johnem Tannerem i Laurence'em Fassettem nie był już ważny.

Bo gwarancje Fassetta okazały się fałszywe. Rozgrywka z Omegą nie ograniczyła się do Tremayne'ów, Cardone'ów i Ostermanów. Nie ograniczyła się do uczestników weekendu.

Zgodził się grać - musiał grać - w zgodzie z regułami, które wyznaczał Fasset, tak długo, dopóki inni gracze byli ludźmi, których znał. Nie teraz.

Teraz pojawił się ktoś nowy - ktoś, kto potrafił zatrzymać samochód na ciemnej drodze i posłużyć się terrorem. Ktoś, kogo nie znał. Nie mógł się na to zgodzić.

Tanner zaczął czekać do południa i dopiero wtedy wyszedł na spacer w stronę lasu. Wpół do dwunastej Ostermanowie postanowili uciąć sobie drzemkę i była to odpowiednia pora, żeby zaproponować to samo Alice. Wszyscy byli wykończeni. Dzieci siedziały w gabinecie, oglądając sobotnie poranne kreskówki.

Obszedł niedbałym krokiem basen, trzymając w ręku kij do golfa numer sześć. Udawał, że chce poćwiczyć zamach, ale w rzeczywistości pilnie obserwował okna na piętrze: tam gdzie znajdowały się dwie dziecinne sypialnie i łazienka.

Doszedł do skraju lasu i zapalił papierosa.

Nikt się nie odezwał. Nie było żadnego sygnału; w lesie panowała cisza.

- Chcę skontaktować się z Fassettem - powiedział cicho. - Odezwiście się. Sprawa jest pilna.

Zamachnął się kijem od golfa.

- Powtarzam! To pilne. Muszę porozmawiać z Fassettem! Niech któryś z was się odezwie!

Wciąż żadnej odpowiedzi.

Tanner odwrócił się, zamachnął w stronę nie istniejącej piłeczki i wszedł między drzewa. Musiał używać ramion i łokci, przedzierając się przez gęste zarośla. Kierował się w stronę drzewa, obok którego Jenkins zniknął na chwilę, żeby wrócić z przenośnym radiem.

Nikogo!

Ruszył na północ; przeciskając się między gałęziami i szperając w krzakach. W końcu dotarł do drogi.

W zagajniku nie było nikogo! Nikt nie pilnował jego domu! Nikt nie obserwował jego wyspy!

Nikt!

Ludzie Fassetta zniknęli!

Ruszył szybko z powrotem, trzymając się skraju lasu i nie spuszczać z oczu okien oddalonego o pięćdziesiąt jardów domu.

Ludzie Fassetta zniknęli!

Przebiegł przez trawnik, okrążył basen i wpadł do kuchni. Zatrzymał się przy zlewie, żeby złapać oddech i odkręcił kran z zimną wodą. Opryskał twarz, a potem rozprostował plecy, próbując choć przez chwilę zachować jasność umysłu.

Nie było nikogo! Nikt nie strzegł jego domu! Nikt nie pilnował jego żony i dzieci!

Zakręcił wodę, a potem zreflektował się i pozwolił, żeby powoli leciała, zagłuszając w ten sposób jego kroki.

Wyszedł z kuchni i przystanął na chwilę przy drzwiach gabinetu. Dochodził zza nich śmiech dzieci. Wbiegł po schodach na górę i przekręcił cicho klamkę do sypialni. Alice leżała w pogniecionej nocnej koszuli na łóżku; szlafrok spadł na podłogę. Oddychała miarowo i głęboko. Spała.

Zamknął sypialnię i przystawił na chwilę ucho do drzwi pokoju gościnnego. Nie docierały stamtąd żadne dźwięki.

Zszedł z powrotem do kuchni, zamknął drzwi i ruszył korytarzykiem w stronę małej spizarni. Tutaj także drzwi były zamknięte.

Wrócił do zawieszonoego na kuchennej ścianie telefonu i wziął do ręki słuchawkę. Nie wykręcił żadnego numeru.

- Fasset! Jeśli ty albo twoi ludzie podsłuchujecie tę linię, przerwijcie sygnał i odezwijcie się. Natychmiast!

W słuchawce nadal brzmiał sygnał centrali; nie zamilkł ani na chwilę.

Nie było żadnego trzasku. Zadzwoił do motelu.

-Proszę z pokojem dwadzieścia dwa.

-Przykro mi, proszę pana. Pokój dwadzieścia dwa jest pusty.

-Pusty? Myli się pani. Rozmawiałem z zajmującą go osobą dzisiaj o piątej rano!

-Przykro mi, proszę pana. Gość się wymeldował.

Tanner odwiesił słuchawkę, wpatrując się z niedowierzaniem w ścianę.

Numer nowojorski! Numer awaryjny!

Podniósł słuchawkę, usiłując powstrzymać drżenie ręki.

Usłyszał krótkie brzęczenie, a potem nagrany na taśmie głos:

- Ten numer jest nieczynny. Proszę ponownie sprawdzić w spisie i wykręcić właściwy numer. Ten numer jest nieczynny...

Tanner zamknął oczy. To było niepojęte! Nie mógł skontaktować się z Fassettem. A jego ludzie zniknęli!

Został sam!

Próbował się skupić. Musiał się skupić. Musiał odnaleźć Fassetta. Zaszła jakaś astronomiczna pomyłka. Chłodny profesjonalista, człowiek, który miał na podorzędziu tysiące forteli i sztuczek, popełnił jakiś straszliwy błąd.

Ale nie było również jego ludzi. Może to nie była wcale żadna pomyłka.

Tanner przypomniał sobie nagle, że on również ma pewne możliwości działania. Sieć Standard Mutual utrzymywała specjalne kontakty z pewnymi agencjami rządowymi. Zadzwoił do informacji telefonicznej Connecticut i poprosił o numer mieszkającego w Greenwich szefa działu prawnego firmy, Andy'ego Harrisona.

- To ty, Andy?... Mówi John Tanner. - Starał się, jak tylko mógł, sprawiać wrażenie opanowanego. - Strasznie przepraszam, że zawracam ci głowę w domu, ale zadzwonili do mnie właśnie z Biura Azjatyckiego. Mają materiał z Hongkongu, który chciałbym sprawdzić... Wolałbym nie wchodzić teraz w szczegóły, opowiem ci wszystko

w poniedziałek rano. Może to nic takiego, ale wolę dmuchać na zimne. Najlepiej byłoby chyba skonsultować się z CIA. To wchodzi w zakres ich kompetencji. Współpracowali z nami już wcześniej. W porządku, zaczekam. - Przycisnął policzkiem słuchawkę do ramienia i zapalił papierosa. Harrison podał mu numer i Tanner zapisał go. - To jest w Wirginii, prawda?... Dziękuję ci bardzo, Andy. Do zobaczenia w poniedziałek. Po raz kolejny wykręcił numer.

-Centralna Agencja Wywiadowcza, biuro pana Andrews - odezwał się jakiś mężczyzna.

-Nazywam się Tanner. John Tanner. Jestem dyrektorem pro-gramów informacyjnych Standard Mutual w Nowym Jorku.

-Słucham pana? Chce pan rozmawiać z panem Andrewsem?

-Tak. Tak, chyba z nim.

-Przykro mi, ale jest dzisiaj nieobecny. Może ja mógłbym panu pomóc?

-Właściwie usiłuję odnaleźć pana Laurence'a Fassetta.

-Kogo?

-Fassetta. Laurence'a Fassetta. Pracuje w waszej agencji. Sprawa jest bardzo pilna. Z tego, co wiem, powinien przebywać w rejonie Nowego Jorku.

-Czy jest w jakiś sposób związany z naszym wydziałem?

-Nie wiem. Wiem tylko, że jest pracownikiem waszej agencji. Powiedziałem już panu, to bardzo pilne! Sprawa życia lub śmierci! - Tanner zaczął się pocić. Nie miał czasu na dyskusje z jakimś urzędnikiem.

-W porządku, panie Tanner. Sprawdzę listę naszych pracowników i spróbuję go zlokalizować. Proszę chwilę poczekać. - Minęły całe dwie minuty, zanim wrócił. W jego głosie brzmiało wahanie, ale także precyzja. - Na pewno wymienił pan właściwe nazwisko?

-Oczywiście.

-Przykro mi, ale pana Laurence'a Fassetta nie ma na naszej liście telefonicznej ani w żadnym innym spisie.

-To niemożliwe! Niech pan posłucha, ja współpracuję z Fassettem... Niech pan mnie połączy z pańskim zwierzchnikiem. - Tanner przypomniał sobie Fassetta, napomykającego o tym, jak mało osób ma dostęp do sprawy Omegi. Wspominał o tym nawet Jenkins.

-Nie wydaje mi się, żeby pan zrozumiał, panie Tanner. Nie rozmawia pan z niższym urzędnikiem. Zadzwoił pan do mojego kolegi, dokładnie rzecz biorąc podwładnego. Nazywam się Dwight. Pan Andrews daje mi do zatwierdzenia swoje decyzje.

-Nie obchodzi mnie, kim pan jest! Mówię panu, że to sprawa życia i śmierci! Niech pan lepiej szybko znajdzie kogoś ważniejszego od pana, panie Dwight. Nie mogę wyrazić tego bardziej dobitnie. To wszystko! Proszę zrobić to natychmiast! Czekam przy aparacie.

-Jak pan sobie życzy. To może zabrać kilka minut...

-Poczekam.

Trwało to siedem minut, ale Tannerowi wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim Dwight odezwał się ponownie.

- Panie Tanner, pozwoliłem sobie sprawdzić pańskie personalia i zakładam, że jest pan człowiekiem odpowiedzialnym. Zaręczam jednak, że został pan wprowadzony w błąd. W Centralnej Agencji Wywiadowczej nie ma człowieka o nazwisku Laurence Fasset. I nigdy nie było.

23

Tanner odłożył słuchawkę i oparł się o krawędź zlewu. Stał przez chwilę bez ruchu, a potem czując pustkę w głowie wyszedł przez kuchenne drzwi na dwór. Niebo pociemniało. Powierzchnia basenu była pomarszczona, szumiały targane wiatrem drzewa. Znosi się na burzę, pomyślał, spoglądając na chmury. Nadciągała nawałnica.

Nadciągała Omega.

Z Fassettem czy bez Fassetta Omega była prawdziwa, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Przekonał się też o jej sile i możliwościach - że jest zdolna wyeliminować Laurence'a Fassetta, że potrafi manipulować decyzjami i personelem najpotężniejszej w kraju agencji wywiadowczej.

Wiedział, że nie ma sensu kontaktować się z Jenkinsem. Co powiedział Jenkins w salonie wtedy, w środku nocy?... "Jeśli zwróci się pan do mnie, zaprzeczę wszystkiemu". Skoro Omega potrafiła uciszyć Fassetta, zamknięcie ust Jenkinsowi będzie niczym popsucie dziecinnej zabawki.

Musi być jakiś punkt, od którego zacznie, punkt oparcia, który pozwoli mu wycofać się z tych wszystkich kłamstw. Cała operacja już go nie obchodziła; to musiało się po prostu skończyć, musiał ratować rodzinę. To nie była już jego wojna; troszczył się jedynie o Alice i dzieci.

Zobaczył przez kuchenne okno sylwetkę Ostermana.

Tego właśnie potrzebował. Osterman stanowił jego punkt oparcia, za jego pośrednictwem zerwie z Omega! Wszedł szybko do kuchni.

Leila siedziała przy stole, a Bernie stał przy kuchence, grzejąc wodę kawę.

-Wyjeżdżamy - powiedział. - Spakowaliśmy się już. Zadzwoń taksówkę.

-Dlaczego?

- Stało się coś strasznego - powiedziała Leila - ale to nie nasza sprawa. Nie jesteśmy w to zaangażowani i nie chcemy być.

-O tym właśnie chciałem z wami porozmawiać. Z wami obojgiem. Bernie i Leila wymienili między sobą spojrzenia.

-Mów - powiedział Bernie.

-Nie tutaj. Na zewnątrz.

-Dlaczego?

-Nie chcę, żeby usłyszała to Alice.

-Ona śpi.

-Chcę wyjść na zewnątrz.

Cała trójka minęła basen i dotarła do końca trawnika.

-Nie musicie już kłamać - oświadczył Tanner. - Żadne z was. Nie chcę dłużej brać w tym udziału. Już mi nie zależy... - przerwał na moment. - Wiem o Omedze - dodał.

-O czym? - zapytała Leila.

-O Omedze... o Omedze! - W głosie Tannera, w jego szepcie zabrzmiał ból. - Nie dbam o to, kim jesteście! Klnę się na Boga, nic mnie to nie obchodzi!

-O czym ty mówisz? - Bernie dał krok do przodu, nie spuszczając z oczu dziennikarza. Tanner cofnął się. - O co ci chodzi? - zapytał Osterman.

-Na litość boską, przestań udawać!

-Co mam przestać udawać?

-Powiedziałem ci już! To, kim jesteście, nie ma dla mnie żadnego znaczenia! Proszę was! Proszę! Zostawcie Alice i dzieci w spokoju. Ze mną możecie zrobić, co chcecie. Nie róbcie tylko krzywdy mojej rodzinie.

Leila położyła mu rękę na ramieniu.

- Zachowujesz się histerycznie, Johnny. Nie wiem, o czym mówisz.

Tanner spojrział na rękę Leili i zamrugał oczyma przez łzy.

- Jak możesz mnie tak okłamywać? Proszę. Nie znęcajcie się nad mną dłużej. Chyba tego nie zniosę.

-W jakiej sprawie cię okłamujemy?

-Nigdy nie słyszeliście o kontaktach bankowych w Szwajcarii? W Zurychu?

Leila cofnęła rękę i Ostermanowie stali przez chwilę bez ruchu.

- Tak, słyszałem o kontaktach bankowych w Zurychu - powiedział w końcu cicho Bernie. - Mamy ich kilka.

Leila posłała mężowi krótkie spojrzenie.

-Skąd wzięliście pieniądze?

-Zarabiamy dużo pieniędzy - odparł ostrożnie Bernie. - Wiesz o tym. Jeśli ma to uspokoić twoje obawy, możesz zadzwonić do naszego księgowego. Spotkałeś już Eda Marcuma. W całej Kalifornii nie ma od niego lepszego... i bardziej dyskretnego.

Tanner poczuł nagły wstyd. Prostota, z jaką odpowiedział mu Osterman, zbiła go z tropu; to było takie naturalne.

-A Cardone'owie? Tremayne'owie? Oni także mają konta w Zurychu?

-Domyślam się, że mają. Podobnie jak pięćdziesiąt procent moich znajomych z Wschodniego Wybrzeża.

-Skąd wzięli pieniądze?

-Dlaczego nie zapytasz o to ich samych? - Osterman nie podnosił głosu.

-Ty wiesz!

-Nie bądź głupi - powiedziała Leila. - Zarówno Dick, jak i Joe zarabiają mnóstwo pieniędzy. Joe prawdopodobnie więcej niż ktokolwiek z nas.

-Ale dlaczego Zurych? Co takiego oferuje wam Zurych?

-Pewien stopień wolności - odparł cicho Bernie.

-No tak. To samo usiłowałeś mi wmówić wczoraj w nocy. "Czego pragniesz najbardziej?", zapytałeś. Twoje własne słowa.

-W Zurychu można zarobić duże pieniądze. Wcale temu nie przeczę.

-Na żoldzie Omegi? W ten właśnie sposób je zarabiasz, prawda? Prawda?

-Nie wiem, co masz na myśli - odparł Bernie. W jego głosie zabrzmiał lęk.

-Dick i Joe! Wchodzą w skład Omegi! Podobnie jak i ty. "Kozła Skóra"! Informacje z Zurychu! Pieniądze w zamian za informacje!

Leila złapała męża za rękę.

-Telefony, Bernie! Wiadomość, która była schowana w mandacie.

-Proszę cię, Leilo... Posłuchaj, Johnny. Przysięgam ci, że nie wiem, o czym mówisz. Wczoraj w nocy zaproponowałem ci pomoc i mówiłem serio. W grę wchodzi duże inwestycje. Proponowałem ci pieniądze na inwestycje. To wszystko.

-Nie w zamian za informacje? Nie od Omegi?

Leila ścisnęła rękę Berniego; w odpowiedzi posłał jej krótkie uspokajające spojrzenie.

-Nie wiem, jakie posiadane przez ciebie informacje mogłyby mnie zainteresować - powiedział, zwracając się z powrotem do Tannera. - Nie znam żadnej Omegi. Nie wiem, co to jest.

-Joe wie! Dick wie! Obaj rozmawiali o tym z Alice i ze mną. Usiłowali nam grozić.

-W takim razie nie mam z nimi nic wspólnego. Nie działamy razem.

-O Boże, Bernie, musiało stać się coś złego... - Leila nie mogła się powstrzymać. Bernie wziął ją w ramiona.

-Cokolwiek to jest, nie ma z nami nic wspólnego... Może lepiej powiesz nam, o co chodzi - zwrócił się do Tannera. - Może będziemy w stanie ci pomóc.

Tanner spojrział na nich. Trzymali się delikatnie w objęciach. Chciał im wierzyć. Potrzebował przyjaciół; rozpaczliwie potrzebował sojuszników. Nie wszyscy przecież należeli do Omegi; powiedział to sam Fassett.

-Naprawdę nic nie wiecie? Nie wiecie, czym jest Omega? Nie wiecie, co oznacza kryptonim "Kozła Skóra"?

-Nie - odparła po prostu Leila.

Tanner uwierzył im. Musiał im wierzyć, bo dzięki temu nie był już dłużej sam. Opowiedział im o Omedze.

Wszystko.

Kiedy skończył, dwójka scenarzystów długo wpatrywała się w niego bez słowa. Zaczęła padać mżawka, ale żadne z nich nie zwracało na nią uwagi.

- A ty sądziłeś, że ja mówię o... - powiedział w końcu Bernie. -
że to ma z tym coś wspólnego. - Zmrużył z niedowierzaniem
oczy. - Mój Boże! To wszystko wymyślił jakiś szaleniec!

-Mylisz się. To prawda. Widziałem na własne oczy.

-Powiedziałeś, że Alice o niczym nie wie? - zapytała Leila.

-Kazano mi jej nie mówić. Takie otrzymałem polecenie!

-Od kogo? Od faceta, do którego nie możesz się nawet dodzwonić? Od faceta, do którego nie przyznaje się Waszyngton? Od kogoś, kto nafaszerował cię kłamstwami na nasz temat?

-Zginął człowiek! Moja rodzina mogła zostać wymordowana w tę środę. Cardone'owie i Tremayne'owie zostali wczoraj w nocy uśpieni gazem.

Osterman spojrzał na żonę, a potem z powrotem na Tannera.

-Nie wiemy, czy to prawda - powiedział cicho.

-Musisz powiedzieć Alice - stwierdziła stanowczym głosem Leila. - Nie możesz tego dłużej przed nią ukrywać.

-Wiem. Zrobię to.

-A potem będziemy musieli się stąd zwijać - powiedział
Osterman.

-Dokąd?

-Do Waszyngtonu. Znam jednego albo dwu senatorów, kilku kongresmanów. Są moimi przyjaciółmi.

- Bernie ma rację. Mamy przyjaciół w Waszyngtonie.

Mżawka przechodziła w coraz większy deszcz.

-Wejdźmy do środka - powiedziała Leila, dotykając delikatnie ramienia Tannera.

-Poczekajcie chwilę. Nie możemy rozmawiać w domu. Założyli tam podsłuch.

Bernie i Leila zareagowali, jakby ktoś wymierzył im policzek.

-Wszędzie? - zapytał Bernie.

-Nie jestem pewien. Nie jestem już niczego pewien.

-W takim razie nie będziemy o niczym mówić wewnątrz domu; albo włączymy głośno radio i będziemy porozumiewać się szeptem.

Tanner spojrzał z ulgą na przyjaciół. Dzięki Bogu! Dzięki Bogu. Zaczynała się długa podróż z powrotem ku normalności.

24

Po kilkudziesięciu minutach nadciągnęła lipcowa nawałnica. Radiowa prognoza pogody zapowiadała huraganowe wiatry; ostrzegano średniej wielkości statki od Hatteras aż po Rhode Island. Saddle Valley nie było już dłużej odizolowane od świata; nic nie chroniło miasteczka przed potokami lejącej się z nieba wody.

Ali obudziła się na odgłos pierwszego grzmotu. John nastawił radio na pełny regulator i powiedział jej - dokładnie rzecz biorąc, wyszeptał - że muszą się spakować, żeby wyjechać razem z Berniem i Leilą. Objął ją mocno i błagał, żeby nie zadawała żadnych pytań, żeby mu zaufała.

Dzieci siedziały w salonie; postawili im telewizor przed kominkiem. Alice spakowała dwie walizki i ustawiła je przy wejściu do garażu. Leila ugotowała jajka i zapakowała seler i marchewkę.

Bernie oświadczył, że mogą jechać bez przerwy przez godzinę albo dwie.

Obserwując przygotowania Tanner cofnął się pamięcią o ćwierćwiecze.

Ewakuacja!

O wpół do trzeciej zadzwonił telefon. Dzwonił roztrzęsiony i rozhisteryzowany Tremayne, który zrelacjonował - według Tannera niezgodnie z prawdą - wydarzenia przy dworcu Lassiter i dał do zrozumienia, że są razem z Ginny zbyt wytrąceni z równowagi, żeby Przyjść na kolację. Na sobotnią kolację, która miała stanowić ukoronowanie weekendu z Ostermanem.

-Musisz mi powiedzieć, co się tutaj dzieje! - powiedziała Alice. Oboje stali w spizarni. Próbowwała przyciszyć włączone na pełny regulator tranzystorowe radio. John złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

-Zaufaj mi. Proszę, zaufaj mi - wyszeptał. - Wyjaśnię ci wszystko w samochodzie.

-W samochodzie? - Oczywiście Ali rozszerzyły się ze strachu. Zasłoniła dłonią usta. - Och, mój Boże! Masz na myśli, że... że nie możesz tutaj mówić.

-Zaufaj mi.

Tanner wszedł do kuchni i pokazał na migi Berniemu, że powinni zanieść bagaże do samochodu.

- Ładujmy - powiedział.

Poszli obaj po walizki.

Wróciwszy z garażu, zastali Alice przy kuchennym oknie, wyglądającą na patio.

- Na zewnątrz zaczyna się prawdziwa wichura - stwierdziła.

Zadzwoił telefon i Tanner podniósł słuchawkę.

Cardone był wściekły. Nie przestając kłać, powtórzył kilka razy, że rozszarpie na kawałki tego sukinsyna, który ich zagazował. Był także zmieszany i kompletnie zbity z tropu. Miał na ręce zegarek wart osiemset dolarów i nikt go nie zabrał. Miał w portfelu parę setek i na nie także nikt się nie połakomił.

- Policja powiedziała, że skradziono Dickowi jakieś papiery. Coś w związku z Zurychem, w Szwajcarii.

Tanner usłyszał, jak Cardone wstrzymuje nagle oddech. Potem zapadła cisza. Kiedy Joe odezwał się ponownie, ledwo go było słyhać.

-To nie ma ze mną nic wspólnego - zapewnił. A potem oświadczył nagle bez większego przekonania, że dostał telefon z Filadelfii. Jego ojciec jest ciężko chory. Zostaną w związku z tym razem z Betty w domu. Może zobaczą się wszyscy w niedzielę. Tanner odwiesił słuchawkę.

-Hej! - Leila wpatrywała się w trawnik za domem. - Popatrz na te parasole. Zaraz porwie je wiatr.

Tanner wyrzwał przez kuchenne okno. Dwa duże ogrodowe parasole pochylały się pod uderzeniami wiatru. Przymocowany do cienkich metalowych prętów materiał szarpał się na wszystkie strony. Za chwilę

podrze się albo parasole wywrócą się na drugą stronę. Tanner wiedział, że dziwnie będzie wyglądać, jeśli się o nie nie zatroszczy. To nie byłoby normalne.

-Złóż je. To zajmie tylko dwie minuty.

-Pomóc ci?

-Nie ma sensu, żebyśmy się oboje zmoczyli.

-Twoja peleryna jest w szafie w holu.

Wiatr był silny, a deszcz lał się z nieba potokami. Tanner zasłonił twarz rękoma i walcząc z ulewą ruszył ku najdalej stojącemu stołowi. Sięgnął pod trzepoczący materiał i wymacał palcami metalowy zatrzask. Zaczął składać parasol.

Coś stuknęło głośno o stół z kutego żelaza. Od blatu oderwały się, raniąc go w ramię, kawałki metalu. Rozległ się kolejny huk. Spod jego stóp oderwały się bryłki cementu i zabębniły o podstawę stołu. I kolejny strzał, tym razem z jego drugiej strony.

Tanner dał nurka pod metalowy stół, chowając się przed pociskami.

Nadlatywały jeden za drugim, wszystkie o kilka cali od niego. W powietrzu fruwały kawałki metalu i kamienie.

Zaczął się czołgać z powrotem w stronę domu, ale zastygł w bezruchu, widząc wzbijane wokół siebie grudki mokrej ziemi. Złapał stojące przed sobą krzesło i trzymał je kuczowo, jakby to były ostatnie nitki rwącej się liny, na której wisi wysoko nad przepaścią. Sparalizowany strachem czekał na śmierć.

- Puść to krzesło! Do diabła! Puść to krzesło!

Osterman doczołgał się do niego. Uderzył Tannera w twarz i wyrwał mu z rąk krzesło. Razem dopelzli do domu; pociski waliły o gontowy dach.

- Odejdźcie! Odejdźcie od drzwi! - wrzasnął Bernie. Ale albo zawołał za późno, albo Leila nie zważała na jego rozkazy. Otworzyła drzwi. Osterman cisnął Tannera do środka i skoczył w ślad za nim, łądując na jego plecach. Leila ukucnęła pod oknem i zatrzaskała drzwi.

Strzały umilkły.

Alice rzuciła się ku mężowi. Obróciła go na plecy, ujmując w dłonie jego głowę i ścierając krew z jego nagich ramion.

-Trafili cię? - zawołał Bernie.

-Nie, nic mi nie jest.

-Nieprawda! O Boże! Spójrzcie na jego ramiona! - Alice próbowała zetrzeć krew ręką.
-Leila! Znajdź jakiś alkohol! Jodynę. Alice, masz w domu jakąś jodynę?
Alice nie była w stanie odpowiedzieć na pytanie Berniego. Łzy płynęły ciurkiem po jej policzkach. Leila złapała ją za ramiona.
- Uspokój się, Alice! Przestań! Gdzie są jakieś bandaże? Jakies środki aseptyczne? Johnny potrzebuje pomocy!
- Jest jakiś spray w pomieszczeniu gospodarczym. I wata.
Nie chciała odejść od męża. Do spiżarni poczołgała się Leila.
Bernie zbadał ramiona Tannera.
- Nie wygląda to tak źle. Po prostu kilka zadrapań. Nie wydaje mi się, żeby coś utkwiło w środku.
John popatrzył na Berniego. Pogardzał samym sobą.
-Ocaliłeś mi życie... Nie wiem, co powiedzieć.
-Możesz mnie pocałować w moje następne urodziny... Dobra dziewczynka - zwrócił się do Leili, która zjawiała się z powrotem. - Daj mi to świństwo. - Wziął od niej pojemnik z lekarstwem i spryskał sprayem ramiona Tannera. - Alice, wezwij policję. Trzymaj się daleko od okna i sprowadź tutaj tego tłustego rzeźnika, którego nazywacie kapitanem policji!
Alice niechętnie zostawiła męża i ruszyła na czworakach wzdłuż kuchennego zlewu. Wysunęła do góry rękę i zdjęła słuchawkę z widełek.
- Nie ma sygnału.
Leila westchnęła głośno. Bernie skoczył ku Alice i wydarł jej z dłoni słuchawkę.
- Ma rację.
John Tanner obrócił się i przycisnął ramiona do kuchennych kafli. Nic mu nie było. Mógł się poruszać.
-Sprawdźmy, w jakiej się znajdujemy sytuacji - powiedział powoli.
-Co masz na myśli? - zapytał Bernie.
-Wy, moje panie, zostańcie na podłodze... Bernie, kontakt jest tuż obok telefonu. Sięgnij w górę i kiedy policzę do trzech, zapal górne światło.
-Co masz zamiar zrobić?

- Zrób po prostu to, co mówię.
Tanner podczołgał się do drzwi obok baru i wstał w miejscu, w którym nie widać go było przez okno. Słyszał tylko szum wiatru, deszcz i rozlegające się co jakiś czas grzmoty.
- Gotów? Zaczynam liczyć.
-Co on chce zrobić? - Alice zaczęła się podnosić, ale Osterman złapał ją i przycisnął do podłogi.
-Ćwiczyłeś to już, Bernie - powiedział John. - Regulamin żołnierza piechoty. Rozdział: Nocne patrole. Nie ma powodu do obaw. Moje szanse są jak tysiąc do jednego.
-Nie w tym podręczniku, który czytałem.
- Zamknij się... Raz, dwa, trzy!
Osterman przekreślił kontakt i w kuchni zapaliło się górne światło.
Tanner skoczył w stronę spiżarni.
Rozległ się huk wystrzału i brzęk tłuczonego szkła. Pocisk uderzył w ścianę, odrywając od niej kawałki tynku. Osterman zgasił światło.
Otrzymali sygnał. Sygnał, że wróg czuwa.
Leżący na podłodze John Tanner zamknął oczy.
-A więc taka jest nasza sytuacja - powiedział cicho. - Mikrofony były kłamstwem. Wszystko jest kłamstwem.
-Nie! Nie wchodźcie tutaj! Cofnijcie się! - krzyknęła Leila i przez chwilę nie wiedzieli, o co jej chodzi. A potem obie kobiety rzuciły się w stronę korytarza.
Dzieci Tannera nie słyszały strzałów na dworze; zagłuszył je deszcz, pioruny i nastawiony głośno telewizor. Ale usłyszały strzał w kuchni. Leila i Alice rzuciły się teraz ku nim, przewracając na podłogę i zasłaniając własnymi ciałami.
-Alice, zabierz dzieci do jadalni. Nie podnoście się - rozkazał Tanner. - Nie masz pistoletu, Bernie?
-Przykro mi, nie mam i nigdy nie miałem.

-Ja też. Czy to nie śmieszne? Zawsze potępiałem tych, którzy kupowali broń. Że są tacy cholernie prymitywni.

-Co teraz zrobimy? - Leila próbowała zachować zimną krew.

-Wydostaniemy się stąd - odparł Tanner. - Strzały padają z lasku. Ten, kto strzela, nie może wiedzieć, czy mamy broń. Nie będzie strzelał do nas przed domem... tak mi się przynajmniej wydaje.

Samochody przejeżdżają Orchard Drive całkiem często. Wskoczmy do naszego kombi, gaz do dechy i już nas tu nie ma.

-Ja otworzę drzwi - powiedział Osterman.

-Dokonałeś już dość bohaterских czynów jak na jedno popołudnie. Teraz moja kolej. Jeśli zgramy to w czasie, nie będzie żadnego problemu. Drzwi otwierają się dość szybko.

Wczołgali się do garażu.

Dzieci leżały między walizkami w tylnej części kombi, skurczone, ale dobrze osłonięte. Leila i Alice ukucnęły na podłodze za przednimi fotelami. Osterman siadł za kierownicą, a Tanner stał przy drzwiach garażu, gotów w każdej chwili podnieść je w górę.

- Ruszaj! Zapal silnik! - Poczeka, aż silnik złapie obroty, a potem otworzy drzwi garażu i wskoczy do samochodu. Nie było żadnych przeszkód. Z łatwością ominą małego triumpha i w ciągu krótkiej chwili znajdują się na Orchard Drive. - Zapalaj, Bernie! Na litość boską, zapal silnik!

Zamiast tego Osterman otworzył drzwiczki i wysiadł.

- Rozrusznik nie działa - powiedział, spoglądając na Tannera.

Tanner przekręcił kluczyk w stacyjce triumpha. Silnik nie odpowiedział. Osterman otworzył maskę i dał znak Johnowi, żeby podszedł bliżej. Dwaj mężczyźni przyjrzeni się silnikowi; Tanner trzymał w ręku zapalniczkę.

Przecięte były wszystkie przewody.

-Czy drzwi garażu otwierają się od zewnątrz? - zapytał Bernie.

-Tak. Chyba że są zamknięte na klucz.

-A były?

-Nie.

-Usłyszeliśmy, gdyby je ktoś otworzył?

-Przy tym deszczu chyba nie.

-W takim razie całkiem możliwe, że ktoś tutaj jest.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na drzwi do małej łazienki. Były zamknięte. Jedyne miejsce w garażu, w którym można się było ukryć.

- Wykurzmy ich stąd - szepnął Tanner.

Alice, Leila i dwójka dzieci wycofały się w głąb domu. Bernie i John rozejrzeli się po garażu, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć jako broń. Tanner wziął do ręki zardzewiałą siekiere; Osterman widły. Obaj podeszli do zamkniętych drzwi.

Tanner dał znak Berniemu. Osterman otworzył drzwi, a John wpadł do środka z podniesioną wysoko nad głowę siekiere.

Łazienka była pusta. Ale na ścianie widniała wymalowana czarnym sprayem grecka litera.

25

Tanner kazał im wszystkim zejść do piwnicy. Alice i Leila sprowadziły dzieci na dół, próbując przekonać je, że to tylko zabawa. Tanner zatrzymał Ostermana u szczytu schodów.

-Ustawmy parę przeszkód, dobrze?

-Myślisz, że to konieczne?

-Chcę się po prostu zabezpieczyć na każdą ewentualność. Poruszając się na czworakach obaj mężczyźni zabarykadowali

trzema ciężkimi fotelami korytarz przy drzwiach frontowych. Dwa fotele ustawili jeden na drugim, trzeci dosunęli z boku. Potem podczołgali się kolejno do wszystkich okien i uważając, żeby nie było ich widać z zewnątrz, sprawdzili zamki.

Tanner zabrał z kuchni latarkę i włożył ją do kieszeni. Razem przesunęli winylowy stół pod tylne drzwi: Tanner pchnął kilka aluminiowych krzeseł w stronę Ostermana, który umieścił je pod stołem, podsuwając oparcie jednego z nich pod klamkę.

-To wcale nie jest dobry pomysł - stwierdził Bernie. - Zamykasz tu nas jak w więzieniu. Powinniśmy raczej pomyśleć, jak się stąd wydostać!

-Masz jakiś pomysł?

W przyćmionym świetle Osterman widział tylko niewyraźną sylwetkę Tannera. W głosie dziennikarza brzmiała desperacja.

-Nie, nic nie wymyśliłem. Ale musimy próbować!

-Wiem. Tymczasem jednak powinniśmy zabezpieczyć się na

każdą ewentualność... Nie wiemy, jak wygląda sytuacja na zewnątrz. Ilu ich jest i gdzie się kryją.

- W takim razie kończmy to, co zaczęliśmy.

Dwaj mężczyźni wyczołgali się z kuchni, minęli spiżarnię i zeszli do garażu. Drzwi na zewnątrz były tutaj zamknięte na klucz, ale zabezpieczyli je dodatkowo, podsuwając pod klamkę ostatnie kuchenne krzesło. Wczołgali się z powrotem do holu i zeszli do piwnicy, zabierając ze sobą swoją prymitywną broń: siekierę i widły.

Zza prostokątnych, umieszczonych na poziomie ziemi okienek dochodziły odgłosy potężnej ulewy. Co jakiś czas betonowe ściany rozjaśniały się światłem błyskawic.

-Mamy tutaj sucho - powiedział Tanner. - I jesteśmy bezpieczni. Ktokolwiek czai się tam na dworze, jest zmoczony do suchej nitki. Nie może tkwić tam przez całą noc... Jest sobota. Wiecie, jak często policja patroluje tę drogę w weekendy. Zobaczają, że nigdzie nie palą się światła, i przyjdą sprawdzić.

-Dlaczego mieliby to robić? - zapytała Alice. - Pomyślą po prostu, że wyjechaliśmy zjeść kolację na mieście.

-Nie po tym, co zdarzyło się ubiegłej nocy. MacAuliff obiecał, że będzie miał nasz dom na oku. Z wozu patrolowego nie ma widoku na patio, ale widać frontowe okna... Patrz.

Tanner wziął swoją żonę pod ramię i zaprowadził ją do pojedynczego okienka, które znajdowało się trochę powyżej poziomu ziemi, obok kamiennych schodków. Po szybie płynęły strugi deszczu i ciężko było coś zobaczyć. Chwilami znikła im z oczu nawet uliczna latarnia przy Orchard Drive. Tanner wyjął z kieszeni latarkę i dał Ostermanowi znak, żeby podszedł bliżej.

-Mówiłem właśnie Alice, że MacAuliff obiecał rano mieć nasz dom na oku. Na pewno dotrzyma obietnicy. Nie życzę sobie więcej kłopotów... Będziemy stać przy tym oknie na zmianę. W ten sposób żadnemu z nas nie zmęczą się oczy. Kiedy tylko ktoś zobaczy Przejeżdżającą policję, będzie dawał znaki latarką, w górę i w dół. Zobaczają to i zatrzymają się.

-To dobry pomysł - stwierdził Bernie. - Bardzo dobry! Cholernie żałuję, że nie powiedziałeś o tym na górze.

-Nie byłem pewien. To śmieszne, ale nie pamiętałem, czy widać Przez to okno ulicę. Sprzątałem tę piwnicę setki razy, ale nie mogłem

sobie dokładnie przypomnieć - odparł, uśmiechając się do nich, Tanner.

-Poczułam się trochę lepiej - powiedziała Leila, próbując natchnąć innych jego optymizmem.

-Alice, ty obejmiesz pierwszą zmianę. Będziemy trzymać wartę po piętnaście minut. Bernie, ty i ja będziemy pilnować pozostałych okien. Leilo, czy mogłabyś się zająć Janet?

- Ja też chciałbym coś robić, tato - wtrącił się Raymond.

Tanner spojrział z dumą na syna.

- Stój przy oknie razem z mamą. Będziesz pełnił wartę bez przerwy. Wypatruj samochodu policyjnego.

Tanner i Osterman spacerowali między trzema oknami, z których dwa położone były z tyłu budynku, a jedno z boku. Po piętnastu minutach Leila zastąpiła Alice przy oknie od frontu. Alice znalazła stary koc i zrobiła z niego coś w rodzaju materaca, na którym położyła Janet. Chłopiec pozostał przy oknie razem z Leilą, co jakiś czas przecierając szybę dłonią, tak jakby to, co robił, mogło usunąć płynące po drugiej stronie strugi wody.

Nikt się nie odzywał; ulewa i podmuchy wiatru wydawały się coraz silniejsze. Przy oknie stanął Bernie. Odbierając latarkę, objął żonę i na kilka sekund przytulił ją mocno do siebie.

Nadeszła i minęła zmiana Tannera. Potem przy oknie ponownie stanęła Alice. Żadne z nich nie powiedziało tego głośno, ale powoli tracili nadzieję. Jeśli MacAuliff rzeczywiście patrolował teren, zwracając szczególną uwagę na posiadłość Tannerów, nie sposób było wytłumaczyć, dlaczego policyjny samochód nie pojawił się ani razu w ciągu całej godziny.

- Widzę, tato! Jedzie! Widzisz to czerwone światło?

Tanner, Bernie i Leila rzucili się do okna, przy którym stali Alice i chłopiec. Alice włączyła latarkę i machała nią w górę i w dół. Samochód zwolnił. Jechał teraz bardzo wolno, lecz mimo to się nie zatrzymał.

- Daj mi to światło!

Tanner wycelował latarkę prosto w samochód. W biegnącym przez ulewę snopie światła zobaczył rozmyty kształt białego wozu. Nie mogło być mowy o pomyłce. Poruszył energicznie latarką do góry. Ktokolwiek siedział za kierownicą, musiał zobaczyć światło. Promień latarki musiał dotrzeć do szyby, oślepić kierowcę.

Ale samochód się nie zatrzymał. Minął podjazd do ich domu i powoli odjechał.

Tanner zgasił latarkę. Bał się odwrócić, bał się spojrzeć w twarz pozostałym.

-Nie podoba mi się to - powiedział cicho Bernie.

-Musiał widzieć to światło! Musiał! - Alice trzymała syna, który wciąż wyglądał przez okno.

-Niekoniecznie - skłamał John Tanner. - Na dworze jest prawdziwy potop. Okna samochodu były prawdopodobnie tak samo zalane jak nasze. A może nawet bardziej. I od środka zaparowane. Niedługo znowu przyjedzie. Następnym razem musimy mieć pewność. Następnym razem wybiegnę na dwór.

-W jaki sposób? - zapytał Bernie. - Wydaje ci się, że zdążysz? Zabarykadowaliśmy meblami drzwi.

-Wyczołgam się przez to okno. - Tanner przyjrzał się dokładnie rozmiarom framugi. Okno było za małe. Jak łatwo przechodziły mu kolejne kłamstwa.

-Ja mogę się tędy wydostać, tato!

Chłopiec miał rację. Być może trzeba będzie go wysłać. Ale wiedział, że tego nie zrobi. Nie mógł tego zrobić.

Człowiek, który siedział w samochodzie, widział snop światła i nie zatrzymał się.

- Wracajmy do okien. Leilo, ty obejmiesz wartę. Alice, sprawdź, co z Janet. Chyba zasnęła.

Tanner wiedział, że musi ich czymś zająć, nawet jeśli w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. W przeciwnym razie każdy z osobna zacznie snuć najgorsze domysły i wszyscy wpadną w panikę.

Rozległ się ogłuszający huk gromu. Piwnicę rozjaśniło światło błyskawicy.

- Johnny! - Osterman tkwił przy lewym tylnym okienku. -

Chodź no tutaj.

Tanner podbiegł do niego i wyjrzał na zewnątrz. Przez strugi chłostzczącej ziemi ulewy daleko za basenem, tuż przy skraju lasu widać było krótki, pionowy snop światła. Promień kołysał się powoli i podskakiwał. A potem w świetle kolejnej błyskawicy ujrzeli trzymającą latarkę postać. Ktoś szedł w stronę domu.

- Ktoś boi się, że wpadnie do basenu - szepnął Bernie.

-Co się stało? - usłyszeli zaniepokojony głos Alice, która usiadła na zaimprovizowanym posłaniu obok córki.

-Ktoś jest na zewnątrz - odparł Tanner. - Niech nikt się nie rusza... To może być pomoc. To może być policja.

-Albo człowiek, który do nas strzelał. O Boże!

-Ćśśś! Cicho.

Leila porzuciła swój posterunek przy oknie i podeszła do Alice.

-Odsuń twarz od szyby, Bernie.

-Jest coraz bliżej. Okrąża basen.

Tanner i Osterman odsunęli się i stanęli po obu stronach okna. Mężczyzna na dworze miał na sobie obszerne poncho, a na głowie przeciwdeszczowy kapelusz. Zgasił latarkę i podszedł do tylnego wejścia.

Uwięzieni w piwnicy usłyszeli nad głowami, jak dobija się do kuchennych drzwi, a potem próbuje je wyważyć. Po chwili hałas ustał i znowu dobiegały ich tylko odgłosy burzy. Intruz ruszył dalej. Tanner widział ze swego stanowiska z boku okna, jak tańczący w górę i w dół promień światła znika po drugiej stronie domu, tam gdzie mieścił się garaż.

- Bernie! - Leila stanęła obok Alice i Janet. - Spójrz! Spójrz tutaj!

Przez boczne okienko wpadał do środka piwnicy snop światła. Był oddalony, ale bardzo silny i szybko się zbliżał. Człowiek, który trzymał w ręku latarkę, musiał biec w stronę domu.

Nagle światło zgasło i znów otaczały ich tylko deszcz i błyskawice. Tanner i Osterman podeszli z obu stron do bocznego okna i ostrożnie wyjrzeni na zewnątrz. Nikogo nie zauważyli, żadnej postaci, nic oprócz deszczu, którego niesione przez wiatr ukośne strugi smagały wściekle szybę.

Na górze rozległ się głośny trzask. A po chwili kolejny, jeszcze głośniejszy, odgłos drewna uderzającego o drewno. Tanner podbiegł do schodów. Drzwi do piwnicy były zamknięte na klucz, ale bardzo cienkie; można je było wyważyć z zawiasów jednym mocnym kopnięciem. Podniósł w górę siekiere, gotów spuścić ją na głowę pierwszego, kto zejdzie w dół.

Cisza.

Z głębi domu nie dochodziły żadne dźwięki.

Nagle Alice Tanner krzyknęła głośno. Szybę od frontu przecierała czyjaś wielka dłoń. Mrok rozjaśniło silne światło latarki. Jakiś człowiek ukucnął za oknem; jego twarz skryta była za przeciwdeszczowym kapturem.

Tanner skoczył w stronę posłania i złapał w objęcia Janet.

- Cofnijcie się! Cofnijcie się pod frontową ścianę!

Rozległ się brzęk tłuczonej szyby. Kopnięte podkutym butem szkło rozprysło się na wszystkie strony. Intruz kopał dalej; w powietrzu fruwały kawałki ramy, okruchy szyby i błoto. Przez wybite okno lał się do środka deszcz. Szóstka więźniów stłoczyła się przy frontowej ścianie. Snop światła omiótł podłogę, a potem oświetlił przeciwległą ścianę i schody.

To, co nastąpiło potem, dosłownie ich sparaliżowało.

Przy skraju futryny pojawiła się lufa i nagle ciszę rozdarła ogłuszająca seria. Pociski uderzały w podłogę i przeciwległą ścianę. Na chwilę zapadła cisza. W piwnicy unosił się pył; w świetle potężnej latarki

przypominał tumany kamiennej mgły. I następna seria; napastnik strzelał wściekle, na oślep. Doświadczenie żołnierza piechoty mówiło Tannerowi, że do automatu załadowany został kolejny magazynek.

A potem ktoś inny rozbił kolbą szybę lewego tylnego okna, dokładnie naprzeciwko nich. Szeroki snop latarki wyłuskał z ciemności grupę stłoczonych przy ścianie ludzi. Tanner zobaczył, jak jego żona obejmuje Janet, zasłaniając jej małe ciało swoim własnym. Coś w nim pękło.

Rzucił się w stronę okna i zamachnął siekierą, mierząc prosto w skuloną za nim postać. Napastnik odskoczył do tyłu; w sufit nad głową Tannera uderzyły pociski. Znalazł się nagle w snopie światła z drugiego okna. To koniec, przeleciało mu przez głowę. Już po mnie. W tej samej chwili Bernie uderzył widłami w lufę i strzały z drugiego okna ominęły Tannera. Dziennikarz podczołgał się z powrotem do swojej żony i córki.

- Uciekajcie tam! - zawołał, popychając je ku ścianie, która przylegała do garażu. Janet nie mogła powstrzymać płaczu.

Bernie złapał żonę za przegub i pociągnął ją w kąt piwnicy. Snopy światła wzajemnie się krzyżowały. Rozległy się kolejne strzały; powietrze było gęste od pyłu; nie sposób było oddychać.

Światło z tyłu nagle zgasło; światło z przodu nadal niezdarnie myszkowało po piwnicy. Drugi strzelec zmienił pozycję. Po chwili doszedł ich kolejny trzask i brzęk tłuczonego szkła, tym razem w oknie z boku. Oślepił ich szeroki snop światła. Tanner popchnął żonę i syna do tyłu, w stronę narożnika przy schodach. Zagrzmiały strzały; Tanner czuł, jak powietrze drży od przelatujących obok i trafiających w ścianę nad nim i wokół niego pocisków.

Znaleźli się w krzyżowym ogniu.

Ścisnął mocno siekierę, a potem skoczył do przodu, nie zważając na strzały, wiedząc doskonale, że każda kula może pozbawić go życia. Ale żadna nie mogła go trafić, zanim nie dopadnie napastnika. Nic nie mogło go powstrzymać!

Dobiegł do okna w bocznej ścianie i zamachnął się na ukos siekierą. Rozległ się okrzyk bólu. Przez wybite okno chlusnęła krew, ochlapując mu twarz i ramiona.

Drugi strzelec próbował w niego trafić, ale było to niemożliwe. Pociski trafiały w podłogę.

Osterman skoczył do przodu, w stronę okna we frontowej ścianie. Na ramieniu trzymał widły. W ostatniej chwili cisnął nimi niczym oszczepem na zewnątrz. Rozległ się okrzyk bólu; strzały umilkły.

Tanner oparł się o ścianę pod oknem. W świetle błyskawic widział płynącą po betonie krew.

To, że uszedł z życiem, wydawało mu się prawdziwym cudem.

Odwrócił się i ruszył w stronę żony i dzieci. Alice tuliła do siebie zanoszącą się płaczem Janet. Chłopiec obrócił się twarzą do ściany. Jego ramionami wstrząsał nie kontrolowany szloch.

- Leila! Na miłość boską! Leila! - Histeryczny krzyk Berniego zapowiadał najgorsze.

- Tu jestem - odparła cicho Leila. - Nic mi nie jest, kochanie.

Tanner odnalazł ją przy frontowej ścianie. Nie posłuchała jego wezwania, żeby schronić się gdzie indziej.

A potem jego wyczerpany umysł odnotował coś, co go zastanowiło. Leila miała przypiętą do bluzki dużą zielonkawą broszkę - wcześniej nie zwrócił na nią uwagi. Dostrzegł ją dopiero teraz, ponieważ świeciła w ciemności. Fluoryzująca broszka w hipisowskim stylu - takie rzeczy sprzedaje się w modnych butikach. Nie sposób jej było nie zauważyć po ciemku.

W przyćmionym świetle błyskawicy przyjrzał się betonowej ścianie wokół Leili. Nie był do końca pewien, ale wydawało mu się, że nie widzi na niej śladów po pociskach.

Jedną ręką objął żonę i córkę, a drugą dotknął głowy syna. Bernie podbiegł do Leili i uściskał ją. Przez hałas szalejącej na zewnątrz nawałnicy doszedł ich niesiony wiatrem odgłos policyjnej syreny.

Stali bez ruchu, wyczerpani ponad granice ludzkiej wytrzymałości. Po kilku minutach usłyszeli na górze głosy i pukanie do drzwi.

- Panie Tanner! Panie Tanner! Niech pan otworzy drzwi!

Tanner puścił żonę i syna i podszedł do wybitego okna przy frontowej ścianie.

- Jesteśmy tutaj. Jesteśmy tutaj, zastrane kutasy.

26

Tanner wielokrotnie widział, jak ci dwaj policjanci regulowali ruch i patrolowali ulice Saddle Valley. Nie znał jednak ich nazwisk. Przyjęto ich do służby przed kilku miesiącami i byli młodszy od Jenkinsa i McDermotta.

Nie dał im dojść do słowa. Dopadł pierwszego z nich i przycisnął do ściany w holu, plamiąc zakrwawionymi rękoma jego przeciwdeszczową pelerynę. Drugi policjant zbiegł szybko do piwnicy, szukając pozostałych.

-Na litość boską, niech pan mnie puści!

-Ty cholerny sukinsynu! Ty pieprzony palancie! Mogli tam nas na dole... mogli tam nas na dole wszystkich powystrzelać! Wszystkich! Moją żonę! Moje dzieci! Dlaczego to zrobiłeś? Chcę usłyszeć odpowiedź, i to zaraz!

-Puszczaj pan, do diabła! Co takiego zrobiłem? Co mam panu odpowiedzieć, na miłość boską?

-Pół godziny temu przejechałeś koło tego domu. Zobaczyłeś znaki latarką i zlekceważyłeś je. Odjechałeś stąd!

-Pan zwariował! Razem z Ronniem patrolowaliśmy północny skraj miasteczka. Dostaliśmy polecenie, żeby tutaj przyjechać, dopiero pięć minut temu. Niejaki Scanlan doniósł, że słyszał strzały.

-Kto jeździ drugim samochodem? Chcę wiedzieć, kto jeździ drugim samochodem!

-Jeśli zabierze pan z mojej peleryny te cholerne ręce, pójdę i przyniosę grafik. Zapomniałem, jak się nazywają, ale wiem, gdzie pojechali. Na Apple Drive. Było tam włamanie.

- Przy Apple Drive mieszkają Cardone'owie!

- To nie był dom Cardone'ów. Znam go. Włamanie było u Needhamów. To takie starsze małżeństwo.

W holu pojawiła się Alice, trzymając na rękach Janet. Dziecko było bliskie wymiotów i łapało kurczowo powietrze. Alice szlochała cicho, kołysząc ją w ramionach.

Zaraz za nią pokazał się ich syn, z twarzą pobrudzoną pyłem i poznaczoną smugami łez. Następni byli Ostermanowie. Bernie obejmował Leile, pomagając jej wejść po schodach. Trzymał ją w talii tak mocno, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić.

Z piwnicy wyszedł w końcu powoli drugi policjant, Ronnie. Wyraz jego twarzy przestraszył tego, który stał na górze.

-Jezus Maria, Józefie święty! - szeptał cicho Ronnie. - Tam na dole jest istna jatka... Jak Boga kocham, nie wiem, w jaki sposób udało im się ująć z życiem.

-Zadzwoń do MacAuliffa. Powiedz, żeby tutaj przyjechał.

-Linia jest przecięta - powiedział Tanner, prowadząc delikatnie Alice w stronę sofę w salonie.
-Wywołałam go przez radio. - Ronnie ruszył ku frontowym drzwiom. - Nie uwierzysz własnym oczom - dodał cicho.
Drugi policjant podsunął fotel Leili. Opadła nań i dopiero wtedy łzy popłynęły strugami z jej oczu. Bernie pochylił się nad nią i gładził ją po włosach. Raymond ukucnął obok ojca, naprzeciwko matki i siostry. Skrajnie przerażony, nie był w stanie się ruszyć, wpatrywał się tylko bez słowa w twarz Tannera.
Policjant ruszył w stronę wiodących do piwnicy schodów. Zamierzał najwyraźniej zejść na dół - nie tylko, żeby zaspokoić ciekawość, ale dlatego, że scena w salonie była zbyt osobista.
Otworzyły się drzwi wejściowe i do środka zajrzał drugi policjant.
-Rozmawiałem z MacAuliffem. Odebrał meldunek na swojej częstotliwości w samochodzie. Jezu, powinieneś go słyszeć. Jedź tutaj.
-Ile to potrwa? - zapytał ze swojej sofę Tanner.
-Niedługo, proszę pana. Mieszka osiem mil stąd, a drogi są zatłoczone. Ale sądząc po jego głosie, dotrze tutaj szybciej, niż udałoby się komukolwiek innemu.

Rozmieściłem dwunastu ludzi wokół posiadłości i dwóch w środku domu. Jeden będzie pełnił wartę na dole, drugi w holu na górze. Nic więcej nie mogę zrobić.

MacAuliff był w piwnicy, razem z Tannerem. Inni byli na górze. Tanner chciał porozmawiać z kapitanem w cztery oczy.

-Niech pan mnie posłucha! Któryś z pańskich ludzi przejechał obok tego domu i nie chciał się zatrzymać! Wiem dobrze, że zobaczył znaki dawane latarką. Zobaczył je i odjechał!

-Nie wierzę panu. Dokładnie to sprawdziłem. Żaden z patroli niczego tutaj nie zauważył. Widział pan grafik. To miejsce oznaczone jest jako wymagające szczególnego nadzoru.

-Zobaczyłem, jak samochód odjeżdża!... Gdzie jest Jenkins? McDermott?

-Mają wolny dzień. Zastanawiam się, czy nie wezwać ich z powrotem.

-To dziwne, że wzięli sobie wolne akurat w weekend, nie uważa pan?

-Daję moim ludziom wolne co drugi weekend. W sobotę i niedzielę mamy zawsze pełną obsadę. Tak jak sobie tego życzyła rada miejska.

W głosie MacAuliffa Tanner usłyszał nutkę niepokoju. Kapitan zaczynał się usprawiedliwiać.

- Musi pan jeszcze dla mnie coś zrobić - stwierdził dziennikarz.

MacAuliff nie zwracał na niego uwagi. Przyglądał się ścianom betonowej klatki. Pochylił swoje olbrzymie cielsko i podniósł z podłogi kilka ołowianych kul.

- Chcę, żeby zebrano stąd i wysłano do analizy wszystkie dowody rzeczowe. Jeśli w Newark nie dadzą sobie z tym rady, poproszę

O pomoc FBI. Co pan mówi?

-Powiedziałem, że musi pan jeszcze dla mnie coś zrobić. Nie wolno panu odmówić. Zrobimy to we dwójkę. Nie może nam towarzyszyć nikt inny.

-Co takiego?

-Znajdziemy razem jakiś telefon i zadzwoni pan w dwa miejsca.

-Dokąd? - zapytał MacAuliff. Tanner podszedł do schodów, żeby upewnić się, czy nikogo tam nie ma.

-Do Cardone'ów i Tremayne'ów. Chcę wiedzieć, gdzie są.

i gdzie byli.

-Co, do diabła, pan sugeruje?

-Niech pan po prostu zrobi to, co mówię!

-Myśli pan...

-Nic nie myślę! Chcę po prostu wiedzieć, gdzie są... Powiedzmy, że wciąż się o nich martwię. - Tanner ruszył w górę po schodach, ale MacAuliff nadal stał bez ruchu pośrodku piwnicy.

- Niech pan zaczeka! Chcę pan, żeby do nich zadzwonił, a potem zweryfikował ich wersję. Dobrze, zrobię to... Teraz moja kolej. Przez pana rozboleły mnie moje wrzody. Co się tutaj w ogóle, do diabła, dzieje? Za wiele rzeczy nie trzyma się kupy, żeby dać się nabrać! Jeżeli pan i pańscy przyjaciele wpadliście w jakieś kłopoty, niech pan wyłoży karty na stół i wszystko mi opowie. Nie mogę nic

zrobić, jeśli nie wiem, kogo mam ściagać. I powiem panu coś jeszcze... -

MacAuliff ściszył głos i wyciągnął palec w stronę dziennikarza, trzymając się drugą ręką za bolący brzuch. - Nie dam sobie zszargać opinii tylko dlatego, że gracie ze mną w chowanego. Nie pozwolę, żeby na moim terenie doszło do masowego morderstwa dlatego, że nie chcecie zdradzić mi tego, co powinienem od dawna wiedzieć.

Tanner zatrzymał się tam, gdzie stał, z jedną nogą na schodku. Wlepił wzrok w MacAuliffa i przez chwilę się zastanawiał. Za chwilę powinien się dowiedzieć.

-W porządku... To Omega... Słyszał pan o Omedze? - Nie spuszczał z oczu kapitana, czekając, czy się nie zdradzi. - Zapomniałem. Pan przecież nie został dopuszczony do sprawy Omegi, prawda?

-O czym pan, do diabła, mówi?

-Niech pan zapyta Jenkinsa. Może panu powie... Ruszajmy na górę.

Siedząc w samochodzie MacAuliffa zadzwonili w trzy miejsca. Uzyskana informacja była jasna i precyzyjna. Tremayne'ów i Car-done'ów nie było ani w domu, ani w najbliższej okolicy.

Cardone'owie znajdowali się w hrabstwie Rockland, po drugiej stronie Nowego Jorku. Pojechali na kolację, powiedziała pokojówka; i jeśli pan kapitan się z nimi skontaktuje, niech będzie tak dobry i poprosi ich, żeby zadzwonili do domu. Był pilny telefon z Filadelfii.

Virginia znowu gorzej się poczuła i Tremayne'owie pojechali do swojego doktora w szpitalu w Ridge Park.

Doktor potwierdził, że złożyli mu wizytę. Był przekonany, że po

wyjściu od niego pojechali do Nowego Jorku. Dokładnie rzecz biorąc, zapisał Ginny w charakterze kuracji kolację przy świecach i jakiś spektakl. Nawrót choroby miał czysto psychologiczne podłoże. Trzeba było zająć czymś panią Tremayne, żeby przestała myśleć o starym dworcu przy Lassiter Road.

Wszystko było dokładnie zaplanowane, pomyślał Tanner. Wszystko potwierdzały osoby trzecie.

Mimo to żadnego z małżeństw nie można było skreślić z listy podejrzanych.

Kiedy bowiem Tanner rekonstruował w myśli wydarzenia w piwnicy, uświadomił sobie, że jedna z postaci, która zamierzała ich zabić, mogła być kobietą.

Fassett oświadczył, że Omega składa się z zabójców i fanatyków. Z mężczyzn i kobiet.

-Dowiedział się pan tego, co chciał pan wiedzieć - oświadczył MacAuliff, przerywając tok myśli Tannera. - Sprawdzimy ich, kiedy wrócą. Nie powinno to być, jak pan widzi, zbyt trudne.

-Tak... Tak, oczywiście. Zadzwoń pan do mnie, kiedy pan z nimi porozmawia.

-Nie obiecuję. Zrobię to, jeśli uznam, że powinien pan wiedzieć.

Przyjechał mechanik, żeby zreperować oba samo-chody. Tanner zaprowadził go przez kuchnię do garażu i pokazał, obserwując wyraz jego twarzy, przecięte przewody.

- Miał pan rację, panie Tanner. Wszystkie są przecięte. Połączę je prowizorycznie, a potem wymienimy je w warsztacie. Ktoś zrobił panu paskudny kawał.

Tanner wrócił do kuchni, w której siedzieli Ostermanowie i jego żona. Dzieci były na górze, w pokoju Raymonda, gdzie towarzyszył im na ochotnika jeden z policjantów MacAuliffa. Miał bawić się z nimi, w co tylko sobie zażyczą, i postarać się, by nie przeszkadzały w rozmowie dorosłym.

Osterman był nieugięty. Muszą wyjechać z Saddle Valley, muszą dotrzeć do Waszyngtonu. Zrobią to, kiedy tylko mechanik naprawi kombi, ale zamiast pokonywać całą drogę samochodem, pojadą na lotnisko Kennedy'ego i złapią jakiś samolot. Nie ufali taksówkom

uzynom. Nie zamierzali w ogóle rozmawiać z MacAuliffem. Wsiądą po prostu do samochodu i wyjadą. Kapitan nie ma żadnego prawa ich zatrzymywać.

Tanner usiadł obok Alice naprzeciwko Ostermanów i wziął ją za rękę. Dwa razy Bernie i Leila próbowali go nakłonić, żeby wyjaśnił wszystko żonie, i za każdym razem Tanner upierał się, że robi to, gdy będą ze sobą sami.

Ostermanowie chyba zrozumieli.

Alice nie, i dlatego trzymał ją za rękę.

Za każdym razem, kiedy odzywała się Leila, Tanner przypominał sobie jej błyszczącą w ciemności broszkę - i nie poznaną pociskami ścianę.

Zabrzmiął gong u drzwi i Tanner poszedł otworzyć. Wrócił z uśmiechem na ustach.

- Wracamy do normalności. Przyszli mechanicy, żeby naprawić telefon - powiedział, stojąc w progu. W jego głowie powoli dojrzewały zarysy planu. Żeby go zrealizować, będzie potrzebował pomocy Alice.

Żona spojrzała mu w oczy, czytając w jego myślach.

-Pójdę zobaczyć dzieci - powiedziała i wyszła z kuchni. Tanner podszedł do stołu. Wziął paczkę papierosów i włożył ją do kieszeni koszuli.

-Masz zamiar jej teraz powiedzieć? - zapytała Leila.

-Tak.

-Powiedz jej wszystko. Może coś zrozumie z tej całej... Omegi. - Bernie wciąż wydawał się nie przekonany.

- Bóg mi świadkiem, że ja nie potrafię.

-Widziałeś znak na ścianie.

Bernie posłał Tannerowi zagadkowe spojrzenie.

-Widziałem.

-Przepraszam, panie Tanner. - W drzwiach kuchni pojawił się dyżurujący na dole policjant. - Chcą się z panem zobaczyć monterzy. Są w pańskim gabinecie.

-W porządku. Zaraz tam będę. - Tanner odwrócił się z powrotem do Berniego. - Jeśli już zapomniałeś, na ścianie wymalowana była grecka litera omega - dodał i wyszedł szybkim krokiem z kuchni. Za oknami gabinetu widać było kłębiące się nisko chmury. Deszcz, chociaż trochę zelżał, był nadal silny. W pokoju panował półmrok; zapalona była tylko lampa na biurku.

- Panie Tanner - odezwał się ktoś za jego plecami i dziennikarz gwałtownie się odwrócił. Z tyłu stał, wpatrując się w niego uważnie, ubrany w niebieską kurtkę firmy telefonicznej agent o nazwisku Cole. Towarzyszył mu drugi mężczyzna. - Proszę, niech pan nie podnosi głosu.

Krew uderzyła Tannerowi do głowy. Skoczył ku agentowi.

- Ty sukinsynu...

Dwaj mężczyźni zatrzymali go. Wykręcili mu ręce i przycisnęli je do pleców. Cole ścisnął go za ramię.

-Proszę! - powiedział. Jego głos drżał od skrywanej pasji. - Wiemy, przez co pan przeszedł! Nie możemy tego zmienić, ale możemy pana zapewnić, że jest już po wszystkim. Akcja skończona, panie Tanner. Złamaliśmy Omegę.

-Nie chcę o tym słyszeć! Wy sukinsyny! Pieprzone sukinsyny! Was w ogóle nie ma! Nikt nigdy nie słyszał o żadnym Fassette. Wasze telefony są rozłączone. Wasze...

-Musieliśmy się stąd błyskawicznie wycofać - przerwał mu agent. - Musieliśmy zejść z posterunków. To było konieczne. Wszystko panu wyjaśnimy.

-Nie wierzę w ani jedno słowo...

-Niech pan tylko posłucha! Później postanowi pan, co robić, ale teraz niech pan słucha. Fassett jest o dwie mile stąd, dopracowuje ostatnie szczegóły. Wspólnie z Waszyngtonem zaciskają pętlę. Do rana będziemy mieli Omegę w swoich rękach.

-Jaką Omegę? Jaki Fassett? Zadzwońłem do Waszyngtonu. Rozmawiałem z waszą kwaterą w McLean, w Wirginii.

-Rozmawiał pan z niejakim Dwigthem. Teoretycznie jest zwierzchnikiem Andrews, ale nie w rzeczywistości. Dwright nigdy nie miał dostępu do akt Omegi. Skontaktowaliśmy się ze Służbami Tajnymi i dyrektor otrzymał ważny telefon. Nie mieliśmy innego wyboru. musieliśmy się wszystkiego wyprzeć, panie Tanner. W takich przypadkach zawsze zaprzeczamy. Musimy to robić.

-Gdzie podziiali się strażnicy? Co stało się z waszym cholernym podsłuchem? Z waszymi grupami uderzeniowymi, które miały nie pozwolić, żeby włos spadł nam z głowy?

-Wszystko panu później wyjaśnimy. Nie kłamię. Popelniono kilka błędów. Jeśli pan woli, jeden wielki błąd. Nie zawsze możemy

przewidzieć ich wszystkie posunięcia i wiemy o tym. Ale nigdy dotąd nie mieliśmy za przeciwnika Omegi. Najważniejsze, że mamy ich teraz na celowniku. Możemy ich zniszczyć.

- Bzdura! Najważniejsze jest to, że moje dzieci i żona o mały włos nie rozstały się z życiem.

- Niech pan tutaj spojrzy. Niech pan rzuci na to okiem. - Cole wyjął z kieszeni mały metalowy krążek. Jego kolega puścił ramię Tannera. - Proszę, niech pan weźmie to do ręki. Dobrze się przypatrzy.

Tanner wziął krążek i obrócił do światła. Spozrzegł, że mały przedmiot jest cały skorodowany, poznaczony kropkami rdzy.

- Co to jest?

-To jeden z naszych zminiaturyzowanych mikrofonów. Źródłem korozji jest kwas. Ktoś oblał je kwasem, żeby zardzewiały. Pluskwy zostały zniszczone we wszystkich pokojach. Nie dochodziły do nas żadne sygnały.

-Jakim cudem ktoś mógł je odnaleźć?

-To bardzo łatwe, jeśli dysponuje się odpowiednim sprzętem. Nie ma na nich żadnych śladów, żadnych odcisków palców. Tak właśnie działa Omega, panie Tanner.

-Kto wchodzi w jej skład?

-Tego nie wiem nawet ja. O tym wie tylko Fassett. On trzyma w ręku wszystkie nitki. Lepszego od niego agenta nie znajdzie pan na trzech kontynentach. Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan spyta sekretarza stanu, nawet prezydenta. Nic złego nie wydarzy się już w tym domu.

John Tanner wziął kilka głębokich oddechów.

-Zdaje pan sobie chyba sprawę - zwrócił się do agenta - że niczego pan nie wyjaśnił.

-Powiedziałem już panu. Przyjdzie na to pora później.

-To mi nie wystarcza! - odparł Tanner, mierząc agenta wzrokiem.

Cole wytrzymał jego spojrzenie.

-Jaki ma pan wybór? - zapytał.

-Zawołam obecnych tutaj policjantów i o wszystkim powiem.

-I co to panu da? Kupi pan sobie kilka godzin spokoju. Ile to Potrwa?

Tanner miał ochotę zadać mu jeszcze jedno pytanie, jednak doszedł do wniosku, że odpowiedź agenta nie ma w gruncie rzeczy większego

znaczenia. W umyśle dziennikarza krystalizował się plan. Ale Cole nigdy nie miał go poznać.

-Co mam w takim razie robić?

-Nic. Absolutnie nic.

-Kiedy tylko zaczynacie tak mówić, trzeba szykować się na ostrzał z moździerzy.

-Tym razem nie będzie żadnych moździerzy. To już ma pan za sobą.

-Rozumiem. Mam to za sobą. Dobrze. Nie będę robił nic. Czy mogę teraz wrócić do żony?

-Oczywiście.

-Swoją drogą, czy rzeczywiście naprawiliście telefon?

-Tak.

Dziennikarz odwrócił się i wyszedł powoli do holu. Bolały go ramiona.

Nikommu nie mógł już ufać. Musiał sam zdemaskować Omegę.

27

Alice słuchała Johna, siedząc na skraju łóżka. Były chwile, kiedy obawiała się, czy nie postradał zmysłów. Wiedziała, że ludziom takim jak jej mąż, którzy funkcjonują przez dłuższy czas w wielkim stresie, zdarzają się nagłe załamania. Mogła zrozumieć przerażonych widmem katastrofy adwokatów i maklerów, mogła zrozumieć nocnych szaleńców, a nawet nieustanne pragnienie Johna, aby zreformować to, co niereformowalne. Ale to, co jej teraz opowiadał, nie mieściło się po prostu w głowie.

-Dlaczego się zgodziłeś? - zapytała.

-To brzmi głupio, ale złapali mnie w pułapkę. Nie miałem wyboru. Musiałem przez to przejść.

-Zgłosiłeś się na ochotnika!

-Niezupełnie. Godząc się, żeby Fassett wyjawiał mi nazwiska, podpisałem oświadczenie o zachowaniu tajemnicy. Jej naruszenie ściągnęłoby na mnie sankcje przewidziane w Ustawie o Bezpieczeństwie Narodowym. A kiedy dowiedziałem się, kim są, znalazłem się w matni. Fassett przewidział to. Utrzymywanie z nimi dalej normalnych stosunków było niemożliwe. Ale musiałem udawać, w przeciwnym razie groziły mi sankcje karne.

-To straszne - powiedziała cicho Alice.

- Bardziej odpowiednim słowem jest chyba wstrętne.

Opowiedział jej o swoich spotkaniach z Ginny i Leilą przy basenie.

O tym, jak Dick Tremayne przyszedł do niego do garażu. I w końcu o tym, jak Osterman chciał mu coś wyjawić, tuż zanim obudziły wszystkich krzyki Janet.

-Nie podjął już potem tego tematu?

-Powiedział, że proponował mi tylko pieniądze, które mógłbym przeznaczyć na korzystne inwestycje. Oskarżyłem ich, że oboje wchodzi w skład Omegi... A potem uratował mi życie.

-Nie. Poczekaj chwilę. - Alice wyprostowała się. - Kiedy wyszedłeś złożyć parasole i wszyscy przyglądaliśmy ci się w deszczu... a potem rozległy się strzały i wpadliśmy w panikę... próbowałam wtedy wybiec na dwór, ale Leila i Bernie powstrzymali mnie. Krzyczałam i próbowałam im się wyrwać. Leila.... nie Bernie... przycisnęła mnie do ściany. A potem spojrzała nagle na Ostermana i powiedziała: "Możesz iść, Bernie! Wszystko w porządku"... Wtedy tego nie rozumiałam, ale wyglądało to tak, jakby wydała mu rozkaz.

-Kobieta nie wysłała swojego męża pod kule plutonu egzekucyjnego.

-To właśnie mnie zdziwiło. Nie wiem, czy znalazłabym w sobie tyle odwagi, żeby wysłać cię po Berniego - stwierdziła.

Wtedy Tanner opowiedział żonie o świecącej broszce; i o nie poznaczonej kulami ścianie.

-Ale oni byli razem z nami w piwnicy, kochanie, nie na zewnątrz. To nie oni do nas strzelali. - Alice urwała nagle. Nie mogła znieść wspomnienia horroru, nie mogła mówić o tym dalej. Zamiast tego opowiedziała Johnowi o historycznym zachowaniu Cardone'a w salonie i o tym, jak Betty podglądała ich przez okno.

-Więc na tym stanęliśmy - stwierdził, kiedy skończyła. - Choć muszę przyznać, że nadal nie bardzo wiem, co o tym sądzić.

-Ten facet na dole powiedział ci przecież, że jest już po wszystkim. Powiedział ci to.

-Powiedzieli mi już mnóstwo rzeczy... Ale kto to w końcu może być? Czy to możliwe, żeby w grę wchodziły wszystkie trzy małżeństwa?

-O czym mówisz? - zapytała.

-O Omedze. W skład Omegi wchodzi małżeństwa. Muszą działać wspólnie... Ale Tremayne'ów i Cardone'ów uspiono w samo-chodzie. Znalezione ich podobno przy Lassiter Road... Ale czy to prawda?

Tanner włożył ręce do kieszeni i zaczął spacerować po pokoju. Podeszedł do okna i pochylił się nad parapetem, rzucając okiem na trawnik.

- Na dworze aż roi się od gliniarzy. Wyglądają na porządnie znudzonych. Założę się, że nie odwiedzili piwnicy. Zastanawiam się...

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Tanner zrobił nagle pół obrotu i na jego koszuli pojawiła się krew. Alice rzuciła się z krzykiem w stronę męża, który osuwał się powoli na podłogę.

Rozległy się następne strzały, ale przez okno nie wpadł już do środka żaden pocisk. Strzelano na zewnątrz.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadł, podbiegając do leżącego Tannera, policjant, który dyżurował w holu. Po trzech sekundach do pokoju wbiegł z wyciągniętym pistoletem strażnik z dołu. Wokół domu rozbrzmiewały głośne krzyki. Następną pojawiła się w sypialni Leila. Podbiegła zdyszana do Alice i jej męża.

- Bernie! Na litość boską, Bernie!

Ale Ostermana nie było w pobliżu.

- Połóżmy go na łóżku - ryknął policjant, który dyżurował na górze. - Niech pani go puści. Proszę pozwolić mi położyć go na łóżku!

Od strony schodów dobiegł ich głośny krzyk Ostermana.

- Co się tutaj, do jasnej cholery, dzieje? - Bernie wpadł do pokoju. - O Jezu! Jezu Chryste!

Tanner odzyskał przytomność i rozejrzał się wokół siebie. Obok doktora zobaczył kapitana MacAuliffa; Alice siedziała na pościeli, a przy tylnej poręczy łóżka stali, próbując uśmiechać się do niego krzepiąco, Ostermanowie.

-Nic panu nie będzie. Rana jest bardzo powierzchowna - stwierdził doktor. - Bolesna, ale niezbyt groźna. Ma pan uszkodzoną chrząstkę w ramieniu, to wszystko.

-Ktoś do mnie strzelał?

-Ktoś do pana strzelał - zgodził się MacAuliff.

-Kto?

-Tego nie wiemy. - MacAuliff próbował się hamować, ale widać było, że jest wściekły. Doszedł najwyraźniej do przekonania, że Wszyscy go ignorują; że kryją przed nim jakieś ważne informacje. - Ale powiem panu jedno. Będę przesłuchiwać was tak długo, aż odkryję, co się tutaj dzieje. Choćby miało to zająć całą noc. Zachowujecie się wszyscy jak cholerni głupcy, ale ja na to nie pozwolę!

- Rana została opatrzona - odezwał się, zakładając marynarkę, doktor. - Może pan wstać, kiedy tylko poczuje się pan lepiej, ale proszę się nie przeciążać. Kontuzja nie jest wiele większa niż przy głębokim zadrapaniu. Stracił pan bardzo mało krwi.
Doktor uśmiechnął się i szybko wyszedł. Nie miał powodu zostawać tutaj dłużej.
-Poproszę teraz państwa wszystkich, żebyście zeszli na dół - oświadczył MacAuliff, kiedy za doktorem zamknęły się drzwi. - Chcę zostać sam na sam z panem Tannerem.
-Kapitanie, on został przed chwilą postrzelony - odezwał się stanowczym głosem Bernie. - Nie może go pan teraz przesłuchiwać. Nie pozwolę na to.
-Jestem policjantem na służbie; nie potrzebuję wcale pańskiego pozwolenia. Słyszał pan, co powiedział doktor. Pan Tanner nie jest poważnie ranny.
-Przeszedł już dosyć! - stwierdziła Alice, posyłając policjantowi groźne spojrzenie.
-Przykro mi, pani Tanner. To jest konieczne. A teraz proszę państwa wszystkich...
-Nigdzie się stąd nie ruszymy! - powiedział Osterman, podchodząc do MacAuliffa. - To nie on powinien być teraz przesłuchiwany, lecz pan! Cała pańska cholerna policja powinna zostać dokładnie sprawdzona. Chcę wiedzieć, dlaczego wóz patrolowy nie zatrzymał się wtedy przed domem, kapitanie. Słyszałem już pańskie wyjaśnienie, ale nie przyjmuję go do wiadomości!

-Jeśli pan się nie uspokoi, panie Osterman, wezwę funkcjonariusza i każe pana zamknąć!
-Na pana miejscu nie ważyłbym się...
-Niech pan mnie nie prowokuje. Miałem już do czynienia z takimi jak pan. Pracowałem w Nowym Jorku, cwaniaczku!
Osterman znieruchomiał.
-Co pan powiedział?
-Niech pan mnie nie prowokuje!
-Dajcie spokój - odezwał się z łóżka Tanner. - Naprawdę, mogę z nim porozmawiać. Zejdźcie wszyscy na dół.
Kiedy zostali we dwójkę z MacAuliffem, usiadł na łóżku. Ramię bolało go, ale mógł nim bez przeszkód poruszać.

MacAuliff podszedł do łóżka i ujął obiema rękoma poręcz.
-Teraz powie mi pan wszystko - oznajmił. - Powie mi pan, co pan wie, albo oskarżę pana o zatajenie informacji na temat spisku mającego na celu popełnienie morderstwa!
-Przecież to ja miałem paść jego ofiarą!
-Nie szkodzi, tak czy owak chodzi o morderstwo. O morderstwo! Dla mnie nie ma różnicy, czy jego ofiarą miał paść pan, czy ten pieprzony Żyd!
-Dlaczego odnosi się pan do nas z taką wrogością? - zapytał Tanner. - Powinien pan czołgać się u moich stóp. Płacę regularnie podatki, a pan nie potrafi nawet chronić porządnie mojego domu.
MacAuliff próbował odpowiedzieć, ale głos dławił mu się z wściekłości. W końcu zdołał się opanować.
- Okay. Wiem, że wielu z was nie podoba się sposób, w jaki tutaj rządzą. Chcielibyście, sukinsyny, wykurzyć mnie stąd i sprowadzić sobie jakiegoś pieprzonego hipisa po szkole prawniczej. W porządku, pamiętajcie, że uda się to wam tylko w przypadku, kiedy schrzanię jakąś sprawę. A ja nie zamierzam niczego schrzanić! Mój zapis służby jest czysty jak łąka! To miasteczko pozostanie czyste! Więc niech pan odkryje przede mną karty i jeśli będę potrzebował pomocy, wezwę ją.
Nie mogę tego zrobić, nie podając poważnej przyczyny!
Tanner wstał z łóżka. Z początku chwiał się lekko, ale potem, ku swojemu zaskoczeniu, stanął pewnie na nogach.
-Wierzę panu. Zbyt jest pan rozgorączkowany, żeby kłamać... I ma pan rację. Wielu z nas pana nie lubi. Ale to musi być sprawa chemii, więc pomińmy to... Nie usłyszy pan ode mnie odpowiedzi na swoje pytania.

Zamiast tego wydam panu polecenie. Będzie pan pilnował tego domu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę tak długo, aż każę panu zdjąć posterunki! Zrozumiał pan?

-Nie może mi pan rozkazywać!

-Niech pan sobie wyobrazi, że mogę. Jeśli pan nie posłucha, pokażę pana sześćdziesięciu milionom telewidzów jako typowy przykład nie douczonego, zacofanego gliniarza, przykład człowieka, który stanowi prawdziwe zagrożenie dla sił porządku. Jest pan przeżytkiem. Niech pan czym prędzej przechodzi na emeryturę i wynosi się stąd do wszystkich diabłów.

-Nie może pan tego zrobić!

- Nie mogę? Niech pan popyta ludzi.

MacAuliff zmierzył wściekłym wzrokiem Tannera. Żył na karku nabrzmiały mu tak, że zdawało się, iż zaraz pękną.

-Nienawidzę was, sukinsyny! - stwierdził lodowatym głosem. - Nienawidzę waszego tupetu!

-A ja pańskiego... Widziałem już pana w akcji... Ale to nie ma teraz znaczenia. Niech pan usiądzie.

Dziesięć minut później MacAuliff wyskoczył jak oparzony z domu Tannerów. Lipcowa burza już słabła. Zatrzasnął za sobą drzwi i gęsto przeklinając rzucił kilka poleceń zgromadzonym na trawniku policjantom. Jego ludzie zasalutowali niezdarnie w odpowiedzi, a kapitan wszedł do samochodu i odjechał.

Tanner wyjął koszulę z komody i założył ją, sykając z bólu. Wyszedł z sypialni i ruszył na dół.

Alice stała na korytarzu, rozmawiając z policjantem. Na widok Tannera wbiegła na górę, żeby pomóc mu zejść.

-Policja kręci się po całym domu. Żałuję, że nie ma tu całej armii... O Boże! Próbuję zachować spokój. Naprawdę! Ale nie mogę! - Objęła go delikatnie, zdając sobie sprawę, że ma na piersi opatrunek. - Co teraz zrobimy? Do kogo możemy się zwrócić?

-Wszystko będzie dobrze. Musimy po prostu jeszcze trochę zaczekać.

-Na co?

-MacAuliff zbiera dla mnie informacje.

-Jakie informacje?

Tanner przesunął się razem z Alice bliżej ściany, upewniając się, czy nie obserwuje ich policjant.

-Ludzie, którzy do nas strzelali, muszą być ranni - powiedział cicho. - Jeden na pewno ciężko; to ten, którego uderzyłem siekierą w nogę. Co do drugiego nie jesteśmy na sto procent pewni, ale Bernie uważa, że trafił go w ramię albo pierś. MacAuliff wyjechał, żeby spotkać się z Cardone'ami i Tremayne'ami. Potem do mnie zatelefonuje. Zajmie to trochę czasu, ale będę wiedział.

-Powiedziałeś mu, czego ma szukać?

-Nie. Nic mu nie mówiłem. Poprosiłem go tylko, żeby zweryfi-

kował ich opowieści. Nic więcej. Nie chcę, żeby MacAuliff podejmował jakiegokolwiek samodzielne decyzje. Decydować powinien Fassett.

Tak naprawdę nie zamierzał pozostawić decyzji również Fassettowi. W tej sprawie decyzja należała wyłącznie do niego. Powie Alice, kiedy będzie musiał. W ostatniej chwili. Uśmiechnął się i objął ją w talii, pragnąc, by wolno mu było kochać ją tak jak dawniej.

O dziesiątej czterdzieści siedem zadzwonił telefon.

- John? Tu Dick. MacAuliff wpadł, żeby się ze mną zobaczyć. -

W słuchawce słychać było chrapliwy oddech Tremayne'a. Adwokat starał się zachować względny spokój, ale czuć było, że trzyma się resztkami sił. - Nie mam pojęcia, w co jesteś zamieszany... wygląda na to, że w usiłowanie morderstwa... Nie chcę o tym nic wiedzieć, to wszystko jest ponad moje siły. Przykro mi, John, ale zabieram całą rodzinę i wyjeżdżam. Mamy rezerwację na lot PanAmu o dziesiątej rano.

-Dokąd lecisz? Tremayne nie odpowiedział.

-Zapytałem, dokąd wyjeżdżacie - powtórzył Tanner.

-Przykro mi, John... możesz to uważać za świństwo, ale nie chcę, żebyś wiedział.

-Chyba rozumiem. Ale zrób nam małą grzeczność i wpadnij po drodze na lotnisko.

-Nie mogę tego obiecać. Do widzenia.

Tanner przycisnął palcem widełki telefonu, a potem puścił je. Wykręcił numer komisariatu w Saddle Valley.
-Komisariat. Sierżant Dale.
-Chciałem mówić z kapitanem MacAuliffem. Mówi John Tanner.
-Nie ma go tutaj, panie Tanner.
-Nie może pan go wywołać? To pilne.
-Spróbuję przez radio. Chce pan poczekać przy telefonie?
-Nie, niech pan po prostu powie mi, żeby zadzwonił do mnie tak szybko, jak to możliwe. - Tanner dał sierżantowi swój numer telefonu i odwiesił słuchawkę. MacAuliff był prawdopodobnie w drodze do Cardone'ów. Powinien już tam być. Wkrótce zadzwoni. Tanner Wrócił do salonu. Chciał wyprowadzić z równowagi Ostermanów.

To stanowiło część jego planu.

-Kto dzwonił? - zapytał Bernie.
-Dick. Dowiedział się, co się wydarzyło. Zabiera rodzinę i wyjeżdża.
Ostermanowie wymienili między sobą znaczące spojrzenia.
-Dokąd?
-Nie mówił. Ma zarezerwowany poranny lot.
-Nie mówił, dokąd leci? - Osterman wstał z fotela, usiłując pokryć zmieszanie.
-Nie chciał powiedzieć.
-Nie tak powiedziałaś. - Bernie przyjrzał się bacznie Tannerowi. - Powiedziałeś „nie mówił”. To nie to samo, co "nie chciał powiedzieć".
-Chyba tak... Wciąż uważasz, że powinniśmy jechać do Waszyngtonu?
-Co mówisz? - Osterman spoglądał na żonę. Nie dosłyszał pytania Tannera.
-Wciąż uważasz, że powinniśmy ruszać do Waszyngtonu?
-Tak. - Bernie ponownie wlepił wzrok w Tannera. - Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Potrzebujesz osłony. Prawdziwej osłony... Próbują cię zabić, John.
-Nie jestem tego taki pewien. Nie jestem pewien, czy to mnie właśnie chcą zabić.
- Co masz na myśli? - Leila wstała, mierząc wzrokiem Tannera.
Zadzwonił telefon.
John wrócił szybko do gabinetu i podniósł słuchawkę. Telefonował MacAuliff.
-Niech pan posłucha - powiedział Tanner. - Chcę, żeby mi pan dokładnie opisał... ale dokładnie... gdzie znajdował się Tremayne, kiedy go pan przesłuchiwał.
-W swoim gabinecie.
-Gdzie w gabinecie?
-Za biurkiem. Dlaczego pan pyta?
-Czy wstawał? Czy wyszedł zza biurka? Na przykład, żeby uścisnąć panu dłoń?
-Nie... nie, nie wydaje mi się. Nie, nie zrobił tego.
-A jego żona? To ona panu otworzyła?

-Nie. Pokojówka. Żona Tremayne'a była na górze. Jest chora. Sprawdziliśmy to; dzwonił do doktora, pamięta pan?
-Dobrze. Teraz niech mi pan opowie o Cardone'ach. Gdzie pan z nimi rozmawiał?
-Najpierw zamieniłem parę słów z jego żoną. Otworzyło mi drzwi jedno z dzieci. Pani Cardone leżała na sofie, jej mąż był w garażu.
-Gdzie pan z nim rozmawiał?
-Powiedziałem panu. W garażu. Trochę czasu zabrał mi dojazd. Właśnie wyjeżdżał do Filadelfii. Zachorował mu ojciec. Otrzymał ostatnie namaszczenie.
-Do Filadelfii?... Gdzie dokładnie znajdował się Cardone?
-W garażu, przecież mówię. Zapakował do bagażnika torby i siedział za kierownicą. Powiedział, żebym się streszczał. Chciał już wyjeżdżać.
-Był w samochodzie?
-Zgadza się.
-Nie wydawało się to panu dziwne?
-Dlaczego? Na miłość boską, jego ojciec jest umierający. Chciał czym prędzej jechać do Filadelfii. Sprawdź to.
Tanner odłożył słuchawkę.

Żadnej z czworga osób MacAuliff nie przesłuchiwał w normalnych warunkach. Żadna nie wstała, żadna nie chodziła. Oba małżeństwa zapowiedziały, że może ich nie być w domu w niedzielę.

Tkwiący bez ruchu za biurkiem, przerażony Tremayne.

Pragnący czym prędzej wyjechać, siedzący za kierownicą samochodu Cardone.

Albo jeden, albo obaj byli ranni.

Albo jeden, albo obaj wchodzili w skład Omegi.

Nadeszła odpowiednia pora. Na dworze przestał padać deszcz. Jego wyprawa będzie teraz łatwiejsza, chociaż w lesie nadal było mokro.

W kuchni przebrał się w ubranie, które przyniósł z sypialni: czarne spodnie, czarny sweter z długimi rękawami i tenisówki. Włożył do kieszeni pieniądze, upewniając się, że wśród drobnych jest co najmniej sześć dziesięciocentówek. O górny brzeg swetra zaczepił minilatarkę.

Podszedł do drzwi prowadzących na korytarz i zawołał Alice. Obawiał się tego momentu o wiele bardziej niż wszystkiego, co miało nastąpić potem. Ale nie miał innego wyjścia. Wiedział, że musi jej powiedzieć.

- Co ty robisz? Dlaczego...?

Tanner przycisnął palec do ust i przyciągnął ją do siebie. Przeszli oboje w drugi kąt kuchni, obok drzwi do garażu, jak najdalej od korytarza.

- Pamiętasz, jak prosiłem cię, żebyś mi zaufała? - szepnął do niej spokojnie.

Alice powoli kiwnęła głową.

- Teraz na moment wyjdę; tylko na krótki moment. Spotkam się z kilkoma ludźmi, którzy mogą nam pomóc. Skontaktował się z nimi MacAuliff.

- Dlaczego oni nie mogą przyjść tutaj? Nie chcę, żebyś gdziekolwiek wychodził. Nie wolno ci wychodzić!

- Nie ma innego sposobu. Wszystko zostało zaaranżowane - skłamał. Wiedział, że Alice i tak mu nie dowierza. - Niedługo do ciebie zatelefonuję. Będiesz wtedy wiedziała, że wszystko jest w porządku. Ale jeszcze przedtem powiedz Ostermanom, że wyszedłem się przejść... Że byłem zdenerwowany, wymyśl zresztą, co chcesz. Najważniejsze jest, żeby sądzili, że ty w to wierzysz. Że wyszedłem i mogę w każdej chwili wrócić. Że być może rozmawiam z jakimiś ludźmi na dworze.

- Z kim masz się spotkać? Musisz mi powiedzieć.

- Z ludźmi Fassetta.

Przyjrzała mu się uważnie. Już raz ją okłamał i szukała teraz jego wzroku.

- Musisz to robić? - zapytała cicho.

- Tak - odparł niecierpliwie. Objął ją mocno i szybko wyslizgnął się przez kuchenne drzwi na patio.

Przez chwilę przechadzał się po trawniku, pozwalając, żeby przyzwyczaili się do jego obecności przebywający na zewnątrz policjanci. Kiedy wyczuł, że przestali mu się przyglądać, dał szybko nurka w las. Zatoczył szeroki krąg, zmierzając na zachód i świecąc sobie małą latarką, żeby nie nadzieć się na żadną przeszkodę. Mokra miękka

ziemia utrudniała marsz, ale w końcu zobaczył światła na podwórku najbliższych sąsiadów, Scanlanów, trzysta stóp od granicy swojej posiadłości. Wszedł przemoczony na tylną werandę i zadzwonił do drzwi.

Po piętnastu minutach - znowu później, niż to przewidywał - siadł za kierownicą należącego do Scanlanów mercedesa coupe przekreślił kluczyk w stacyjce. Za pasem zatknięty miał pistolet Smith Wesson, w kieszeni trzy dodatkowe magazynki - również należące do Scanlana.

Skreślił w lewo w Orchard Drive, kierując się w stronę centrum miasteczka. Minęła północ; miał lekkie opóźnienie w stosunku do harmonogramu, który sobie wyznaczył.

Przez chwilę rozważał w myśli cały plan i swoją w nim rolę. Nigdy nie uważał się za wyjątkowo odważnego. Jeśli stać go było kiedykolwiek a odwagę, to zawsze była ona owocem chwili. A teraz wcale nie czuł ę odważny. Był zdesperowany.

To było dziwne. Odczuwany przez niego strach - głęboko zakorzeniony lęk, który nie opuszczał go od kilku dni - wytworzył teraz własną przeciwwagę, zrodził potężny gniew. Gniew człowieka, który zdał sobie sprawę, że ktoś nim manipuluje. Nie mógł się na to dłużej godzić.

Saddle Valley pogrążone było w ciszy; główne uliczki spowijało miękkie światło stylowych gazowych latarni. Sklepowe wystawy miały świadczyć o spokojnym dobrobycie miasteczka. Żadnych neonów ani jaskrawych świateł, wszystko przytłumione.

Tanner minął pub i postój taksówek, po czym zakręcił o sto osiemdziesiąt stopni i zaparkował przy krawężniku. Budka telefoniczna stała dokładnie po drugiej stronie ulicy. Zatrzymał się od niej w wystarczającej odległości, żeby mieć na oku cały teren. Przeszedł przez ulicę i zadzwonił w pierwsze miejsce.

- Tu Tanner, Tremayne. Nie odzywaj się i słuchaj... Omega już nie istnieje. Została rozwiązana. Odwołuję wszystkie akcje. Odwołuję Zurych. Poddaliśmy cię ostatecznemu testowi i zawiodłeś. Okazana przez was wszystkich głupota nie mieści się po prostu w głowie! Dzisiaj W nocy zarządzam fazę końcową. Bądź o wpół do trzeciej na dworcu Przy Lassiter Road. I nie próbuj dzwonić do mnie do domu. Telefonuję ze śródmieścia Saddle Valley. Na miejsce spotkania przyjadę taksówką

Mój dom jest obserwowany, zawdzięczam to wam wszystkim! Bądź na dworcu o wpół do trzeciej i zabierz ze sobą Virginie. Omega jest rozbita. Jeśli chcesz unieść z tego cało głowę, bądź tam... Wpół do trzeciej!

Nacisnął widelki telefonu. Teraz do Cardone'ów.

- Betty? Tu Tanner. Słuchaj uważnie. Skontaktuj się z Joem i powiedz mu, że Omega zakończyła działalność. Nie wiem, jak to zrobisz, ale musisz go sprowadzić z powrotem. To rozkaz z Zurychu!...

Omega jest rozbita. Wszyscy okazaliście się cholernymi głupcami. Idiotyzmem było uszkodzenie moich samochodów. Dziś w nocy o wpół do trzeciej zarządzam fazę końcową na dworcu przy Lassiter Road. Masz tam być razem z Joem! Nakazuje wam to Zurych. I nie próbujcie dzwonić do mnie do domu. Telefonuję z miasteczka. Mój dom jest pod obserwacją. Przyjadę taksówką. Pamiętaj. Dworzec przy Lassiter Road. Przekaż wiadomość Joemu.

Kolejny raz nacisnął widelki. Teraz musiał zadzwonić do domu.

- Ali? Wszystko w porządku, kochanie. Nie ma się czego obawiać. Nie mów nic. Poproś do telefonu Berniego... Alice, nie teraz! Daj do telefonu Berniego!... Bernie, tu John. Przykro mi, że wyszedłem bez uprzedzenia, ale musiałem. Wiem, kim jest Omega, ale potrzebna mi jest twoja pomoc. Dzwonię z miasteczka. Później będę potrzebował samochodu... nie teraz, później. Nie chcę, żeby ktoś widział tutaj mój wóz. Wezmę taksówkę. Spotkajmy się o wpół do trzeciej przy starym dworcu Lassiter. Wyjeżdżając z domu skręć na prawo i pojedź na wschód Orchard Drive. Potem droga zakręca na północ. Po przejechaniu mili zobaczysz duży, ogrodzony białym płotem staw. Po drugiej stronie zaczyna się Lassiter Road. Przejedziesz nią kilka mil i ujrzysz dworzec. Gra skończona, Bernie. O wpół do trzeciej kazałem się tam stawić Omedze. Zaklinam cię na wszystko, Bernie, nie zepsuj tego. Do nikogo nie dzwoń i nic nie rób. Po prostu tam przyjeźdź!

Tanner odwiesił słuchawkę, otworzył drzwi budki i pobiegł w stronę swego mercedesa.

28

Stał w ciemnym przejściu prowadzącym do sklepu z zabawkami. Przyszło mu do głowy, że mercedes coupe jest dość znany w miasteczku, a Tremayne'owie, Cardone'owie i być może nawet Ostermanowie wiedzą, że Scanlanowie są jego najbliższymi sąsiadami. Doszedł do wniosku, że może to nawet obrócić na swoją korzyść. Jeśli ludzie Omegi domyślą się, że pożyczył samochód, będą zakładali, że przebywa gdzieś w pobliżu. Rozpoczną się wielkie łowy. Pozostało mu zatem tylko czekać. Czekać do chwili, kiedy będzie musiał wyruszyć w stronę opuszczonego dworca.

Czekać w centrum miasteczka, żeby zobaczyć, kto go szuka; kto próbuje nie dopuścić do spotkania. Które małżeństwo? A może wszystkie trzy? Bo Omega musi być teraz przerażona. Wypowiedział na głos to, co nigdy nie miało zostać powiedziane; wyszła na jaw cała tajemnica.

Omega będzie teraz próbowała go zatrzymać. Jeśli cokolwiek z tego, co powiedział Fassett, było prawdą, tak właśnie powinna postąpić. Dopaść go, zanim dotrze do dworca.

Na tym opierał swoje rachuby. Był pewien, że nie uda im się go zatrzymać, ale chciał się dowiedzieć z wyprzedzeniem, kim jest przeciwnik.

Spojrzał w górę i w dół ulicy. Widać było tylko cztery osoby. Para wyprowadzająca na spacer dalmatyńczyka, mężczyzna w drzwiach pubu i śpiący w swojej taksówce kierowca. Nagle zobaczył zbliżające się powoli od wschodniej strony mias-

teczka światła samochodu. Szybko rozpoznał własne kombi. Schował się głębiej w pustym, ciemnym przejściu.

Za kierownicą siedziała Leila Osterman. Sama. Puls Tannera przyspieszył. Jak mógł być tak nierozważny? Nigdy nie przyszło mu do głowy, że któreś z małżeństw rozdzieli się w obliczu zagrożenia! A jednak Leila była sama! A on nie mógł zrobić nic, żeby powstrzymać Ostermana przed zatrzymaniem jego rodziny w charakterze zakładników. Osterman był jednym z tych, których chroniono, nie tym, na kogo polowano. Mógł swobodnie się poruszać, mógł nawet, jeśli chciał, wyjść z domu. Jeśli uzna to za konieczne, zmusi Alice i dzieci, żeby wyszły razem z nim.

Leila zaparkowała samochód przed pubem, wysiadła i podeszła szybkim krokiem do śpiącego kierowcy. Potrząsnęła go za ramię i przez chwilę cicho rozmawiali; Tanner nie słyszał ich głosów. W końcu Leila ruszyła w stronę pubu i weszła do środka. Tanner pozostał w przejściu, ściskając palcami tkwiące w kieszeni dziesięcio-centówki, czekając, aż Leila wyjdzie na zewnątrz. Oczekiwanie było męczarnią. Musiał podejść do telefonu. Musiał połączyć się z policją! Musiał upewnić się, że jego rodzina jest bezpieczna.

W końcu Leila wyszła z pubu, wsiadła do samochodu i odjechała na zachód. Skręciła w prawo, w piątą albo szóstą przecnicę i samochód zniknął mu z oczu.

Tanner przeciął ulicę i podbiegł do budki telefonicznej. Wrzucił dziesięć centów i wykręcił numer.

- Halo?

Dzięki Bogu! To była Alice!

-To ja.

-Gdzie...

-Nie zaprzataj sobie teraz tym głowy. Nic mi nie grozi. U ciebie wszystko w porządku?

Czekał, czy nie usłyszy w jej głosie fałszywej nuty.

-Oczywiście. Strasznie się o ciebie zamartwiamy. Co ty wyprawiasz? Brzmiało to naturalnie. Wszystko było w porządku.

-Nie mam teraz czasu. Chcę...

- Leila wyjechała cię szukać - przerwała mu. - Popeliłeś straszny błąd... Rozmawialiśmy. Ty i ja nie mieliśmy racji, kochanie. Bardzo się pomyliliśmy. Bernie tak się martwi; pomyślał, że...

- Muszę kończyć - przerwał jej. Nie miał do stracenia ani jednej sekundy; nie chciał nic słyszeć na temat Ostermanów, nie teraz. - Trzymaj się blisko policjantów. Rób, co mówię. Nie pozwól, żeby stracili cię z oczu.

Odwiesił słuchawkę, zanim zdążyła się odezwać. Musiał połączyć się z policją. Liczyła się teraz każda chwila.

- Tu komisariat. Jenkins przy telefonie.

A więc jedyny w miejscowej policji człowiek, który miał dostęp do akt Omegi, powrócił do służby. Wezwał go MacAuliff.

-Tu komisariat - powtórzył zniecierpliwionym tonem policjant.

-Mówi John Tanner.

-Jezu Chryste, gdzie się pan podziewa? Wszędzie pana szukamy!

-Nie znajdziecie mnie. Nie prędzej w każdym razie, niż sam tego będę chciał... A teraz niech pan słucha! W moim domu są dwaj policjanci; chcę, żeby bez przerwy przebywali w tym samym pomieszczeniu co moja żona. Ani na sekundę nie wolno spuścić jej z oczu. Dzieci też! Ani na sekundę! Nikt z mojej rodziny nie może pozostać sam na sam z Ostermanem!

-Oczywiście! Przecież o tym wiemy. Gdzie pan jest? Niech pan przestanie się wygłupiać!

-Zatelefonuję do was później. I nie próbujcie namierzać tego telefonu. Zanim zdążycie to zrobić, już mnie tam nie będzie.

Tanner rzucił słuchawkę na widelki i otworzył drzwi budki, szukając lepszego punktu obserwacyjnego niż przejście do sklepu z zabawkami, skąd nie mógł niepostrzeżenie salwować się ucieczką. Ruszył z powrotem, przecinając ulicę. Taksówkarz znowu spał.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia usłyszał za sobą ryk silnika. Z tyłu zamajaczył samochód ze zgaszonymi światłami. Wynurzył się znikąd i pędził ku niemu z ogromną szybkością; Tanner stanął jego cel. Dziennikarz puścił się pędem ku przeciwnemu chodnikowi; samochód dzieliło od niego zaledwie kilkanaście cali. Tanner rzucił się bokiem w stronę krawężnika.

W tej samej chwili poczuł mocne uderzenie w lewą nogę. Rozległ się przeraźliwy pisk hamujących na asfalcie opon. Tanner upadł, przeturlał się kilka razy i zobaczył czarny samochód, który minął o włos mercedesa, a potem oddalił się z wielką szybkością Valley Road.

Ból w nodze był przeszywający; rwało go także w postrzelonym

ramieniu. Modlił się do Boga, żeby pozwolił mu chodzić. Musiał zachować zdolność poruszania się!

W jego stronę biegł kierowca taksówki.

-Jezu! Co się stało?

-Może mi pan pomóc wstać?

-Jasne! Jasne! Nic panu nie jest? Ten facet musiał mieć nieźle w czubie! Jezu! Mógł pana zabić. Chce pan, żebym wezwał doktora?

-Nie. Nie wydaje mi się.

-Mam tutaj telefon. Zadzwoń do gliniarzy. Sprowadzą doktora w parę minut.

-Nie! Nie potrzebuję doktora! Nic mi nie jest...

Odkrył, że chociaż sprawia mu to ból, może się poruszać. To było najważniejsze. Ból nie miał teraz znaczenia. Nic nie miało znaczenia prócz Omegi. A Omega weszła do akcji.

- Chyba lepiej wezwę policję - stwierdził taksówkarz, pod trzymując Tannera pod ramię. - Tego błazna powinno się złapać, zanim porozbija na drodze innych.

-Nie... nie zobaczyłem znaków rejestracyjnych. Nie rozpoznałem nawet marki samochodu. Policja nic tutaj nie pomoże.

-Chyba nie. Nie zmartwiłbym się, gdyby sukinsyn zawadził o drzewo.

-Święta racja.

Tanner szedł teraz o własnych siłach. Nic mu nie będzie. Zadzwoił umieszczony po drugiej stronie ulicy telefon przy postoj.

-Dzwoni mój telefon. Doszedł pan do siebie?

-Jasne. Bardzo dziękuję.

-Sobotnia noc. To prawdopodobnie jedyny telefon podczas całej zmiany. W sobotnią noc pełni dyżur tylko jedna taksówka. To i tak o jedną za dużo. - Kierowca ruszył w stronę postoj. - Powodzenia, chłopie. Jesteś pewien, że nie potrzebujesz doktora?

- Nie, naprawdę. Jeszcze raz dziękuję.

Patrzył, jak kierowca zapisuje adres, a potem usłyszał, jak powtarza go na głos.

- Państwo Tremayne. Peachtree szesnaście. Będę tam za pięć minut, proszę pani. - Taksówkarz odwiesił słuchawkę i zobaczył, że Tanner wciąż się mu przygląda. - Jak się panu to podoba? Chce,

żebym ją zawiózł do motelu przy lotnisku Kennedy'ego. Ciekawe, kto ją tam posuwa?

Tanner był oszołomiony. Tremayne'owie mieli przecież dwa własne

samochody... Czy Dick zamierza zignorować jego polecenie i nie wybiera się wcale na spotkanie przy starym dworcu? Czy też raczej wzywając jedyną dyżurującą w sobotnią noc taksówkę, chce pozbawić go możliwości poruszania się?

Wszystko było możliwe.

Tanner pokuśtykał w stronę używanej głównie przez dostawców alei, biegnącej wzdłuż bocznej ściany pubu. Aleja prowadziła na miejski parking i gdyby się to okazało konieczne, mógł nią niepostrzeżenie uciec. Przystanął i pomasaował nogę. Za godzinę albo dwie będzie miał na niej wielki siniak. Spojrzył na zegarek. Było czterdzieści dziewięć po dwunastej. Dopiero za godzinę powinien wyruszyć mercedesem w stronę dworca. Być może czarny samochód powróci. Być może zjawią się inni.

Chciało mu się palić, ale wolał nie robić tego na ulicy. Mógł osłonić dłonią ogień papierosa, ale nie płomień zapalki. Ruszył dziesięć jardów w głąb alejki i zapalił. Zdawało mu się, że coś usłyszał. Czyjeś kroki? Stąpając na palcach ruszył z powrotem w stronę Valley Road. Miasteczko było całkiem wymarłe. Jedyne przytłumione dźwięki docierały zza drzwi pubu, które nagle otworzyły się na oścież. Na zewnątrz wyszli Jim i Nancy Loomisowie w towarzystwie nie znanego mu mężczyzny. Tanner zaśmiał się smutno w duchu. Oto stał tutaj - szanowany dyrektor programów informacyjnych sieci Standard Mutual - pobrudzony i przemoczony, z postrzelonym ramieniem i puchnącym na nodze siniakiem, pamiątką po siedzącym za kierownicą mordercy - ukradkiem obserwując wychodzących z pubu Jima i Nancy. Jim Loomis. Człowiek, który otarł się o Omegę, nawet o tym nie wiedząc. Z zachodu, od strony wjazdu na autostradę numer pięć zbliżał się jakiś samochód. Jechał powoli, nie szybciej niż dziesięć mil na godzinę. Kierowca wydawał się szukać kogoś albo czegoś na Valley Road. To był Joe. Nie pojechał do Filadelfii. Nie było żadnego umierającego ojca. Cardone'owie skłamali.

Tanner nie był tym bynajmniej zaskoczony.

Oparł się plecami o mur. Starał się, jak tylko mógł, nie rzucać w oczy, ale był przecież roslim mężczyzną. Mając na względzie wyłącznie własne bezpieczeństwo wyciągnął zza pasa pistolet. Jeśli będzie musiał, zabije Cardone'a.

Kiedy Joe zbliżył się do niego na odległość czterdziestu stóp, rozległy się dwa krótkie dźwięki klaksonu. Trabił samochód, który nadjechał z naprzeciwka. Cardone zatrzymał się.

Drugi samochód ruszył szybko w jego stronę.

W środku siedział Tremayne. Kiedy mijał alejkę, Tannerowi mignęła przez chwilę jego ogarnięta paniką twarz.

Adwokat zatrzymał się obok Cardone'a i dwaj mężczyźni zamienili ze sobą cichym głosem kilka słów. Tanner nie słyszał, o czym mówili, ale widział, że obaj są w stanie wielkiego wzburzenia. Tremayne zakręcił o sto osiemdziesiąt stopni i dwa samochody odjechały razem w tym samym kierunku.

Tanner odetchnął głęboko i rozprostował obolałe ciało. Do tej pory zgłosili się wszyscy. Wszyscy, o których wiedział, i jeden nieznany. Omega plus ktoś jeszcze. Kto siedział w czarnym samochodzie? Kto próbował go potraścić?

Nie było sensu siedzieć tutaj dłużej. Zobaczył to, co powinien zobaczyć. Pojedzie teraz Lassiter Road, zatrzyma się w odległości kilkuset jardów od starego dworca i zaczeka, aż Omega odsłoni karty.

Wyszedł z alejki i ruszył w stronę samochodu. A potem zatrzymał się.

Coś dziwnego stało się z jego pożyczonym mercedesem. W przyćmionym świetle gazowych latarni widział, że tył samochodu obniżył się prawie do poziomu jezdni. Chromowany zderzak wisiał zaledwie kilka cali nad chodnikiem.

Podbiegł do mercedesa i włączył minilatarkę. Powietrze z obu tylnych opon było spuszczone; samochód opierał się na metalowych felgach. Tanner ukucnął i zobaczył wystające z przebitych opon dwa noże.

W jaki sposób się to stało? Kiedy? Ani na chwilę nie oddalił się od samochodu dalej niż dwadzieścia jardów. Ulica była pusta! Nikt nią nie przechodził! Nikomu nie udało się schować z tyłu mercedesa!

Z wyjątkiem być może tych kilku chwil, kiedy cofnął się w głąb alejki. Tych chwil, kiedy zapalił papierosa i skulił się przy ścianie.

obserwując Tremayne'a i Cardone'a. Tych sekund, kiedy wydawało mu się, że słyszy czyjeś kroki.

Opony zostały przebite nie dalej jak pięć minut temu! Chryste Panie! - przeleciało przez głowę Tannerowi. Manipulacja trwa nadal. Omega depcze mu po piętach. Wie o wszystkim. Wie o każdym jego kroku. Bez przerwy go obserwuje!

Co takiego próbowała mu powiedzieć przez telefon Alice? Bernie pomyślał... co pomyślał Bernie? Ruszył w stronę budki, wyjmując z kieszeni ostatnią dziesięciocentówkę. Przechodząc ulicę wyciągnął za pasa pistolet i rozejrzał się na wszystkie strony. Ten, kto przebił opony, mógł czekać, mógł go obserwować.

-Alice?

-Kochanie, na miłość boską, wracaj do domu!

-Zaraz wracam, skarbie. Naprawdę, wszystko jest w całkowitym porządku. Nic mi nie grozi... Chciałem ci tylko zadać jedno pytanie.

To bardzo ważne.

-Tak samo ważne jak to, żebyś wrócił do domu.

-Powiedziałaś wcześniej, że Bernie wpadł na jakiś pomysł. O co i chodziło?

- Aha... to było, kiedy zadzwoniłeś po raz pierwszy. Leila wyjechała cię szukać; Bernie nie chciał nas zostawić samych. Ale potem doszedł do wniosku, że możesz się jej nie posłuchać i ponieważ domu i tak pilnuje policja, postanowił poszukać cię sam.

- Czy zabrał triumpha?

- Nie. Pożyczył samochód od jednego z policjantów.

- O Chryste! - Tanner nie miał zamiaru reagować tak gwałtownie, ale nie potrafił się powstrzymać. Czarny samochód, który wynurzył się znikąd. Dodatkowe ogniwo było w rzeczywistości częścią trójki. - Czy już wrócił?

- Nie. Ale jest już Leila. Jej zdaniem chyba zablądził.

- Zadzwoń do ciebie. - Tanner odwiesił słuchawkę. Naturalnie, że Bernie "zablądził". Za wcześnie było jeszcze, żeby wrócił. Dopiero pięć minut temu Tanner wszedł w głąb alei, dopiero pięć minut temu przecięte zostały opony.

Zdał sobie sprawę, że musi się jakoś dostać w pobliże dworca. Dostać się tam i zająć odpowiednią pozycję, zanim Omega zdoła go powstrzymać albo namierzyć.

Lassiter Road biegła na ukos na północny zachód, mniej więcej trzy mile od centrum miasteczka. Dworzec znajdował się milę albo dwie dalej. Pójdzie pieszo. Nie miał innego wyjścia.

Zaczął iść tak szybko, jak potrafił. W miarę jak posuwał się naprzód, utykanie stawało się coraz mniej wyraźne. Schował się na chwilę w jakimś przejściu. Nikt go nie śledził.

Po pewnym czasie dotarł klucząc na północno-zachodni skraj miasteczka - nie było tam chodników, tylko rozległe trawniki. Do Lassiter Road miał już niedaleko. Dwa razy, kiedy mijaly go samochody, kładł się na ziemi, ale kierowcy i tak patrzyli się prosto przed siebie.

W końcu, przedzierając się przez zagajnik graniczący z przystrzyżonym trawnikiem, nie różniącym się tak bardzo od jego własnego, dotarł do Lassiter Road.

Poczuł pod nogami asfalt i skręcił w lewo. Zaczęła się ostatnia część jego wędrówki. Liczył, że ma do pokonania nie więcej niż milę albo półtorej. Jeśli wytrzyma noga, powinien dotrzeć do opuszczonego dworca w ciągu piętnastu minut. A jeśli nie wytrzyma, po prostu zwolni, ale i tak dojdzie na miejsce. Na jego zegarku widniała pierwsza czterdzieści jeden. Miał jeszcze dużo czasu.

Omega nie powinna przybyć wcześniej. Nie zdoła. Ci, którzy wchodzili w jej skład, nie wiedzieli, co ich czeka.

Stwierdził, że czuje się lepiej i bezpieczniej, trzymając w ręku pistolet Scanlana. Nagle zobaczył za sobą światło. Reflektory samochodu, oddalone od niego jakieś trzysta, czterysta jardów. Szybko wszedł pomiędzy rosnące przy drodze drzewa i położył się płasko na grząskiej ziemi.

Samochód powoli przejechał. Był to ten sam czarny wóz, który potrafił go na Valley Road. Nie widział kierowcy; brak ulicznych latarni uniemożliwiał wszelką identyfikację.

Kiedy samochód zniknął z pola widzenia, Tanner wyszedł z powrotem na drogę. Przez chwilę rozważał, czy nie iść lasem, ale nie był to dobry pomysł. Poruszał się szybciej po gładkiej nawierzchni. Ruszył dalej, utykając i zastanawiając się, czy czarny samochód nie należy przypadkiem do jednego z policjantów, pełniących aktualnie służbę przy Orchard Drive 22. I czy za kierownicą nie siedział scenarzysta o nazwisku Osterman.

Przeszedł prawie pół mili, kiedy światła pojawiły się ponownie, tym razem z przodu. Dał nurka w krzaki, mając nadzieję, że nie spostrzegł go kierowca. Leżąc na ziemi odbezpieczył pistolet.

Samochód minął go, jadąc niewiarygodnie szybko. Facet, który siedział za kierownicą, spieszył się z powrotem, żeby kogoś odnaleźć.

Czy szukał jego?

Czy Leili Osterman?

A może Cardone'a, którego ojciec nie umierał wcale w Filadelfii. Lub Tremayne'a, który nie wybierał się bynajmniej do motelu przy lotnisku Kennedy'ego.

Tanner wstał i ruszył dalej, ściskając mocno w dłoni pistolet i obawiając się, że lada chwila noga odmówi mu posłuszeństwa.

Minął zakręt i zobaczył przed sobą dworzec. Pojedyncza, przechylona latarnia oświetlała rozsypujący się, zabity deskami budynek. Ze szpar w spróchniałym drewnie wystawały olbrzymie chwasty; fundamenty porastały małe brzydkie listki.

Przestał padać deszcz i ucichł wiatr. Słyszał było tylko rytmiczne kapanie wody z tysięcy liści i gałązek - ostatnie, słabnące efekty burzy.

Tanner przystanął na skraju opuszczonego, zarośniętego parkingu, próbując się zdecydować, jaką zająć pozycję. Zbliżała się godzina druga - najwyższa pora, żeby znaleźć odosobnione miejsce. Najlepszy był sam budynek stacji! Być może uda mu się dostać do środka. Ruszył po porośniętym zielonym zwirowie.

Nagle oślepiło go jaskrawe światło; instynkt kazał mu skoczyć do przodu. Przeturlał się kilka razy, dotykając rannym ramieniem ziemi, ale nie czując bólu. Potężny reflektor omiatał pogrążone w ciemności tereny dworca. W powietrzu zabrzmiały wystrzały. Pociski gwizdały mu nad głową i wbijały w ziemię wokół niego. Nie przestając toczyć się po ziemi, zdał sobie sprawę, że jedna z kul przeszła mu lewą ręką.

Doturlał się do zagłębienia terenu w miejscu, gdzie kończył się parking, wycelował w oślepiające światło i pociągnął za spust. Reflektor eksplodował; zaraz potem rozległ się okrzyk bólu. Tanner strzelał tak długo, aż opróżnił magazynek. Kiedy próbował wyciągnąć z kieszeni następny, stwierdził, że nie może ruszać lewą ręką.

Znowu zapadła cisza. Odłożył pistolet i sięgając prawą ręką do kieszeni wydobył z niej niezgrabnie magazynek. Odwrócił broń

i przytrzymując zębami gorącą lufę, wsunął go do komory, parząc sobie przy tym wargi.

Czekał na następny ruch przeciwnika. Na jakiś hałas. Na próżno.

Powoli wstał, czując, że jego lewa ręka jest kompletnie bezwładna. Trzymał przed sobą pistolet, gotów pociągnąć za spust, kiedy tylko zobaczy jakiś ruch w trawie.

Nic się nie poruszyło.

Ruszył z powrotem w stronę dworca, trzymając wysoko podniesioną broń i sprawdzając grunt pod stopami, żeby nie potknąć się o jakąś niespodziewaną przeszkodę. Dotarł do zabitych deskami drzwi, wiedząc, że nie zdoła ich wyważyć, jeśli gwoździe będą trzymały wystarczająco mocno. Jego ciało odmawiało mu posłuszeństwa, siły były na wyczerpaniu.

Mimo to pchnął plecami drzwi i ciężkie drewno, skrzypiąc niemiłosiernie, trochę ustąpiło. Obrócił głowę i zobaczył, że szpara ma nie więcej niż trzy, cztery cale. Stare zawiasy przeżarte były rdzą. Uderzył mocno prawym ramieniem w deski. Drzwi otworzyły się i Tanner wpadł do środka, przewracając się na przegniłą podłogę dworca.

Przez kilka sekund leżał bez ruchu. Drzwi otwarte były do trzech czwartych, a ich górna część wyłamana z zawiasów. Wnętrze stacji skąpane było w słabym świetle oddalonej o pięćdziesiąt jardów latarni. Dostawało się go też trochę przez dach, w miejscach, gdzie powypadały albo połamały się dachówki.

Nagle usłyszał za sobą skrzypienie. Odgłos stąpających po przegniłej podłodze stóp, którego nie sposób pomylić z niczym innym. Próbował odwrócić się, próbował wstać. Za późno. Coś uderzyło go w podstawę czaszki. Poczul nagły zawrót głowy i w tej samej chwili ujrzał obok siebie czyjaś stopę. Stopę owiniętą w bandaż.

Padając na przegniłą podłogę i czując, jak ogarnia go ciemność, zobaczył nad sobą twarz.

Twarz Omegi.

Twarz Laurence'a Fassetta.

29

Nie wiedział, ile czasu był nieprzytomny. Pięć minut? Godzinę? Nie sposób było zgadnąć. Nie był w stanie spojrzeć na zegarek, nie mógł poruszyć lewą ręką. Leżał na brzuchu, dotykając twarzą surowej, porysowanej podłogi starego dworca. Czuł, jak z ramienia cieknie mu powoli krew; bolała go głowa.

Fassett!

Główny manipulator.

Omega.

Kiedy tak leżał, przez głowę przelatywały mu urywane fragmenty rozmów.

"...ja i moja żona chętnie się któregoś wieczoru z państwem spotkamy..."

Ale przecież żona Laurence'a Fassetta zginęła w Berlinie Wschodnim. Została tam zamordowana. Ten fakt stanowił najbardziej wstrząsający element jego życiorysu, do niego się odwoływał.

Było coś jeszcze. Coś, co wiązało się z programem Woodwarda. Nadanym rok temu programem na temat CIA.

"...byłem wtedy w Stanach. Widziałem go..."

Ale przecież nie był wtedy w Stanach. W Waszyngtonie oznajmił, że przed rokiem przebywał w pobliżu granicy z Albanią, "...targowaliśmy się przez czterdzieści pięć dni..." Był w terenie. Dlatego właśnie skontaktował się z Johnem Tannerem, solidnym, czystym jak łąza dyrektorem programów informacyjnych Standard Mutual, obywatelem miejscowości, której nadano kryptonim "Kozła Skóra".

Były i inne sprzeczności - nie tak oczywiste, ale były. Lecz to, że zdał sobie teraz z nich sprawę, nie miało w gruncie rzeczy większego znaczenia. Wkrótce i tak miał oddać życie w ruinach dworca Lassiter.

Poruszył głową i zobaczył stojącego nad nim Fassetta.

-Musimy panu za mnóstwo rzeczy podziękować. Jeśli jest pan rzeczywiście tak dobrym strzelcem, jak mi się wydaje, dostarczył pan nam tutaj idealnego męczennika. Martwego bohatera. A jeśli okaże się, że został tylko ranny, i tak będzie musiał wkrótce zginąć... Nie należy do nas bezpośrednio, ale nawet on powinien dostrzec wyższy sens swojej ofiary. Widzi pan, wcale pana nie okłamałem. Jesteśmy fanatykami. Musimy nimi być.

-Co dalej?

-Poczekamy na innych. Jeden albo dwóch na pewno się zjawi. Wtedy będzie po wszystkim. Zginą tutaj, podobnie zresztą, obawiam się, jak i pan. Waszyngton będzie miał swoją Omegę. A potem, być może, agent o nazwisku Fassett otrzyma kolejne zadanie. Jeśli nie będą dość ostrożni, mianują mnie któregoś dnia dyrektorem do spraw operacyjnych.

-Jest pan zdrajcą.

Tanner wymacał w mroku leżący przy jego prawej dłoni przedmiot. Był to luźny kawałek klepki długości około dwóch stóp i na cal szeroki. Pokonując ból niezgrabnie usiadł i przysunął klepkę do siebie.

- Nie w świetle moich przekonań. Być może dezterterem. Ale nie zdrajcą. Nie wchodźmy zresztą w szczegóły. I tak nie zrozumiałby pan ani nie pochwalił mojego punktu widzenia. Powiedzmy tylko, że w świetle moich przekonań to pan jest zdrajcą. Wy wszyscy. Niech pan się tylko rozejrzy...

Tanner wyrwał spod siebie kawałek drewna i uderzył nim z całej siły w obandażowaną, stojącą przed nim nogę. Na bandażach natychmiast pokazała się krew. Dziennikarz poderwał się w górę, celując w krocze Fassetta i próbując desperacko dosięgnąć ręki z pistoletem. Fassett krzyknął z bólu. Tanner złapał prawą ręką za nadgarstek agenta. Jego lewa ręka była bezwładna, nie mógł na nią liczyć. Pchnął Fassetta w stronę ściany i zaczął kopać go piętą w nogę, celując w zakrwawioną ranę.

Wyszarpięty z ręki agenta pistolet poleciał w stronę otwartych drzwi i przyćmionej smugi światła. Fassett osunął się w dół wzdłuż ściany. Ciszę dworca rozdarły jego przeraźliwe krzyki.

John skoczył w stronę pistoletu, złapał go i ścisnął mocno w dłoni. Wstał, czując, że boli go całe ciało. Krew z przestrzelonej ręki płynęła teraz pełnym strumieniem.

Fassett był półprzytomny; szeroko otwartymi ustami łapał kurczowo powietrze. Tanner chciał go mieć żywego, chciał mieć Omegę żywą. Ale potem przypomniał sobie to, co działo się w piwnicy, pomyślał o Alice i dzieciach. Starannie wycelował i dwukrotnie wystrzelił, najpierw w krwawą miazgę, w którą zmieniła się teraz obandażowana rana, a potem kolano drugiej nogi.

Słaniając się bezsilnie i opierając o framugę drzwi stanął w progu. Przygryzając z bólu wargi spojrzął na zegarek. Była druga trzydzieści siedem, siedem minut po terminie, jaki wyznaczył Omedze.

Nikt już się tutaj nie pojawił. Jeden z członków Omegi leżał w agonii w budynku dworca; drugi w wysokiej mokrej trawie za parkingiem.

Zastanawiał się, kim jest ten drugi.

Czy to Tremayne?

Cardone?

Czy Osterman?

Oderwał kawałek rękawa i próbował obwiązać nim ranę na ramieniu. Chciał choć trochę powstrzymać krwawienie. Jeśli uda mu się to zrobić, być może zdoła przejść parking i dotrzeć do miejsca, w którym zainstalowany był reflektor.

Ale nie udało mu się i straciwszy równowagę runął na podłogę. Nie był wcale w lepszym stanie niż Fassett. Niedługo obaj tutaj skonają. W środku starego dworca.

Usłyszał odległe zawodzenie; nie był pewien, czy to złudzenie, czy rzeczywistość. Rzeczywistość! Zawodzenie stawało się coraz głośniejsze.

Policyjne syreny, ryk silników, a potem pisk hamujących na żwirze i mokrej ziemi opon.

Tanner uniósł się na łokciu. Z całej siły starał się podnieść - choćby tylko na kolana, to wystarczy. To wystarczy, żeby poruszać się na czworakach. Doczołgać się do drzwi.

Snopy światła padały przez szpary w deskach i w popękany tynku. Jedna latarka wymierzona była wprost w drzwi. A potem rozległ się głos wzmocniony przez tubę.

- Tu policja! Są z nami agenci federalni. Jeśli masz broń, wyrzuć

ją na zewnątrz i wyjdź z rękami podniesionymi do góry!... Jeśli wzięłeś za zakładnika Tannera, uwolnij go! Jesteś otoczony! Nie uda ci się stąd uciec! Tanner usiłował się odezwać, pełzną w stronę drzwi.

-Powtarzamy - odezwał się ponownie głos. - Wyrzuć na zewnątrz broń...

-Tam! - usłyszał Tanner czyjś inny głos, nie wzmocniony tubą. - Zaświećcie tam! Obok tego samochodu! W trawie!

Ktoś odnalazł drugiego członka Omegi.

- Tanner! Johnie Tanner! Czy jest pan w środku?

John dotarł do wyjścia i wypełził za próg, gdzie dosięgnął go snop światła.

- Jest tam! Jezu, spójrzcie na niego!

Tanner upadł na twarz. Jenkins rzucił się w jego stronę.

W porządku, panie Tanner. Podwiązaliśmy panu rany, jak mogliśmy najlepiej. Powinno to panu wystarczyć do przyjazdu ambulansu. Zobaczmy, czy potrafi pan chodzić. - Jenkins objął Tannera w pasie i pomógł mu wstać. Dwaj inni policjanci wynosili ze środka Fassetta.

-To on! To Omega!

-Wiemy o tym. Mocny z pana facet. Dokonał pan rzeczy, której próbowaliśmy bezskutecznie od pięciu lat. Dostarczył pan nam Omegę.

-Jest jeszcze jeden. Tam... Fassett powiedział, że też należał do spisku.

-Znaleźliśmy go. Nie żyje. Wciąż tam leży. Chce pan podejść i zobaczyć, kto to jest? W przyszłości będzie pan o tym opowiadał wnukom.

Tanner spojrzał na Jenkinsa.

- Tak - odparł urywanym głosem. - Tak, chyba tak. Sądzę, że powinienem wiedzieć.

Dwaj mężczyźni ruszyli razem przez trawę. Moment, który miał za chwilę nastąpić, moment, kiedy zobaczy drugą twarz Omegi, budził w nim fascynację na zmianę z odrazą. Czuł, że Jenkins chyba to rozumiał. Musiał to zobaczyć na własne oczy, nie chciał dowiadywać się o tym z drugiej ręki. Musiał być naocznym świadkiem najgorszej rzeczy, którą przyniosła ze sobą Omega.

Świadkiem zdradzonej przyjaźni.

Dick. Joe. Bernie.

Kilku policjantów kręciło się wokół stojącego obok rozbitego reflektora czarnego samochodu. Zwłoki leżały twarzą do ziemi tuż przy drzwiczkach. Tanner dostrzegł w ciemności, że należą do dużego mężczyzny.

Jenkins zapalił latarkę i przewrócił nogą ciało na plecy. Snop światła padł na twarz.

Tanner zastygł w bezruchu.

Podziurawiony kulami leżał w trawie kapitan Albert MacAuliff.

Jeden z policjantów zbliżył się do skraju parkingu.

-Chcą tutaj podejść - zawołał do Jenkinsa.

-Czemu nie. To ma coś wspólnego z tym, czym zajmują się na co dzień. Cały teren jest dobrze zabezpieczony. - W głosie Jenkinsa zabrzmiało coś więcej niż ślad pogardy.

-Chodźcie! - krzyknął McDermott w stronę kilku mężczyzn, którzy kryli się w cieniu po drugiej stronie parkingu.

Tanner zobaczył trzy wysokie stąpające po żwirze postaci. Idące powoli, niechętnie w jego stronę.

Bernie Osterman. Joe Cardone. Dick Tremayne.

Podtrzymywany przez Jenkinsa pokuśtykał przez trawę, oddalając się od Omegi. Czterej przyjaciele zmierzli się wzrokiem; żaden nie wiedział, co powiedzieć.

-Chodźmy - rzekł Tanner do Jenkinsa.

-Przepuście nas, panowie.

CZĘŚĆ CZWARTA NIEDZIELNE POPOŁUDNIE

Niedzielne popołudnie w Saddle Valley, stan New Jersey. Dwa policyjne samochody jak zwykle patrolują ulice miasteczka. Nie przekraczając przepisowej szybkości leniwie przemierzają cienione uliczki. Siedzący za kierownicą policjanci uśmiechają się do bawiących się dzieci i pozdrawiają uniesioną dłonią pracujących w ogródkach mieszkańców. W małych zagranicznych kabrioletach w błyszczących samochodach kombi widać torby z kijami do golfa raketami do tenisa. Jasno świeci słońce; lśnią skapane przez lipcową burzę drzewa i trawniki.

Saddle Valley jest już na nogach; gotowe do spędzenia idealnego niedzielnego popołudnia. Brzęczą dzwonki telefonów, ludzie układają any i przepraszają się wzajemnie za to, co wydarzyło się w ubiegły wieczór. Sprawę zbywa się śmiechem - w sobotnią noc trzeba się przecież, do diabła, wyszumieć. W Saddle Valley, stan New Jersey, szybko wybacza się sobotnie noce.

W alejkę przed domem Tannerów wjechał ciemnoniebieski naj-nowszy model samochodu z pomalowanymi na biało oponami. John Tanner podniósł się z kanapy i podszedł, zaciskając zęby z bólu, do okna. Górną część klatki piersiowej i całą lewą rękę unieruchomione miał w opatrunku z bandażu. Obandażowana była też jego lewa noga, od uda do kostki.

Wyjrzał przez okno, mierząc wzrokiem dwóch idących ścieżką mężczyzn. Rozpoznał tylko posterunkowego Jenkinsa - ale dopiero kiedy przyjrzał mu się uważniej. Jenkins nie był w policyjnym

mundurze. Teraz nie różnił się niczym od typowego mieszkańca Saddle Valley - przypominał bankiera albo dyrektora biura reklamy. Drugiego mężczyzny Tanner nie znał. Nigdy przedtem go nie widział.

-Już przyjechali - zawołał w stronę kuchni. Alice wyszła na korytarz. Była ubrana zwyczajnie po domowemu: w bluzkę i spodnie, ale wyraz jej oczu świadczył, że nie czeka ich zwyczajna domowa pogawędka.

-Chyba będziemy musieli przez to przejść. Opiekunka wyszła z Janet na spacer, Ray jest w klubie... Przypuszczam, że Bernie i Leila są już na lotnisku.

-Jeżeli zdążyli dojechać. Trzeba było złożyć zeznania, podpisać różne papiery. Dick działa jako adwokat nas wszystkich.

Zadzwoił gong i Alice podeszła do drzwi.

-Usiądź, kochanie. Doktor powiedział, że nie możesz się przemęczać.

-W porządku.

Dwaj mężczyźni weszli do środka. Alice przyniosła kawę i cała czwórka usiadła naprzeciwko siebie, Tannerowie na sofie, a Jenkins i jego partner, którego przedstawił jako pana Grovera, w fotelach.

-To z panem rozmawiałem w Nowym Jorku, prawda? - zapytał John.

-Tak, zgadza się. Pracuję w Agencji. Tak się składa, że jej pracownikiem jest także Jenkins. Został tutaj skierowany półtora roku temu.

-Pełnił pan rolę policjanta w bardzo przekonujący sposób, panie Jenkins - powiedziała Alice.

-Nie było to zbyt trudne. To przyjemne miasteczko, ludzie są tu bardzo mili.

-Myślałem, że mówimy o miejscu opatrzonym kryptonimem "Kozła Skóra". - Tanner nie ukrywał swojej wrogości. Nadszedł czas wyjaśnień. Domagał się ich od dawna.

-Zgadza się, oczywiście - odparł cicho Jenkins.

-W takim razie lepiej od razu przejdźmy do rzeczy.

-Zgoda - włączył się Grover. - Streszczę to w kilku słowach. "Dziel i zabijaj", tak brzmiało motto Fassetta. Motto Omegi.

-A więc Fassett istniał naprawdę. To znaczy, tak brzmiało jego nazwisko.

-Z całą pewnością. Przez dziesięć lat Laurence Fassett był jednym z naszych najlepszych agentów. Oddany, legitymujący się wspaniałym zapisem służby. A potem przytrafiły mu się różne rzeczy.

-Sprzedał się.

-To nigdy nie jest takie proste - stwierdził Jenkins. - Powiedzmy, że zmieniły się jego przekonania. Zmieniły się w drastyczny sposób. Przeszedł na pozycje przeciwnika.

-A wy o tym nie wiedzieliście?

Grover przez chwilę się wahał. Szukał chyba najmniej bolesnych słów. W końcu ledwo dostrzegalnie kiwnął głową.

-Wiedzieliśmy... Stopniowo, w ciągu kilku lat odkrywaliśmy prawdę. Zdrajców kalibru Fassetta nigdy nie demaskuje się z dnia na dzień. To powolny proces. Przydziela się delikwentowi kolejne zadania, których cele stoją wobec siebie w konflikcie. Prędzej czy później wyłania się wzór. Kiedy to się stanie, większość roboty mamy już za sobą... Podobnie wyglądała sprawa w tym przypadku.

-Wydaje mi się to strasznie niebezpieczne i skomplikowane.

-Do pewnego stopnia być może niebezpieczne; ale nie skomplikowane, naprawdę. Manipulowaliśmy Fassettem w podobny sposób, w jaki on manipulował panem i pańskimi przyjaciółmi. Wyznaczony został do operacji Omega, ponieważ miał odpowiednie doświadczenie. Był piekielnie inteligentny i to stwarzało wybuchową sytuację... W wywiadzie są pewne podstawowe prawa, nie sposób ich podważyć. Założyliśmy prawidłowo, że przeciwnik złoży na barki Fassetta odpowiedzialność za pozostawienie Omegi w spokoju, że nie pozwoli mu jej zniszczyć. W rezultacie stał się jednocześnie dowódcą obrony i generałem, który prowadzi atak. Przemyśleliśmy dokładnie całą strategię, może mi pan wierzyć. Zaczyna pan rozumieć?

-Tak. - Głos Tannera był ledwie słyszalny.

-Dziel i zabijaj. Omega istniała naprawdę. Kryptonim "Kozła Skóra" rzeczywiście oznaczał Saddle Valley. Podczas przesłuchania mieszkańców wyszło na jaw, że Cardone'owie i Tremayne'owie mają konta w Szwajcarii. Potem pojawił się Osterman i on także, jak się okazało, miał konto w Zurychu. Sytuacja była wprost wymarzona dla Fassetta. Odkrył trzy małżeństwa, które zaangażowały się wspólnie w nielegalne - albo co najmniej wysoce podejrzaną - przedsięwzięcie finansowe w Szwajcarii.

To, że pojechał pan do Nowego Jorku, wcale nie wyjaśnia kompletnego braku obstawy.

-Wspomnieliśmy już, że Fasset był piekielnie inteligentny - podjął Grover. - Kiedy powiemy panu, dlaczego wycofani zostali strażnicy, dlaczego w promieniu kilku mil nie było tutaj ani jednego patrolu, zrozumie pan, na czym polegała jego perfidia... Systematycznie odwoływał ludzi patrolujących pańską posiadłość, mówiąc im, że to pan jest Omegą. Człowiek, którego mieli z narażeniem życia strzec, był w rzeczywistości ich wrogiem.

-Co takiego?

-Niech pan to sobie przemyśli. Gdyby pan zginał, nikt nie udowodniłby, że to nieprawda.

-Dlaczego mieliby w to uwierzyć?

-Chodziło o podsłuch. Rozmieszczone w pańskim domu pluskwy przestawały działać. Jedna po drugiej przestawały nadawać. Pan był jedynym człowiekiem, który wiedział o ich istnieniu. A więc to pan je unieszkodliwiał.

-To nieprawda. Nie wiedziałem, gdzie są zainstalowane. Nadal nie wiem.

-Nie sprawiłoby to żadnej różnicy, gdyby pan wiedział - stwierdził Jenkins. - Te nadajniki mogły funkcjonować zaledwie od trzydziestu sześciu do czterdziestu ośmiu godzin. Nie dłużej. Pokazałem panu wczoraj jeden z nich. Oblano je kwasem. Wszystkie. Kwas zżerał stopniowo miniaturowe płytki i przerywał transmisję... Ale ludzie w terenie wiedzieli tylko, że nadajniki przestają działać. I wtedy Fasset ogłosił, że popełnił błąd. Że to pan jest Omegą, a on z początku nie zdawał sobie z tego sprawy. Powiedziano mi, że był bardzo przekonujący. Kiedy ktoś taki jak Fasset przyznaje się do popełnienia poważnego błędu, wrażenie jest olbrzymie. Wycofał patrole, a potem razem z MacAuliffem wkroczył do akcji. Byli bezkarni, ponieważ nie było mnie tam, żeby ich zatrzymać. Udało się im mnie pozbyć.

-Czy wiedzieliście o MacAuliffa?

-Nie - odparł Jenkins. - Nawet go nie podejrzewaliśmy. Jego osłona była genialna. Gliniarz z małego miasteczka, weteran nowojorskiej policji, bigot i prawicowiec do szpiku kości. Prawdę mówiąc, pierwszą wskazówkę, że może być w to wszystko zamieszany, otrzymaliśmy, kiedy oświadczył pan, że samochód policyjny nie zatrzymał

się na dawane z piwnicy znaki. W pobliżu nie znajdował się w tym czasie żaden patrol; zadbał o to sam MacAuliff. Ale w swoim bagażniku wozi własne czerwone światło sygnałowe. Proste urządzenie, które można w każdej chwili zamontować na dachu. Krążył wokół pańskiego domu, próbując wyciągnąć pana na zewnątrz... Kiedy się w końcu oficjalnie zjawił, uderzyły nas dwie rzeczy. Po pierwsze fakt, że skontaktowaliśmy się z nim przez radio. Nie było go w domu. Po drugie, relacja, którą dostarczyli obecni wtedy na służbie. Mówili, że MacAuliff trzyma się bez przerwy za brzuch, twierdząc, że ma atak choroby wrzodowej. U MacAuliffa nigdy nie stwierdzono wrzodów żołądka. Uznaliśmy, że może być ranny. Okazało się to prawdą. "Wrzód" okazał się otwartą raną brzucha. Doznał jej dzięki uprzejmości pana Ostermana. Tanner sięgnął po papierosa. Alice podała mu ogień.

-Kto zabił agenta w lesie?

-MacAuliff. I proszę nie sądzić, że pan jest za to choćby w części odpowiedzialny. Zabiłby go, nawet gdyby pan w ogóle nie wstawał i nie zapalał światła. On także uspił gazem w srode pańską rodzinę. Użył gazu, którym posługuje się policja podczas tłumienia zamieszek.

-A pies? W sypialni mojej córki?

-To sprawka Fassetta - odparł Grover. - O pierwszej czter-dzieści pięć dostarczono panu lód; pozostawiono go na werandzie przed domem. Fassett spostrzegł, że nadarza się kolejna sposobność posiania paniki. Wziął lód i wszedł do środka. Znajdowaliście się wszyscy koło basenu. Kiedy znalazł się wewnątrz, miał szeroką możliwość manewru; był przecież profesjonalistą. Mógł podać się za faceta, który dostarczył lód. A gdyby natknął się przypadkiem na pana, mógł powiedzieć, że podejmuje dodatkowe środki bezpieczeństwa. Z pewnością by się pan z nim nie spierał. To Fassett był również owym spotkanym na drodze mężczyzną, który uspił gazem Cardone'ów i Tremayne'ów.

-Wszystko było obliczone na to, żeby utrzymywać nas w nieustannym stanie zagrożenia. Bez chwili wytchnienia. Żeby mój mąż myślał, że to może być każdy z nich. Jak my się zachowywaliśmy... - powiedziała cicho, wpatrując się w męża, Alice. - W jaki sposób ze sobą rozmawialiśmy...

-Co jakiś czas byłem święcie przekonany, że któraś z osób już

się zdemaskowała - stwierdził Tanner. - Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

-Starał się pan desperacko sam sobie to udowodnić. Podczas całego weekendu atmosfera w tym domu była bardzo zagęszczona. Fassett wiedział o tym. - Grover spojrział na Jenkinsa. - Nie może pan oczywiście zapominać, że wszyscy byli ciężko przerażeni. Nie bez powodu. Nie licząc drobnych, profesjonalnych grzeszków, wszyscy popełnili jeden główny.

-Zurych.

-Dokładnie. Miało to wpływ na ich końcowe zachowanie. Cardone nie pojechał zeszłej nocy do umierającego ojca w Filadelfii. Zadzwoił do swego wspólnika Bennetta z prośbą o spotkanie. Nie chciał rozmawiać przez telefon i obawiał się, że jego dom może być pod obserwacją. Z drugiej strony nie chciał zanadto oddalać się od rodziny. Spotkali się na kolacji przy autostradzie numer pięć... Cardone opowiedział Bennettowi o manipulacji w Zurychu i zaoferował zgłoszenie rezygnacji w zamian za polubowne załatwienie sprawy. Wpadł również na pomysł, że złoży dobrowolnie zeznania, jeśli Departament Sprawiedliwości zapewni mu w zamian nietykalność.

-Tremayne oświadczył, że dziś rano wyjeżdża.

-Samolotem Lufthansy. Prosto do Zurychu. Jest dobrym adwokatem, bardzo byстрыm w tego rodzaju negocjacjach. Wyrwie wszystko, co jest do uratowania.

-W takim razie obaj, każdy na własną rękę, zostawiają Berniego na lodzie.

-Państwo Ostermanowie mają własne plany. Pewien syndykat w Paryżu gotów jest potwierdzić, że dokonali w nim poważnych inwestycji. Potrzebny jest tylko jeden telegram do francuskich adwokatów.

Tanner wstał z sofy i pokuśtykał w stronę okien, z których rozciągał się widok na patio. Nie wiedział, czy ma ochotę słuchać tego dłużej. Choroba rozprzestrzeniła się wszędzie. Nie oszczędzała nikogo. To samo mówił Fassett.

"To jest spirala, panie Tanner. Nikt nie żyje dzisiaj w zamrażalniku".

Odwrócił się powoli do agentów CIA.

-Mam jeszcze więcej pytań.

-Nigdy nie będziemy w stanie udzielić na nie wszystkie odpowiedzi - odparł Jenkins. - Bez względu na to, co powiemy panu

dzisiaj, przez długi czas będą się wyłaniać kolejne pytania. Będzie pan wynajdywał niekonsekwencje i pozorne sprzeczności, a te będą budzić kolejne wątpliwości. Pytania nie dadzą panu spokoju... To bardzo trudne. Całą tę sprawę przeżywał pan zbyt osobiście. Zbyt subiektywnie. Przez pięć dni funkcjonował pan w stanie skrajnego wyczerpania, prawie albo w ogóle nie śpiąc. To również przewidział w swoich rachubach Fassett.

- Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o konkretne sprawy... Leila nosiła broszkę, którą wyraźnie było widać w ciemności. Na ścianie wokół niej nie było śladów pocisków... Jej męża nie było tutaj, kiedy

pojechałem w nocy do miasteczka. Ktoś przeciął wtedy opony i próbował mnie potrącić. Spotkanie przy starym dworcu było moim pomysłem. Skąd wiedział o nim Fassett? Czy żaden z nich nie przekazał mu tej informacji? Skąd czerpicie swoją pewność? Nie mieliście pojęcia o MacAuliffie. Skąd wiecie, że oni także... - John Tanner przerwał, uświadamiając sobie, co ma na końcu języka. Rzucił szybkie spojrzenie Jenkinsowi, który badawczo mu się przyglądał. Jenkins miał rację. Pytania nie dawały mu spokoju, fikcja, którą go karmiono, zbyt głęboko załazła mu za skórę. Grover pochylił się do przodu w fotelu.

-W swoim czasie na wszystko znajdzie się odpowiedź. Te pytania nie są akurat najtrudniejsze. Fassett i MacAuliff byli w ścisłym kontakcie. Po opuszczeniu motelu Fassett nadal miał na podsłuchu pański telefon. Z łatwością mógł się połączyć przez radio z MacAuliffem i kazać mu zabić pana w centrum miasteczka. Potem, kiedy dowiedział się, że zamach się nie udał, kazał mu pojechać na dworzec przy Lassiter Road. Zdobycie innego samochodu nie stanowi żadnej trudności, przecięcie opon to fraszka... A broszka pani Osterman? Przypadkowy szczegół garderoby. Brak śladów po pociskach? Położenie ściany, jak mi się wydaje, prawie wyklucza bezpośredni obstrzał.

-"Jak mi się wydaje", "prawie"... o mój Boże. - Tanner niezgrabnie usiadł na sofie. Ujął w dłoń rękę Alice. - Poczekaj chwilę. Coś wydarzyło się w kuchni wczoraj po południu... - Głos załamywał mu się z przejęcia.

-Wiemy o tym - przerwał mu łagodnie Jenkins. - Powiedziała nam o tym pańska żona. Alice spojrzała na Johna i kiwnęła głową. W jej oczach malował się smutek.

- Pańscy przyjaciele, Ostermanowie, to wspaniali ludzie - kontynuował Jenkins. - Pani Osterman zobaczyła, że jej mąż chce... że po prostu musi wyjść, żeby panu pomóc. Nie mógł stać tam w środku i patrzeć na pańską śmierć. Są ze sobą bardzo związani. Zgodziła się, żeby ryzykował własne życie, idąc panu na ratunek.

John Tanner zamknął oczy.

- Nie rozwodźmy się nad tym - dodał Jenkins.

Tanner popatrzył mu prosto w oczy i zrozumiał.

Grover wstał z fotela. Było to sygnałem dla Jenkinsa, który poszedł w jego ślady.

-Musimy już iść - powiedział Grover. - Nie chcemy, żeby pan się zanadto zmęczył. Mamy teraz dużo czasu. Zawdzięczamy go panu. Aha, byłbym zapomniiał... mam tu coś, co należy do pana. - Grover sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kopertę.

-Co to takiego?

-Oświadczenie, które podpisał pan u Fassetta. Pańska umowa z Omegą. Nagranie ukryjemy głęboko w archiwum, co do tego musi mi pan uwierzyć na słowo. Nikt tam go nie znajdzie przez całe tysiąclecie. Dla dobra obu krajów.

-Rozumiem... Jeszcze tylko jedna sprawa... - Tanner zamilkł, bojąc się zadać ostatnie pytanie.

-O co chodzi?

-Który z nich do was zadzwonił? Który zawiadomił was o spotkaniu na dworcu?

-Zrobili to wszyscy razem. Spotkali się tutaj i postanowili wspólnie zawiadomić policję.

-Tak po prostu.

-Na tym polega cała ironia, panie Tanner - powiedział Jenkins. - Gdyby zrobili wcześniej to, co powinni byli zrobić na samym początku, cała ta historia w ogóle by się nie wydarzyła. Ale dopiero zeszłej nocy spotkali się wszyscy i wyjawili sobie prawdę.

Przez jakiś czas Saddle Valley pękało od plotek. Mężczyźni gromadzili się w małych grupkach w ciemnym wnętrzu pubu i cicho rozmawiali. Siedzące wokół klubowego basenu małżeństwa mówiły przyciszonym tonem o straszliwych wydarzeniach, które nawiedziły ich ziemski raj. Krążyły dziwne pogłoski - Cardone'owie wybrali się na długie wakacje, nikt nie wiedział gdzie; niektórzy twierdzili, że interesy ich firmy nie idą najlepiej. Richard Tremayne popijał dużo więcej niż normalnie, a i normalnie zbyt często zaglądał do kieliszka. O Tremayne'ach także opowiadano różne historie. Odeszła od nich pokojówka, a dom bardzo podupadł. W ogrodzie Virginii pleniły się chwasty.

Ale niebawem plotki ucichły. Saddle Valley nie byłoby sobą, gdyby nie potrafiło przechodzić szybko do porządku dziennego nad podobnymi sprawami. Po jakimś czasie ludzie przestali pytać o Cardone'ów i

Tremayne'ów. Tak naprawdę nigdy zresztą tu nie pasowali. Ich przyjaciół trudno było uznać za osoby chętnie widziane w tutejszym klubie. Nie starczało po prostu czasu, żeby interesować się ich losami. Tyle było do roboty. Saddle Valley w lecie jest takie piękne. To zrozumiałe; nie może być inaczej. Odizolowane, bezpieczne, nie skalane brudem tego świata. Ale John Tanner wiedział, że nigdy już nie będzie następnego weekendu z Ostermanem. Dziel i zabijaj. Omega mimo wszystko wygrała.

-

??

??

??

??

1

144

145

146

147

148

149

150

151

152